

ALEKSANDER OLIN

# Komusutra

*10 sierpnia 1994 roku Aleksander Kwaśniewski odwiedził w Szpitalu Bródnowskim w Warszawie rekonwalescenta po operacji chirurgicznej, Krzysztofa Łukomskiego.*

*12 sierpnia 1994 Aleksander Kwaśniewski przyjął delegację parlamentu Tajlandii.*

Antoni Styrzcula Rzecznik Kancelarii Prezydenta

## **0. Alibi**

Jeszcze raz spojrzął na kontrolkę plazmotronu. Dioda rezerwy już nawet nie migąła, ale złowieszczo paliła się ciągłym, czerwonym światłem. Może energii starczy jeszcze na jeden strzał. A może nie. Ruska ruletka. Cholerne pięćdziesiąt metrów. A przecież to tylko jednodominutowy spacer po błotnistej polance, jeden skok przez strumyczek i można wracać do domu. 007 przymrużył oczy i niemal realnie na ekranie wyobraźni ujrzał holowizor szmerzący w kącie przytulnej niszy mieszkaniowej, ujrzał też gwałtowny wzrost potencjału na elektronicznym koncie, a ponadto oczyma duszy 007 widział wyciągniętą rękę I Sekretarza Projektu, a w niej złotą kartę wstępu do Orgazmolandu.

Nie będę przecież gnął w tych paprociach pięćdziesiąt milionów lat, aż te kurwy wyzdychają - pomyślał 007, odepchnął trzymetrowy liść i zaczął biec przez błoto tak wielkimi susami, że po każdym takim susie miał wrażenie, że przy następnym majtającą się na pasku trzykilogramowa kamera holowizyjna wydziobie mu obiektywem dziurę w prawej nerce. Do strumienia zostało jeszcze dwadzieścia metrów. 007 próbował lewą ręką przeciągnąć kamerę nieco bardziej na plecy. Jednak wrażenie bycia tłuczonym młotkiem po kręgosłupie okazało się gorsze od dziobania po nerce. Na szczęście problem kamery niespodziewanie uległ przyspieszonej miniaturyzacji. Z krzaczorów wyskoczyła podwójna dawka tego, czego 007 najbardziej się obawiał - dwa welocyraptory - niniejszy dwumetrowy i większy na oko prawie trzy i półmetrowy. 007 wiedział, że ma szczęście w nieszczęściu. Gady zwykle osaczające ofiarę z dwóch stron tym razem nadciągały z jednego kierunku. 007 uniósł plazmotron. Serce jedynego ssaka w tej okolicy trzepotało się jak kanarek w kuchence mikrofalowej. 007 wiedział, że ma w porywach tylko jeden strzał, jeżeli w ogóle. Wczoraj pół ładunku plazmy poszło na odstraszenie tyranozaurów wałęsających się nad tym strumieniem. Jednak tyranozaurowy przestraszyły się tylko trzech pierwszych błyskawic, które 007 posłał w powietrze, a potem oswoiły się z nowym zjawiskiem i zrobiły się tak upierdliwe, że 007 nakręcił z tyranozaurami tylko parę kilkusekundowych migawek, a potem wkurwił się i

wytłukł je co do nogi, zużywając dobre kilkadziesiąt megawatów energii...

Welocyraptory były już tuż, tuż - trzydzieści metrów. 007 niemal słyszał przelatujące przez głowę strzepy krzyżujących się w panice zdań: „Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy... Jak mnie klona do życia przywróciłaś cudem... Ojciec nasz... Hare kriszna, kriszna hare, hare kriszna, hare hare...”

Brakowało dziesięć metrów do tego, by 007 przy współpracy welocyraptorów uzyskał szansę widzenia z adresatami modlitw. Jednak błysk plazmotronu udaremnił pojawienie się tej szansy. 007 nacisnął spust w momencie, kiedy większy z gadów nieopatrznie zabiegł drogę mniejszemu. Oba cielska znalazły się w jednej linii i błyskawica plazmy w ułamku sekundy zamieniła je w deszcz skwierczących skwarków padających na błotnistą polanę. 007 nie tracił czasu na napawanie się zwycięstwem. Zwłaszcza że mogło to być ostatnie zwycięstwo, zważywszy poziom energii w plazmotronie. 007 w trzy sekundy wykonał dziesięć skoków i wreszcie dotarł do strumienia.

Kurwa, w lewo czy w prawo? - 007 próbował dostrzec w błocie swoje własne ślady, które zostawił rano. Jednak błotnisty brzeg był dosłownie zdeptany przez tabun małych skutellozaurów, które koło południa przydreptały do wodopoju. 007 nacisnął zielony przycisk pilota dyndającego na jednej ze sprzączek kombinezonu. Sygnał ćwierknął ze skrzypowego zagajnika, znajdującego się za strumieniem, kilkanaście metrów w lewo.

- Całkiem niezłe ją zamaskowałem - mruknął 007 do siebie i ruszył w kierunku maszyny czasu. Strumień opłukiwał buty z błota. Nagle na powierzchni wody pojawiły się drobne prążki. Głuchy łoskot uderzył 007 w uszy, a wibracja gruntu połaskotała w pięty. 007 odblokowywał już rygiel pokrywy włazu, kiedy z lasu za błotnistą polaną, przez którą przed chwilą 007 przebiegł, ponad gęstwiną liści niczym peryskop pojawiła się charakterystyczna ohydna morda.

- Spierdalaj stąd, chuju... - szepnął 007 w kierunku tyranozaura i drżącym palcem zaczął naciskać kod cyfrowy na pokrywie. Z nerwów zamiast szóstki 007 nacisnął dziewiątkę i musiał całą operację znoszenia blokady powtarzać od początku. Tyranozaur leniwie wylazł z krzaków na polanę. Balansując ogonem, schylił się i najpierw powąchał, a potem polizał błoto nasączone aromatem welocyraptorów zgrillowanych w plazmowym ogniu. W tym momencie syknął pneumatyczny odźwiernik i pokrywa odskoczyła ze szczękiem. Tyranozaur, słysząc nieznaną dźwięk, odskoczył na dwa metry, a potem z zaciekawieniem spojrzał prosto w oczy Kwaśniewskiego 007.

Były chwile, że Kwaśniewski 007 żałował, że jest klonem i do tego czaskaderem. To była właśnie taka chwila. Kwaśniewski 007 bez przekonania wycelował plazmotron w

kierunku gada i nacisnął spust. Plazma ledwie czknęła na odległość dwu metrów, a tyranozaur w odpowiedzi prychnął jedynie i walnął ogonem w błoto. Kwaśniewski 007 nie miał zamiaru wrócić do bazy nadgryziony jak 006. Jednym skokiem znalazł się we wnętrzu kabiny i zatrzasnął klapę. Pasów jednak nie zdążył zapiąć, gdyż potężny wstrząs targnął ciałem czaskadera o pulpit sterowniczy.

Jeśli ten skurwiel uszkodzi stabilizator... - 007 zdrętwiał na tę myśl, jednak na dalsze myślenie nie było czasu. Wielka morda kuła w pancerną szybę.

- Zaraz cię, kutasie, urządzę... - krzyknął 007, zapiął wreszcie pas, włączył antypole ochronne i rozrusznik ssawy grawitacyjnej. Podróż w czasie wymaga zakrzywienia czasoprzestrzeni W mobilny bąbel. Ssawa grawitacyjna powoduje, że na czas jednej nanosekundy znaczna część ziemskiej grawitacji koncentruje się wokół pojazdu, wypychając jego zawartość w przeszłość lub przyszłość w zależności od ustawienia spinów. Kwaśniewski 007 przesunął suwak przyspieszacza temporalnego. Tyranozaur znalazł się w strefie bąbla startowego. Jak zassany odkurzaczem poleciał w kierunku jego centrum, razem z gałęziami, błotem i wodą ze strumienia... A pięciocentymetrowej grubości antypole ochronne otaczające pancierz pojazdu zrobiło z tej materii prehistoryczną mielonkę.

- Oż kurwa, nie nastawiłem współrzędnych - pomyślał Kwaśniewski 007, lecz nic już nie zdołał zrobić. Suwak przyspieszacza temporalnego był przesunięty przecież do przodu. 007 stracił przytomność.

\*\*\*

- 007 macie już cztery lata, jesteście dojrzałym klonem, przeszliście wszechstronne przeszkolenie, czas najwyższy, żebyście poznali prawdę: 007 jesteście pochodnym bratem Prezydenta Tysiąclecia - uroczystym tonem powiedział I sekretarz projektu.

007 poczuł, że łyzy same podpływają mu do oczu. Wziął wieniec z rąk I sekretarza i zrobił trzy kroki w kierunku granitowej piramidy, w której od lutego 2008 roku, u stóp Pałacu Prezydenckiego, w samym centrum geometrycznym placu Defilad spoczywały zwłoki Aleksandra Kwaśniewskiego. 007 przyklęknął i złożył wieniec.

- A więc nie jestem doświadczalnym sierotą, próbówkowym bękartem, popłuczyną ze zlewki laboratoryjnej... Nie, moim bratem macierzystym, pośmiertnym dawcą tkanki jest sam Prezydent Tysiąclecia - klon 007 łąkał i nie wstydził się tego. Po raz pierwszy od czterech lat poczuł się naprawdę związany z rzeczywistością społeczną, w której przyszło mu się wylęgnać.

Chwila zadumy minęła. 007 wstał z kolan, odwrócił się i mocnym krokiem zbliżył do

I sekretarza projektu.

- 007, nie musicie pytać... Czytam to pytanie w waszych oczach: „Dlaczego?” Tak? - zaczął I sekretarz. - Dlatego, że znamy tylko trzy przypadki mutacji genetycznej powodującej wrodzoną odporność na przyspieszenie temporalne występujące przy przemieszczaniu się bąbla czasoprzestrzennego. Na czterdzieści milionów testów przeprowadzonych w latach 2090-2095 tylko trzy wykazały obecność pożądanej sekwencji. Pierwszym nosicielem okazał się seryjny gwałcieł ze Stąporkowa, przebywający obecnie w zamrażalni penitencjarnej w Kielcach, drugim nosicielem jest jeden z pacjentów Głównego Perforatorium Mózgowego bielskopodlaskiego Makropolis, cierpiący na psychozę maniakalno-depresyjną, trzecim nosicielem zupełnie przypadkowo okazał się właśnie twój brat macierzysty, Aleksander Kwaśniewski, a ściślej rzecz ujmując, jego mumia. Komisja etyczna rozpatrzyła dokładnie wszystkie te kandydatury i z oczywistych względów właśnie zwłoki Prezydenta Tysiąclecia zostały wybrane jako dawca tkanki najwartościowszej z punktu widzenia całego projektu; jako dawca życia dla całej serii nieustraszonych klonów, które poniosą polskie DNA ku krawędziom czasu w przeszłość i przyszłość...

- Ku chwale ojczyzny! - 007 odruchowo się wyprężył.

- Nie, nie, spocznijcie, 007, przepraszam za ten patos... Ale widzę, że dali wam w kość na przeszkoleniu... -głos I Sekretarza brzmiał ciepło, prawie serdecznie.

- Przepraszam, towarzyszu Sekretarzu, czy wiadomo już, jakie będzie moje zadanie?

- Tak, 007. Wasze zadanie jest podwójne. Po pierwsze będziecie kontynuowali robotę 006, takie tam filmiki dokumentalne dla Spielberga... Wiecie, w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Spielberg oparł na tym, co mu dostarczycie, te swoje nieudolne animacje.

- Przepraszam, towarzyszu, to, co nakręcę, mam osobiście dostarczyć Spielbergowi?

- Dokładnie tak, to druga część waszej misji. Przy okazji, wiecie, musicie dostać od Spielberga hasło i numer konta, na którym zapłata w złocie za całą robotę czeka już prawie sto lat w sejfie szwajcarskiego banku. Wiecie, 007, dochody z usług temporalnych dla nieżyjących już klientów mają szansę do 2100 roku osiągnąć dziesięć procent całego eksportu PRL (od aut. - Polskojęzyczny Region Lingwistyczny - największa jednostka terytorialna środkowo-wschodniej Europy).

007 nie odzywał się. Myślał nad czymś.

- 007 nie rozmyślajcie za dużo, wieczorem dostaniecie kostkę programową ze szczegółami. A, jeszcze jedno, jeżeli jakimś cudem... awaria... nie wiem co... zapłacicie się w okolice 1953 roku, to, wiecie, unikajcie jak ognia matki Prezydenta Tysiąclecia...

007 spojrział pytająco.

- Już wy dobrze wiecie dlaczego. Chcecie być własnym ojcem? Z waszym Wielkim Bratem też nigdy nie rozmawiajcie...

- Przepraszam, towarzyszu sekretarzu, przecież wysyłacie mnie, jak słyszę, siedemdziesiąt milionów lat do tyłu w odwiedzinach do dinozaurów z okresu Górnej Kredy.

- 005 też tak myślał i zamiast w Górnej Kredzie, zarył w pokładach węgla z okresu późnego Gierka, wywołując tąpnięcie, w wyniku którego górnik przodowy, Alojzy Piątek, przez siedem dni odżywał się własnymi sikami, zanim dotarła do niego ekipa ratunkowa. Uczcie się lepiej na cudzych błędach, 007, no, chyba, że to wy chcecie zostać Tutanchamonem...

\*\*\*

Kwaśniewski 007 otworzył oczy. Że też zawsze podczas skoku czasowego powracają sceny z rozmowy z I sekretarzem - pomyślał i jednocześnie uświadomił sobie, że coś jest bardzo nie w porządku. 007 czuł żołądek w gardle -nie było to dziwne, zważywszy, że maszyna czasu była odwrócona do góry nogami. Kwaśniewski nacisnął przycisk znoszący osłonę optyczną i spojrział przez pancerne szkło. W świetle jarzeniówek oświetlających kabinę było widać również to, co znajdowało się za kopułową szybą - piasek. Cała kopuła odwróconej maszyny wrosnięta była w piasek.

No, chyba że to wy chcecie zostać Tutanchamonem... - znowu w uszach zabrzmiał głos I sekretarza. Kwaśniewski 007 spojrział na wskaźnik paliwa jądrowego: 0,000 kg. Rzut oka na wskaźnik współrzędnych czasoprzestrzennych: AWARIA!

Ten chuj, tyranozaur, rozpiardolił stabilizator, no to jestem uziemiony - przez głowę Kwaśniewskiego 007 przelatywały same najczarniejsze myśli. - Zaryłem na Saharze, to pewne... 1340 rok p.n.e... To ja będę Tutanchamonem...

W roku 2096, tuż przed wysłaniem pierwszego czaskadera Kwaśniewskiego 001, jeden z informatorów zupełnie przypadkowo porównał kod genetyczny mumii egipskiego faraona Tutenchamona z kodem genetycznym mumii Aleksandra Kwaśniewskiego. Były identyczne. To był koronny dowód, że podróż w czasie jest możliwa, z drugiej strony to był dowód, że nie wszyscy czaskaderzy powrócą.

Kwaśniewski 007 miał ochotę zapłakać.

- Kurwa, dlaczego ja? - klął, uwalniając się z pasów bezpieczeństwa.

Będiesz faraonem Egiptu - popiskiwał cichy głosik w podświadomości.

Nie ma się co martwić, umrzesz młodo, zabalsamują cię, a Howard Carter odkopie twój grobowiec w 1922 roku - chichotał złośliwie inny podświadomy głos.

Ale na kilka lat obejmiesz tron faraona wielkiego starożytnego państwa - optymizm znów próbował się przebić.

- Sram na tron faraona, ja chcę do mojej niszy mieszkaniowej - mamrotał rozpaczliwie Kwaśniewski, usiłując się dostać do umieszczonej pod podłogą śluzy awaryjnej. Wypadłszy z fotela, podłogę miał oczywiście nad głową. Kwaśniewski otworzył wreszcie klapę i wcisnął się do małej, ciasnej komory ewakuacyjnej.

Lepiej żeby się piach nie nasypał do kabiny - pomyślał Kwaśniewski 007 i zamknął klapę prowadzącą do kokpitu. Pociągnął dźwignię pneumatycznego odźwiernika klapy zewnętrznej. Woda bluznęła zewsząd. A więc piasek widoczny przez kopułę nie był piaskiem pustynnym, tylko piaskiem wyściełającym jakieś dno. Krztusząc się, 007 usiłował zamknąć klapę z powrotem. Jednak wir wodny był zbyt silny. Kwaśniewski 007, nie myśląc już w ogóle, lecz tylko kierując się niezawodnym instynktem czaskadera, odbił się od dna śluzy i popłynął w kierunku powierzchni, która mogła być bardzo, bardzo daleko.

Pierwszy haust powietrza oszołomił Kwaśniewskiego 007 prawie tak bardzo, jak przenikliwy gwizd, który w sekundę później przeszył powietrze. Słysząc również było jakieś ludzkie krzyki. Kwaśniewski natychmiast znowu zanurkował i zaczął z siebie pod wodą ściągać kombinezon. Lepiej się było nie pokazywać nie wiadomo komu w ryszunku z XXI wieku z emblematami PRL na plecach. Kwaśniewski 007 ledwie odepchnął od siebie zwiniętą szmatę kombinezonu, kiedy poczuł, że ktoś chwyta go za włosy i ciągnie na powierzchnię. 007 próbował się wyrwać, jednak napastnik był silniejszy, a Kwaśniewskie-mu brakowało już powietrza. 007 dał się wywlec spod wody i, nabrawszy oddechu, spróbował ugryźć przeciwnika w przedramię.

- Kurwa, nie szarp się, durniu, bo się obaj utopimy - wybulgotał napastnik. - Głuchy i ślepy jesteś, idioto, czarnej flagi nie widzisz, gwizdka nie słyszałeś, kurwa mać.

Kwaśniewski 007 uważniej spojrzął na właściciela ręki nadal trzymającej go za włosy. Napięte rysy właściciela ręki niespodziewanie złagodniały.

- O Jezu, panie Aleksandrze, przepraszam, niech pan mnie obejmie, o tak, już płyniemy do brzegu.

Po dwóch minutach walki z żywiołem 007 i jego nieoczekiwany wybawca siedzieli już na plaży.

- Ja naprawdę przepraszam, że ja tam tak do pana, ale nie poznałem, myślałem, że pan drugiego sierpnia wyjechał, a tu...

- A dzisiaj który jest? - 007 wykorzystał okazję.

- No jak to? Dziesiąty.

- A który rok?

- Ale pana skołowało: dziewięćdziesiąty czwarty, dlaczego pan za boję wypłynął, przecież to szaleństwo przy czarnej fladze, miał pan szczęście, już siódma, miałem właśnie zejść z dyżuru...

Kwaśniewski 007 odetchnął, tylko trzy lata różnicy, a ten facet na pewno zna go z holowizji. Pewnie 002 lub 003 byli tu kilka dni temu, oni lubią morze. 007 uważnie rozejrzał się dookoła - w górze, na skarpie jakieś dziwne domki, na plaży instalacje z rurek i ludzie jakoś tak dziwnie porozbierani...

Dziury ozonowej się nie boją, czy co? - pomyślał Kwaśniewski. - Aha, pewnie to ten Nadmorski Skansen Życia Alternatywnego, morski odpowiednik Bractwa Miecza i Kuszy bądź też Stowarzyszenia Ekopasterzy...

- Przepraszam, ma pan tu gdzieś holofon, muszę się skontaktować z centrum temporalnym - zapytał 007.

- Panie Aleksandrze, ja panu tyle razy mówiłem... i pan nie posłuchał. Niech pan się przyzna, cały dzień pan leżał na słońcu... Niby pana nie złapało, ale w głowie pewnie pana łupie, co? Może pan chodzić? Zaraz pana zaprowadzę do doktora Majewskiego, powinien teraz być w ośrodku.

Kwaśniewskiemu serce podeszło do gardła. Próbując opanować drzenie głosu, zapytał jeszcze raz:

- Który jest rok, niech mi pan powie dokładnie.

- Już panu mówiłem: dziewięćdziesiąty czwarty.

007 przez moment pomyślał, że to wszystko mu się śni.

No tak, w dziewięćdziesiątym czwartym to język polski jeszcze nie istniał, co za głupi temporalny koszmar senny, trzeba się obudzić, trzeba się obudzić.

- Albo niech pan tu poczeka, a ja zawołam pana żonę.

- Ja mam żonę? - w swojej sennej halucynacji 007 nie widział nic zdrożnego w zadawaniu głupich pytań.

- Panie Aleksandrze, albo, za przeproszeniem, panu zdrowo przygrzało, albo pan sobie ze mnie jaja robi... Ma pan żonę, nazywa się Jolanta Kwaśniewska i córkę też pan ma, aha, to jeszcze może mnie pan też nie zna?

- No, niezupełnie...

- Marek Haberka, ratownik - uśmiechając się ironicznie, Haberka wyciągnął rękę.

007 podał swoją, potem nagłym ruchem wyszarpnął ją i złapał się za głowę, symulując, że właśnie wszystko sobie przypomina.



- A no tak, teraz jestem w tym no, no...

- Cetniewie, Cetniewie, na czasach w Centralnym Ośrodku Sportu. W Rybitwie pan mieszka, pokój numer 32, trzecie piętro... Jeszcze coś panu przypomnieć, nie, no żeby kogoś tak nad morzem zamoczyło, to nie widziałem, a piwka pan nie strzelił wcześniej, co?

007 milczał.

- To co, chce pan poczekać na żonę czy idziemy do lekarza.

- Nie, nie, panie Marku, dochodzę do siebie, zaraz sam pójde - 007 już wiedział gdzie jest, znał dokumentalny wirtual o swoim Wielkim Bracie.

Tak, tak, jeżeli Jolanta żona Wielkiego Brata żyje, to może być tylko dziewięćdziesiąty czwarty rok... A więc prawie sto lat, kurwa mać. Żeby skądś wytrzasnąć kilogram wzbogaconego uranu, to za godzinę byłbym w domu. O ile oprócz braku paliwa nie ma w maszynie poważniejszej awarii - myślał 007, patrząc na fale rozbryzgujące się o piasek.

- Cześć Marek... No, pięknego masz topielca... Przez lornetkę patrzyłem... Dobry wieczór panie Aleksandrze, dzisiaj pan wrócił? Coś pana nie było przez ostatnie dni.

Drugi ratownik podszedł niby mimochodem. Chwała Bogu, a więc na szczęście przyszedłszy prezydenta nie ma teraz w tym Cetniewie - pomyślał 007.

- Tak, wróciłem, ładna pogoda, pomyślałem: szkoda lata...

- Ale coś pan zbladł, kilka dni temu był pan jakoś bardziej opalony... O, ale slipy ma pan szałowe! Gdzie pan je kupił - drugi ratownik wbił łapczywy wzrok w slipy z temporalu, które 007 miał na sobie.

- Zbysiu, daj panu Aleksandrowi spokój, ma, zdaje się, udar słoneczny i jest w szoku po tym topieniu.

- Dobra, dobra już nie przeszkadzam, ale, Marek, weź coś szepnij o wyborach Miss Plaży.

- Zbyszek, nie teraz. Nie widzisz...

- Nie, nie, ja już czuję się dobrze - wtrącił 007.

- Panie Aleksandrze kochany, nie mamy sponsorów, a u was ten Rusek dzisiaj bankiet urządza, szepnąłby pan słówko kilku nadzianym gościom, przydałoby się z dziesięć baniek. Nagrody dla dziewczyn... Wie pan.

- Nie ma sprawy - odpowiedział 007, zastanawiając się jednocześnie, po co dziewczynom jakieś bańki.

\*\*\*

Do pensjonatu dotarł sam. Co prawda facet zapytany przy zejściu z plaży: „Gdzie jest

Rybitwa” odpowiedział: „Oj, Olek, Olek znowu sobie w szyjkę stuknąłeś na plaży”, ale drogę pokazał. Kwaśniewski 007 chwilę postął przed wejściem do pensjonatu, ale skoro drzwi nie otworzyły się same, zaczął, macać gałkę, wreszcie coś kliknęło i sezam stanął otworem. Nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia odzianych w garnitury indywiduów, minawszy recepcjonistkę, która zrobiła minę, jakby właśnie połknęła pióro cyfrowe, Kwaśniewski 007 wkroczył na schody, rozsiewając dookoła kolorowe rozbłyśki światła rozszczepiającego się tęczowo na powierzchni temporalnych slipów. Trzydzieści sekund później stał już z bijącym sercem przed drzwiami z numerem 32. Drzwi znowu się same nie otworzyły, więc położył rękę na specjalnym zagiętym pałaku, który opadł na dół. Jolanta, wychodząca właśnie z łazienki, pisnęła cicho i cofnęła się o krok. Po jej jędrnej, opalanej skórze spływały ostatnie krople wytryśnięte kilka sekund wcześniej z prysznica. 007 stanął w progu jak wryty.

- Olek, Jezu, jak się przestraszyłam. Co ty tu robisz? Nie stój tak.

007 zamknął drzwi za sobą i z pewną nieśmiałością przyglądał się żonie przyszłego Prezydenta Tysiąclecia odzianej jedynie w ręcznik niedbale owinięty wokół talii. W rzeczywistości była dużo piękniejsza niż na tym wirtualu dokumentalnym. Piersi Wielkiej Bratowej kołysały się kusząco. Różowe aureolki, niedawno podrażnione gorącą wodą, promieniały niczym dwa centra tarcz strzelniczych czekających na celny strzał pożądlivych ust.

- Co się tak gapisz, jakbyś mnie pierwszy raz widział. Jezu, przecież ja dwie godziny temu przez telefon z tobą rozmawiałam. Mówiłeś, że jesteś w Warszawie, znowu mnie okłamałeś...

- Ja przyjechałem tu...

- Ciekawe czym w dwie godziny?

- Ma... ma... machalasem - Kwaśniewski 007, patrząc na tę nieżyjącą już dawno kobietę, nie mógł skupić myśli.

- Piłeś... No tak... Gdzie masz *rzeczy*?

- Ukradli - odpowiedział 007 już nieco przytomniej.

- Przecież mówiłeś przez telefon, że chcesz odwiedzić Krzysia Łukomskiego w szpitalu na Bródnie.

- Już go wypisali.

- Olek, ja mam dosyć tych żartów, w przyszłym roku wybory prezydenckie, a ty upijasz się i ganiasz po ośrodku w samych gaciach jak skończony idiota... Cała partia weźmie cię na języki...

- Jola...

- Skąd masz te slipy? Jakaś zdzira ci kupiła... Gdzie masz rzeczy?

007 wiedział, że nie ma wyjścia. Tę lawinę pytań trzeba było jakoś zatamować.

„Unikajcie jak ognia matki Prezydenta Tysiąclecia” -ostrzeżenie, które padło z ust I sekretarza projektu w tym wypadku nie miało zastosowania.

Jola to nie matka prezydenta - pomyślał 007 i przestał opierać się fali pożądania wzbierającej pod włóknami temporalu. Doświadczenia zdobyte wiosną 2093 roku w Orgazmolandzie okazały się mieć wartość ponadczasową... Woń lawendowego mydła, którym pachniała skóra przyszłej prezydentowej zmieszała się z delikatnym zapachem maści przeciw ukąszeniom owadów napełniających nieznośnym bzykiem lasy sprzed siedemdziesięciu milionów lat.

\*\*\*

007 nareszcie zdołał się odprężyć. Całe napięcie ostatnich dni zniknęło jak odjęte ręką. Nieważne było, że do domu zostało jeszcze sto lat. Zresztą co to za dom, gdzie nie czekają żadne stęsknione ramiona... Życie czaskadera jest zbyt niebezpieczne, by tworzyć trwałe związki - złota karta do Orgazmolandu musi wystarczyć...

- Olek... - zaczęła niepewnie. - Ty mnie nie zdradziłeś, prawda?

- Nie, skarbie - odpowiedział 007

- To jak nauczyłeś się tego wszystkiego, o czym dziesięć dni temu nie miałeś zielonego pojęcia, i skąd masz te błyszczące slipy? A w ogóle to pięć razy do ciebie wczoraj dzwoniłam, może powiesz, że komórka ci się zablokowała, co robiłeś?!

- Polowałem na dinozaury - odpowiedział Kwaśniewski 007 zgodnie z prawdą.

Zaczęła płakać. Objął ją i czule wyszeptał.

- Stęskniłem się za tobą, to dlatego, a te sztuczki... No dobrze, przyznaję się, nie odbierałem tej, no, ko... komórki, bo, Jola, ale nawet najbliższym znajomym... powiem ci wszystko... wczoraj (007 w ułamku sekundy przetrząsnął cały swój mózg w poszukiwaniu wiedzy historycznej o obyczajowości politycznej XX wieku) na zebraniu Konwentu Seniorów puściliśmy sobie pornola. Jola, ale rozumiesz: autorytet sejmu, totalna tajemnica.

- Ty świnió - kopnęła go pieszczotliwie. Wyraźnie dała się udobruchać. 007 poczuł, że wracają mu siły do ponownej ofensywy... W tym momencie zadzwonił telefon. 007 widział coś takiego w muzeum techniki, więc na szczęście wiedział, jak się podnosi słuchawkę.

- Jola? - Kwaśniewski 007 rozpoznał w słuchawce swój własny głos. Czuł, jak pod powiekami puchną mu łyzy wzruszenia. Wielki Brat, dawca tkanki, niemal ojciec, Prezydent Tysiąclecia. Boże, a ja mu właśnie zerznąłem żonę - pomyślał 007 i rumieniec wstydu oblał

duszę klona.

- Jola? Wiem, że tam jesteś odezwij się, nie słyszę cię w ogóle... Jeśli ty mnie słyszysz, to chcę ci powiedzieć, że Krzysio Łukomski czuje się dobrze, ja jutro mam delegację z Tajlandii, halo, halo...

Kwaśniewski 007 odłożył słuchawkę.

- Kto to? - zapytała Jola.

- Jakiś twój cichy wielbiciel, kochanie, bo się nie odezwał.

- Ty się też nie odezwałeś, trzeba było powiedzieć: słucham albo coś.

Telefon zadzwonił jeszcze raz. Kwaśniewski 007 wyjął wtyczkę z gniazdka.

- Co za natrętny skurwiel, mówiłem przed wyjazdem, żeby tu do mnie nie dzwonili - 007 udawał oburzenie.

- Trzeba było odebrać, może to jednak coś ważnego.

- Teraz tylko ty jesteś dla mnie ważna - powiedział 007 i zanurzył się w beczasowy wszechświat rozkoszy.

Za oknem było już całkiem ciemno, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. 007 poczuł, jak zimny pot ścieka mu po karku.

Bez paniki, dopiero pół godziny minęło od telefonu, ślizgaczy stratosferycznych jeszcze nie wynaleziono, oprócz tego on ma jutro zaplanowaną wizytę Tajów - przez głowę czaskadera przemknęła uspokajająca myśl.

Pukanie powtórzyło się.

- Pani Jolanto, czemu pani nie zejdzie do nas, Wołodia się obrazi.

- Kto to? - szepnął 007.

- Już, już, zaraz schodzę, ubieram się - krzyknęła Jolanta przez drzwi.

- A to przepraszam, czekamy, czekamy. Kroki oddaliły się.

- A ty co, głosu szefa ośrodka, Kluczyńskiego nie poznajesz? Chodź, wstajemy, bo się rzeczywiście Ałganow obrazi.

007 przypomniał sobie w tym momencie, że ratownik mówił coś tam o bankiecie organizowanym przez Ruska.

O szlag, a więc stąd wzięła się ta afera sprzed stu lat - Kwaśniewskiemu 007 już całkiem rozjaśniło się w głowie.

- Nie, nie, Jola, na żaden bankiet organizowany przez ruskiego szpiega nie idę, za żadne skarby.

- Olek, ty chyba zgłupiałeś, Wołodia to taki sympatyczny dyplomata.

- Tak, tak, Jola, bardzo sympatyczny ruski szpieg.

- Wiesz co, naprawdę, Olek, a on o tobie mówił z taką sympatią, podobno znacie się z jakiegoś Towarzystwa Skierniewic... Tak? - 007 już chciał powiedzieć, że owszem, zna Ałganowa (Władimir Ałganow, absolwent Akademii Wojsk Rakietowych oraz Akademii Czerwonego Sztandaru KGB. Były pracownik ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie, pełnił kolejno funkcje trzeciego, drugiego i pierwszego sekretarza do spraw politycznych. Po powrocie do Moskwy w 1992 roku przeszedł do pracy w charakterze

oficera drugiej linii. Od 1992 roku częste wyjazdy do Polski pod płaszczykiem prowadzenia działalności handlowej.), ale z holowizyjnej kostki kursu historycznego. - I Wołodia tak żałował, że wyjechałeś przed jego przyjazdem, chodź zrobimy mu niespodziankę.

007 pomyślał, że afery jest już i tak, bo kilka osób zapamiętało, jak ganiał w tych nieszczęsnych slipach z temporalu. Poza tym Kwaśniewskiemu 007 przyszedł do głowy szatański plan powrotu do domu.

- No dobrze, ale ja nie mam ubrania.

- Olek, tak poważnie: co się stało?

- Jola, ja przepraszam, zaraz jak wysiadłem z tego... no... to zamiast do ciebie, poszedłem przedtem nad morze się wykapać... To przez ten upał... I walizkę mi podpieprzyli.

- Z walizką poszedłeś na plażę?

- No tak.

- Nie, no ty jesteś jednak trochę stuknięty.

- I za to mnie kochasz - 007 jeszcze raz przeturlał się z Jolą przez łóżko.

- Dobra, starczy szatanie, zresztą nasza córka zaraz wróci z dyskoteki... Czekaj, pójde pogadam z Wapińskim, ma twój rozmiar, to może ci pożyczyc garnitur.

\*\*\*

Bankiet okazał się towarzyskim koszmarem. 007 zmuszony był więc się jak piskorz i wywracać korę mózgową na lewą stronę, żeby nie zdekonspirować swojej kompletnej nieznajomości kogokolwiek i czegokolwiek. W pamięci migały mu co prawda jakieś twarze z dokumentalnego wirtuala, ale nie był w stanie przypisać im ani nazwisk, ani funkcji polityczno-gospodarczych, ani, co więcej, przypasować tego wszystkiego do osób obecnych na bankiecie. 007 czuł się jakby wkroczył na scenę teatralną i miał grać przed pełną widownią główną rolę, nie znając własnych kwestii ani nie rozumiejąc treści sztuki.

- Cześć Olek, kiedy żeś wrócił? Słuchaj, przed wyjazdem obiecałeś, że zrobisz coś w tej sprawie, wiesz... no i co, wyszło coś z tego?

- No, gratulacje, panie Aleksandrze, pan nam tu dzisiaj zademonstrował klasę, my jak te pierdziele... garnitury, a pan odważnie: - sportowe spodenki i jogging po ośrodku...

- Olek, ty zgłupiałeś chyba, przecież tu się kręcą dziennikarze, a ty, przewodniczący SdRP, po ośrodku łazisz w samych gaciach. I to jeszcze po kilku drinkach! Ja ci mówię, parę osób bardzo się zastanowi nad twoją kandydaturą.

- Jak, Oluś? Pasuje ci garnitur? Jak mi twoja żona powiedziała, myślałem, że skonam. Kapać się poszedłeś... Nie mogę...

- Panie Aleksandrze, jaki pan dzisiaj szykowny, domyślam się, że ten garnitur w Dublinie pan kupił, a właśnie, jak tam było w Irlandii! Ja też kiedyś chciałam polecieć, ale ta IRA...

- Olek, sorry, że się tak darłem przez drzwi do twojej żony, ale ja nie wiedziałem, że ty jesteś... Mi tu mówili, ale myślałem, że to dowcip jakiś. Topiłeś się naprawdę? Jezu, koło mojego ośrodka, ale ja podkręcę tych ratowników, ja ich, kurwa, podkręcę!

- A ty co tu? Jezus, a ja właśnie szukałem twojej żony, żeby jej powiedzieć, że się nie możesz dodzwonić do niej z Warszawy, o, kurwa, no to afera jest. Olek, jakiś facet o bardzo podobnym głosie podszywa się pod ciebie. Piętnaście minut jak z nim rozmawiałem... Identyczny głos, mówię ci... Olek, ostrzeż Jolę, może ochronę jakoś albo na policję trzeba... Coś kombinuje jakaś szuja.

- O, Olek, napijesz się... z cytryną... Opłacało ci się tutaj na jeden dzień, kurde, przecież masz jutro w Warszawie delegację z Tajlandii... Nie wyrobisz się chłopie.

- A mnie mówili, szto u mienia szastia nie ma, dobry wieczier, towarzyszc przewodniczący. Mówili, ja spóźnił się, wy uże w Warszawie i wot kakaja nieoczekiwannost.

Tę pucołowatą gębę Kwaśniewski 007 znał bardzo dobrze z historycznego wirtuala.

- Dobry wieczór, towarzyszu pułkowniku. Ałganow spłoszył się wyraźnie.

- Nie, no, towarzyszc przewodniczący, ja nie znaju, poczemu towarzyszc tak do mienia. My znamy się ze Skierniewic, ja dla was Wołodia, my bruderszaft tam pili.

- No to, Wołodia, nie mów do mnie towarzyszc i nie kalecz języka, chyba w KGB dobrze uczą języków...

Pucołowata gęba zaczerwieniła się.

- Oj, Oluś, Oli, nie gowori do mienia tak. Ten wasz Rakowski i Miller od kogo wziali pieniądze na etą waszą socjaldemokrację, a teraz co? Ładna to kasat ruku, która karmi?!

- Nie mów do mnie: Olinie.

- Choroszo, ty, Oli, słyszał płocho, no ty, nie mów do mnie pałkownik.

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Ałganow przegrał pojedynek spojrzeń,

pierwszy opuścił wzrok i jak gdyby nigdy nic znowu nawiązał rozmowę.

- Słuszaj, Aleksandr, ja już dawno chciał spotkać ciebie, bo trochę tej nieufności, to ona idiot, nazwijmy, z czasów przyjaznych, ale to sztuczne było... Ale ja mówię, że trzeba sdiełał nieoficjalne spotkania na poziomie kierownictwa, żeby ustalić kierunki połączeniija stosunków na poziomie kierownictwa...

Kwaśniewski 007 nie za bardzo rozumiał, o czym Ałganow bredzi, natomiast wiedział, co znaczą niby mimowolne spojrzenia gości na bankiecie.

- Wołodia, nie tutaj, ludzie już patrzą, po co ktoś ma myśleć za dużo...

007 przypomniał sobie, że jutro jakiś kelner zapamięta Aleksandra Kwaśniewskiego rozmawiającego z Ałganowem w małej jadalni pod głównym budynkiem - historia musi się wypełnić...

- Spotkajmy się jutro w tym dużym budynku, jakaś mała jadalnia jest na dole czy coś...

- Choroszo, o której?

- A o której jest obiad?

- No co ty, zabył? O drugiej.

- To o trzeciej, ludzi nie będzie.

- Choroszo.

Odczepiwszy się od agenta, 007 nie miał już ochoty z nikim rozmawiać, a że namolnych rozmówców nie brakowało, Kwaśniewski nalał sobie szklaneczkę whisky, wrzucił plasterk cytryny i już po dziesięciu minutach zaczął na każde pytanie odpowiadać historią o dinozaurach, w wyniku czego Jolanta miała nareszcie pretekst, żeby go odprowadzić do pokoju...

W okolicach drugiego piętra Kwaśniewski 007 poczuł, że kocha szczerze żonę swojego czcigodnego dawcy DNA, czuł również, że prawdziwa miłość wymaga szczerości.

- Jooola, ja muszę ci coś pooowiedzieć - wybełkotał, usiłując złapać się poręczy schodów. - Jooola ja wiem, że to będzie trudne, ale ja muuszę...

- Tak, Oluś, ale złap mnie za szyję i bądź cicho, jak będziemy wchodzili do pokoju, bo mała wróciła już z dyskoteki i pewnie śpi.

- Jola, nie maaa sprawy, małą zabierzemy ze sobą, ale poojedziesz ze mną, prawda?

- Tak, Oluś, pojedę, tylko skup się, spróbuj nie iść po schodach na kolanach, bo się ludzie patrzą.

- Ale ja cię błaagam, pojedź ze mną, przysięgnij, że pojedziesz.

- Tak, Oluś, przysięgam, ale już wstań.

- Jola, ale kochasz mnie?

- Kocham, no chodź, jeszcze pół piętra.

- Jola, bo ja nie jestem twoim mężem, wiesz, ale ja cię zaaabiorę i małą zaaabiorę chociaż na kilka lat, daaaaleko od tych szpiegów, tego gówna tutaj i dinozaurów...

Wysiłek związany z podchodzeniem po schodach wyczerpywał 007 do tego stopnia, że wraz z siłami zaczął tracić wątek.

- Muuuszę... Muszę jeszcze podlecieć do Spielberga, ale to minuuutka będzie... Dinozaaaury, dinozaaaury i inne chuuję wyginęły i ich kości bieleeeją na pustyni Gobi, abym mógł nastąpić ja, kurwa, ssakiem jestem, największym osiągnięciem eee... ewolucji - powiedział Kwaśniewski 007 i zarył zębami w schody. Raz jeszcze się dźwignął. - Jooola, jaki jestem nieszczęśliwy. Powiedz mężowi, niech się nie da sklooonować... za chuja - po czym stracił przytomność.

\*\*\*

Ból głowy był potworny. 007 nie mógł sobie darować swojej głupoty: Jak mogłem zapomnieć, że przed 2050 rokiem dopuszczano do spożycia alkohol nie zmieszany z antykacidum.

Na stole leżała kartka:

*Ty pijaczkę, kefirek masz w lodówce.*

*Mimo wszystko kocham cię.*

*Jola*

*PS Podziękuj Kluczyńskiemu, że cię pomógł doholować do pokoju.*

*Przepraszam Wapińskiego, że mu zanieczyściłeś garnitur.*

*Kupiłam ci szorty, koszulkę i klapki - masz to na krześle.*

Kwaśniewski 007 spojrział na zegarek stojący na stole. 14.35. Kurwa mać, przecież trzeba się jakoś pozbierać.

Wziąwszy lodowaty prysznic, 007 od razu wytrzeźwiał. Czuł, że jest zdolny, kupić od Ałganowa łódź podwodną, oferując w zamian kolumnę Zygmunta. I oto właśnie chodziło. 007 wytarł się szorstkim ręcznikiem, założył T-shirta, klapki i ruszył na negocjacje, od których zależał jego szczęśliwy powrót do domu. W dolnej jadalni Ałganowa jeszcze nie



było. Nie było również nic do zjedzenia, to znaczy nic, co Kwaśniewski 007 by lubił: nie było pasty polimerowej z ziemniaka ani gotowanej chlorelli, nie było drożdży transgenicznych w sosie monolowym... Nic. 007 siedział więc i widelcem dziobał w to, co dostał: nasączone olejem jakieś pałeczki ziemniaczane, posiekane rośliny i kawałek zwierzęcego mięśnia obtoczony w tartej, przypalonej bułce.

Ałganow miał wycucie, wszedł dokładnie wtedy, kiedy z jadalni wyszły wszystkie grymaśne dzieci i ich rodzice.

- Dzień dobry, Aleksandr, ale ty płocho wyglądasz, no ja rozumiem, ty się bardzo dobrze bawił wczoraj.

- Dobrze, Wołodia, daruj sobie, siadaj i mów, co chciałeś. 007 czuł, że najlepiej będzie w tych negocjacjach stworzyć iluzję, że to nie on, Kwaśniewski, jest petentem.

- Aleksandr, ty wiesz, ja jestem człowiekiem przyjaźni, ja ciebie od razu w Skierniewicach polubił, ty byłeś wtedy minister sportu, a ja znał, ty kiedyś będziesz ktoś więcej i, proszę, miałem rację, siewodnia jesteś szefem tej waszej socjaldemokracji, a jutro może... kto znajet...

- Wołodia, nie owijaj...

- My chcemy ciebie pomóc.

- Jakie my, KGB?

- Nie, Oli nie, nie KGB, tylko przyjaźni ludzie, co są u nas.

- Mówiłem ci nie mów do mnie: Olinie.

- Choroszo, Aleksandr, słuszaj, ty masz tu wybory na prezydenta za god, wiem, ty jesteś bardzo dobry i tak, no, na kampanię potrzebne dieńgi, znaczyt, kak goworiat, amerykance, monej, monej i jeszcze raz monej.

- Aha, i te pieniądze ty mi dasz, Wołodia, tak od tych twoich przyjaznych ludzi, tak z sympatii do mnie?

- Nu tak, toczno.

- No to bardzo ci dziękuję, Wołodia, zadzwoń za tydzień do Warszawy, podam ci numer konta, a teraz idę na plażę do żony.

007 udał, że wstaje.

- Aleksandr, poczekaj, ale z tobą trudno interesy robić, ale ty dobry jesteś, naprawdę dobry.

- Wołodia, wal prosto z mostu, czego chcesz.

- Ja chcę jeszcze pomóc nie tylko tobie, ale i innym Polakom...

- Tak? Wszystkim Polakom?

- Da, wiem no i takim dobrym dwóch Polakom, może znasz? Oni uczciwi, Żagiel i Kuna się zowut, oni chcą dobre zboże z Kazachstanu kupować tu dla was, a ja chcę im pomagać, no nie mam pozwolenia na pracę tutaj.

- Jak to: tutaj?

- Taka firma tutaj jest Polmarck i ja tu chciałbym pracować od czasu do czasu, bo, znasz, mój brat pracował w Kazachstanie i ojciec mojej żony oni znają jak naj-luczsze zboże dla was wybrać...

O, ty pazerna szujo, chcesz kupić przyszłego Prezydenta Tysiąclecia, żeby sobie załatwić preferencje w imporcie zboża do Polski... Gdybyś ty wiedział, że w 1999 roku w kwietniu ukraińska mafia zbożowa dopadnie cię koło Pasłęka i spoczniesz na dnie elewatora zbożowego pod dwudziestoma tonami swojej kazachskiej pszenicy... - pomyślał 007, lecz uśmiechnąwszy się ironicznie, powiedział coś zupełnie innego:

- W polskiej firmie chcesz pracować, a co, w KGB ci za mało płacą?

W tym momencie Ałganow zaczął się podnosić z krzesła. Kwaśniewski poczuł, że przeholował.

- Siadaj, Wołodia, żartowałem... Chcesz tylko pozwolenie na pracę?

- Da.

- Ale jest problem, ja nie chcę od ciebie pieniędzy. Ałganow aż się kiwnął na krzesło ze zdziwienia.

- Wiesz, Wołodia, jest takie przysłowie: kto szybko daje, dwa razy daje. Ty chcesz mieć to pozwolenie, a ja chcę mieć tu na jutro dwa kilogramy wzbogaconego uranu... Nie rób takiej miny, przecież co to jest dla pułkownika KGB dwa kilogramy uranu.

Ałganow nadał się. Widać było, że intensywnie myśli.

- A rozumają, rozumają, tu ten Chodziński jest, co w Niemczech mieszka, nawet ja gawaril s nim wcziera, da, w niemieckich elektrowniach trzeba dużo uranu, ja rozumają, u ciebie Aleksandr głowa jest, kupiec jest, dobra cena pewno jest, tylko towaru jeszcze niet.

- Wołodia, ty nie kombinuj, jak mnie obejść, bo to nie o Chodzińskiego chodzi. Szkoda czasu, jaka jest twoja odpowiedź?

- Oli, ja ciebie przecież nie powiem: niet. Atomnaja łódka iz Kaliningrada może być w dwa cziasa, ale, wiesz, muszę najpierw do Kaliningradu zwońić, nie wiem, czy przyjazna osoba będzie od razu tam... ale ja ciebie daję słowo, jutro będziesz miał, co chcesz, zadzwonię i ciebie jeszcze dziś skażu szto, jak i gdzie.

\*\*\*

Światło latarni morskiej na Rozewiu co kilkanaście sekund przecinało mrok, omiatając krawędź pustej o tej porze plaży. Jolanta Kwaśniewska płakała nie dającym się opanować spazmatycznym szlochem. Kwaśniewski 007 tulił ją ramionach, usiłując dociec, czy płacze, bo zdradziła męża z jego klonem, czy może ze wzruszenia, że Aleksander Kwaśniewski zostanie Prezydentem Tysiąclecia, czy może przez to, że jej córka będzie jedyną kobietą w pierwszej polskiej wyprawie na Marsa. 007 zdawał sobie doskonale sprawę, że powiedział jej trochę za dużo, ale nie mógł się powstrzymać. A i tak nie powiedział jej wszystkiego.

- Olek, powiedz, że sobie tylko robisz głupie żarty ze mnie - podniosła zapłakane oczy i spojrzała na niego z mieszaniną lęku i straszliwej nadziei.

W tym momencie 007 wpadł na genialny pomysł.

- Jola, kiedy w ostatnich dniach spacerowałaś tu sama po plaży?

- Chyba cztery dni temu - chlapała. - Dzień przed tym dniem, jak tyś się pojawił w tych swoich kosmicznych gaciach... - znowu zaczęła beczeć.

- I podczas tego spaceru znalazłaś trzy róże kołyszące się na falach?

Jolanta z wrażenia aż zasłoniła sobie usta ręką.

- Boże, Boże, tak, to te, co stoją w wazonie w „Rybitwie”, ale ja ci nie mówiłam, że je znalazłam, skąd ty to wiesz... Jezu, ty mówisz prawdę...

Kwaśniewski 007 czuł, że go ogarnia wzruszenie i radość.

- Jola, bo te róże ja dopiero ci wyślę, bo one jeszcze nie wyrosły i żeby je zerwać dla ciebie, muszę przeskoczyć sto lat do przodu, a przywiozę je kiedyś po drodze, przy następnej mojej wyprawie.

007 nie był pewien, czy Jolanta Kwaśniewska w pełni zrozumiała istotę tego czasowego paradoksu. Natomiast on rozumiał - skoro kwiaty są już w wazonie, to je wysłał, a że dopiero teraz wpadł na pomysł, żeby je wysłać, to je dopiero wyśle, a jeżeli je wyśle, to znaczy, że wróci po nie do 2097 roku, a jeżeli wróci, to zaraz uda się uruchomić maszynę czasu... Jaka ulga!

Jolanta przestała szlochać, ale w świetle kolejnych rozbłysków było widać na jej twarzy przerażający smutek.

- Zobaczymy się jeszcze? - zapytała zgnębionym głosem.

- Może kiedyś w przyszłości.

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Kiedy odsunął usta od jej ust, szepnęła cicho:

- Nie trzeba było mi mówić prawdy, płyn już, zaraz będzie świtać.

Kwaśniewski 007 wyjął z reklamówki kupioną w sklepie sportowym we

Władysławowie maskę do nurkowania z rurką, jeszcze raz sprawdził, czy hermetyczna latarka pożyczona od Wapińskiego jest dobrze dokręcona, założył maskę i sięgnął po leżący na piasku żółty, ołowiany zasobnik, który trzy godziny temu ręka w czarnej neoprenowej rękawicy wyrzuciła z morza na brzeg w miejscu wskazanym przez Ałganowa.

Jeszcze raz odchylił maskę.

- Przeprós Wapińskiego za zgubienie tej latarki i za zarzyganie mu garnituru, bo zapomniałem, i weź coś wymyśl, że musiałem wcześniej wyjechać. Już i tak przeze mnie w dziewięćdziesiątym siódmym twój prezydent będzie miał kłopoty.

- Błagam cię, nic już nie mów. 007, ja... Nigdy mnie nie odwiedzaj, żegnaj - odwróciła się i zaczęła biec ku schodom prowadzącym do Centralnego Ośrodka Sportu w Cetniewie.

Zanurzając się pod wodę, gdzieś tam w oddali słyszał jej urywane łkanie.



na rowerze. Początkowo szło mu nieźle, jednak nawet na stosunkowo małym spadku rower zaczął się niebezpiecznie rozpędzać, a każda próba hamowania na śliskiej powierzchni wywoływała niebezpieczne chybotanie. Stanisław Kierpc po krótkiej przechadzce z ciągniętym rowerem był już na tyle trzeźwy, że jechał, ale zarazem na tyle pijany, że stale wzrastająca prędkość nie przerażała go aż tak bardzo. Już, już było widać most na Białym Dunajcu, a nieco dalej Poronin, dom i ciepłe wyrko. No, może wyrka jeszcze nie było widać...

Uderzenie w barierkę mostu było silne, ale poszło po stycznej i to uchroniło rower przed pogięciem się. Rower odbił się i szorując pedałem o pokryty lodem asfalt, wyhamował dziesięć metrów za mostem w śnieżnej przyzbie na poboczu jezdni. Tymczasem Stanisław Kierpc spływał Białym Dunajcem do Wisły. Trzydniowa odwilż spowodowała znaczne podniesienie się wody. Prąd górskiej rzeki był bardzo silny, ścinał z nóg i Stanisław Kierpc pierwszy raz od rana poczuł, że naprawdę bezrobocie nie jest największym problemem. Lodowata woda pomagała trzeźwieć, było już ciemno, trochę jasności dawały światła samochodów przejeżdżających co chwila biegnącą obok rzeki „Zakopianką”. Ale przecież żaden z kierowców nie patrzył na rzekę. Stanisława Kierpca włókł po kamieniach główny nurt. Szansę zbliżenia się do prawego, łagodnego brzegu (tego od strony szosy) były małe. Lewy brzeg stanowiło podcięte, strome zbocze Pierdasiego Wierchu. Ze skarpy zwieszały się korzenie podmytych świerków. To była szansa. I Stanisław Kierpc z niej skorzystał. Zgrabiały z zimna rękami wrzeplił się w jeden z korzeni i ostatnim wysiłkiem zaczął się podciągać do góry, przebierając jednocześnie nogami po śliskiej skale łupków fliszu karpackiego, z których to łupków Pierdasi Wierch został skonstruowany przez siły geologiczne. Wreszcie Stanisław Kierpc wciągnął się na pochylony nad rzeką pień drzewa. Ale chwila wytchnienia nie trwała długo. Obciążone drzewo nagle drgnęło. Rozległ się stukot i plusk kamieni wyszarpywanych przez korzenie ze skarpy. Drzewo przewalało się do rzeki, wrywając w podmytym zboczu wielki wykrot. Stanisław Kierpc rzucił się do przodu, wpełzł na podnoszące się do góry kikuty korzeni, przeskoczył je i wpadł w dziurę wyrwaną przez odpływające właśnie drzewo. Ale wyrwa w ziemi okazała się jakaś taka dudniąca, a ponadto nie była to dziura w dół, tylko dziura, jeśli można tak powiedzieć, w bok. Stanisław Kierpc zdał sobie sprawę, że musi to być znajdujący się tuż nad rzeką zarośnięty wylot jakiejś jaskini. I tak oto jednego dnia Stanisław Kierpc został bezrobotnym, topielcem i speleologiem amatorem równocześnie. Początkujący speleolog Stanisław Kierpc posłużył się światłem zapalniczki, która na szczęście okazała się wystarczająco wodoodporna. Błady płomyk odkrył szokującą prawdę - to nie była jaskinia, ale sztucznie wyrąbany wąski szyb o nieregularnym przekroju. Pełznąąc na kolanach, Stanisław Kierpc posuwał się w głąb Pierdasiego Wierchu.

Jechało stęchlizną. Przez dziesięć metrów chodnik wznosił się lekko i rozszerzał, aż stał się wykutą w skale komorą wielkości małego, niskiego pokoju. Stanisław Kierpc zamarł. W tej komorze ktoś był. Skurczona postać siedziała na obłazącym z farby krześle. Pokryta małymi czarnymi loczkami głowa opierała się lewym uchem na zgiętym ramieniu, opierającym się z kolei na zbitym z desek prymitywnym stole. Stanisław Kierpc nieraz zasypiał w takiej pozycji po dziesięciu piwach w „Pięciu Kotach” na Toporowej Cyrhli. Tak więc teraz, kierując się osobistymi doświadczeniami, ociekający wodą z Białego Dunajca, szczękający zębami z zimna bezrobotny quasi-topielec speleolog przytomnie rozejrzał się, czy gdzieś nie stoi nie dopita flaszką.

Jakieś tam flaszki były, ale nie na stole, tylko w kącie, brudne i puste. Pod ścianą skalnej komory, obok zetlałego siennika, który, odruchowo przez Stanisława Kierpca kopnięty, rozsypał się w proch, stała szafa, tak jak stół zbita z surowych desek. Szafa nie miała drzwi. Jej zawartość była zasłonięta kotarą wiszącą na kółkach przesuwających się po drążku. Ta niby kurtyna nie dała się odsunąć; pod dotknięciem rozpadła się, ukazując rząd ubrań o nie większej trwałości. Na dnie też nie było żadnej ukrytej flaszki. Stanisław odszedł od szafy i zbliżył się do stołu. Pełno tam było pobazgranych, pożółkłych kartek papieru, jakaś metalowa skrzynka, świecznik z wypalonymi świecami, szklana strzykawka oraz gruba ryza zapisanych kartek przyciśniętych małym, szklanym ostrosłupem, który nieboszczyk ścisnął kurczowo w lewej dłoni. Prawej nie było widać, gdyż tkwiła gdzieś pod stołem zaciśnięta między udami denata.

Stanisław Kierpc widział już w życiu trupy, ale zawsze były świeże. Raz, to jak się zmarło ciotce Anieli, a drugi to ten Jasiak Gąsienica, co go znaleźli pod dyskoteką, a trzeci - szwagier, co się zabił na motorze. Ten jaskiniowo-piwniczny trup musiał być już bardzo nieświeży, choć i tak zachowany w bardzo dobrym stanie. Skóra dłoni i twarde zszarzała i jakby wyschła. To wyschnięcie w sumie było nieco dziwne, bo w lokalu nieboszczyka było wilgotno, dwanaście metrów stąd płynęła przecież rzeka. Stanisław Kierpc poświecił nieboszczykowi w twarz. W wyschłej skórze zastygły rysy dziwnie znajome. Zachował się zarost brody i wąsów, w niepokojąco charakterystycznym kształcie. I tylko te rzadkie loczki nad czołem jakoś nie pasowały do całości. Stanisławowi zdało się, że zna tego faceta z kina, a może z telewizji albo jakiegoś plakatu. Wrażenie tej znajomości było bardzo silne, ale i bardzo niekonkretne. Tymczasem w przezroczystej seledynowej zapalniczce ubywało gazu. Została jeszcze może jedna trzecia. Trzeba się było pospieszyć. Młody góral rozejrzał się dookoła. Co by się mogło przydać?

Uwagę przykuwała oczywiście strzykawka, metalowa skrzynka i szklana piramidka.

Stanisław Kierpc już sięgał po strzykawkę, która mogła się przydać ojcu do robienia owcom corocznej profilaktycznej lewatywy, kiedy nagle zwrócił uwagę, że litery na porozrzucanych papierach są jakieś dziwne. Zaciekawiony zdmuchnął z kartek drobne skalne paprochy, które najwyraźniej odkruszyły się od stropu. Litery były ewidentnie ruskie. Stanisław Kierpc, kiedy te kilka lat temu chodził do szkoły podstawowej, nie należał do najzdolniejszych uczniów, ale akurat w siódmej klasie zakochał się w pani od rosyjskiego, która była niezłą laską świeżo po studiach. Efektem tej miłości było to, że zakochany Stasiak nauczył się ekspresowo bukw oraz pieśni *Wstawaj strana ogromnaja*, którą to pieśń wykonał nawet raz na akademii, a góralski akcent dodał niezwykłej ekspresji Staśkowemu wykonaniu.

Młodzieńcza miłość i kariera estradowa skończyły się za sprawą pana od WF-u, który też zainteresował się rosyjskim. Ale dziś jeszcze, po tych kilku latach Stanisław Kierpc był w stanie wysylabizować z pierwszej strony rękopisu przyciśniętego ręką nieboszczyka podkreślony dwukrotnie tytuł: *Nowaja eroticzieskaja politika sowietskoj wtasti*. Stanisław Kierpc skojarzył od razu. Eroticzieskaja - znaczy coś z seksem; strzykawka... - teraz młody góral nie miał wątpliwości. Trzeba uciekać!!! To jest zakaźny trup ruskiego ćpuna, który zdechł na AIDS.

Stanisław spojrzął z obrzydzeniem na strzykawkę i na szklaną piramidkę, którą nieboszczyk ścisnął w garści. Krucafuks, będzie trzeba się zadowolić tylko tom metalowom skrzyneckom - pomyślał.

Skrzynka była nieduża, ale bardzo ciężka. Na szczęście posiadała przekręcany uchwyt umocowany na dwóch obrotowych trzpieniach. Była mocno oproszona skalnym ziarnem z sufitu, ale ani trochę zardzewiała.

Pewnikiem z aluminium, ale czemu takie cinzkie - zdumiał się Stanisław. Pomyślał też o czymś jeszcze. Mianowicie o tym, że byłoby dziwne, gdyby nieboszczyk za każdym razem wchodził do swojej kryjówki przepływając się przez rzekę albo - co było drugim rozwiązaniem - zsuwając się po stromym zboczu do wejścia położonego tuż nad samą wodą - przecież wiązałoby się to z ryzykiem wpadnięcia do Białego Dunajca. Gdzieś powinno być drugie wejście. Tylko gdzie? Stanisław Kierpc nie darmo w młodości oglądał kapitana Klossa. Rozwiązanie problemu mogło być tylko jedno - szafa.

Istotnie! Szafa tak naprawdę nie stała, tylko wisiała milimetr lub dwa nad podłogą. Tylne ściana, zbita z grubych desek, trzymała się dwóch poprzecznych belek, które zakończone były zawiasami osadzonymi w futrynie ukrytej za szafą. Wystarczyło pociągnąć szafę ku sobie, a uchylała się jak skrzydło drzwi, ukazując za sobą czarną przestrzeń. Stanisław Kierpc poświecił. Wyłupane w kruchej skale fliszu karpackiego schody prowadziły



gdzieś do góry. Stopni nie było dużo. Trzy metry w pionie i kłapa. Drewniana, całkiem przegniła i mokra. Młody góral walnął w nią pięścią z całej siły. Posypała się ziemia i igliwie. Stanisław, cofając pięść, poczuł, że kaleczą go strzępki przerdzewiałej blachy, którą kłapa została obita. Ale to już było nieważne. Pięć minut później, wymacując starą ścieżkę, a może tylko się Stanisławowi zdawało, że to ścieżka, grunt, że metr po metrze pełzył z powrotem w kierunku drogi z Suchego do Poronina.

\*\*\*

Stanisława obudził wrzask matki: - Dziewionto już, cego jescze lezys?

- Zwolnienie mom, krucafuks. Do wieczora żeśmy śnieg zwozili pod wyciung i coś si źle cuje - odruchowo kłamał Stanisław.

- Jak mos zwolnienie? Łu lekaza nie byłeś...

- Wiecorem byłem, dyżur był w łóśrodku.

- Pokoz.

- Dałem już Bachledzie. Matka, krucafuks, słysys, jak ja mówię...

Istotnie, Stanisław Kierpc chrzypiał przeraźliwie, głównie z przepicia, choć wczorajsza kąpiel w Białym Dunajcu też wzbogaciła tę pijacką chrypę o swoisty ornament akustyczny, bardzo uprawdopodobniający obecność ciężkiej choroby w ciele młodego Kierpca. Matka dała za wygraną i zaczęła się szykować na PKS do Nowego Targu, gdzie co tydzień odbierała bawełniane ścinki, które po rozgotowaniu bardzo dobrze splatały się z owczą wełną na swetry. Stanisław został sam w chałupie. Był kawalerem. Starsza siostra wydała się dwa lata temu i teraz mieszkała z dziećmi w Małym Cichem w domu szwagra, co się zabił na motorze, a młodszy brat mieszkał teraz w internecie w Krakowie. Stary Kierpc zaś o 6.00 zaczynał pracę w tartaku.

Tylko drzwi zatrzasnęły się za gaździną, a Stanisław rzucił się pod łóżko. Wydarzenia poprzedniego dnia to nie był jednak pijacki sen. Aluminiowa (?) skrzynka posłusznie czekała na zbadanie. Wytargawszy wczorajszą zdobycz spod łóżka Stanisław położył ją na stole. W kuchni za piecem oczywiście ścierki znowu nie było. Stanisław złapał więc proszek do czyszczenia kibla i zmoczył skarpetę. Dziesięć minut później puszka Pandory lśniła jak nowa. Teraz można się było dokładnie przyjrzeć znalezisku. Skrzynka miała, z grubsza biorąc, kształt sześcianu o boku około dwudziestu centymetrów i lekko zaokrąglonych krawędziach. Na jednej ze ścian u dołu były małe dziurki, skupione w obwodzie koła o średnicy pięciu centymetrów - coś jakby głośnik. W połowie wysokości skrzynki, dookoła czterech ścian biegła prawie niedostrzegalna wąska rysa dzieląca sześcian na dwie połowy - dół z dziurkami

i górę z uchwytem.

Co to ku\*\*\* jest! Może ruska bomba? N” \*o ch\*\*, najwyżej p\*\*\*dolnie - pomyślał Stanisław Kierpc, ściskając dół sześcianu między kolanami i ciągnąc z całej siły za uchwyt. Pokrywa, o ile to oczywiście była pokrywa, nie dawała się jednak zdjąć.

Gdyby to była bomba, to nie miałyby takich dziurecek, no bo po co? - uspokajał się Stanisław Kierpc, idąc po oliwkę i widelec. Nawet jednak po napuszczeniu oliwki w szczelinę pokrywa nie dawała się podważyć. Stanisław już miał iść po siekiere, kiedy zauważył dwie malutkie, płaskie śrubki niemal wtopione w obudowę. Znalezienie śrubokręta w domu nie było łatwe, ale kiedy i ta sztuka się udała, śrubki odkręciły się nadszpiewanie lekko, a górna połowa sześcianu sama odskoczyła na centymetr, jakby popchnięta sprężyną. Teraz pokrywa dała się łatwo zdjąć. W środku nie było nic, co by przypominało ładunek wybuchowy. Były za to:

- dwie cewki, takie jak do transformatora,
- cztery lampy elektronowe, tak jak w starych odbiornikach,
- posplatane w najróżniejsze kombinacje kabelki połączone jakimiś dużymi czarnymi kostkami z tworzywa. Na każdej kostce były inne cyfry i ruskie litery. Jedną czwartą pojemnika zajmowało coś w rodzaju dużej baterii. Na zaciskowych bolcach wyraźnie było widać plus i minus. W środku, na złotej płytce umocowany był szklany ostrosłup, taki sam jak ten, którym jaskiniowy nieboszczyk przyciskał swoje papiery. Prawie taki sam. Ten miał czerwone zabarwienie. Z boku skrzynki, we wnętrzu, były jakieś klawisze oznaczone bukwami „Д”, „Ж”, „Я”.

Ku\*wa, stare ruskie radio - Stanisław był rozczarowany. Zważywszy jeszcze fakt, że wczoraj po dojściu do mostu znalazł w śniegu, na poboczu jezdni, tylko odcisk swojego roweru, bilans strat i zysków nie przedstawiał się najlepiej.

Zęby grało, to może jaki poje\*any hobysta da za to na flaske - pomyślał Stanisław i zaczął naciskać klawisze pojedynczo albo po dwa lub nawet wszystkie trzy naraz. Skrzynka nawet nie pisnęła. Nie zdziwiło to Stanisława. Jeśli bateria była tak stara, jak rozlatujące się w dłoni ubrania z szafy tego ruskiego ćpuna, to radio nie miało prawa działać. Stanisław przyniósł z pokoju ojca latarkę i wymontował z niej płaską baterię. Bateria z latarki była dużo mniejsza od ogniwa z ruskiej skrzynki, ale w chałupie nie było innej baterii, więc Stanisław postanowił zaryzykować.

Może coś chociaż bzyknie. Wtedy dokupi się we kiosku jescce kilka baterii i połuncy jich seregowo.

Najgorsze, że na ruskim ogniwie nie było podanej liczby woltów. Była co prawda

wygrawerowana jakaś jedyńka, ale co oznaczała, Stanisław nie wiedział, bo po jedyńce „V” nie było. Stanisław znał się nieco na elektryce, bo na wyciągu to zawsze on zamieniał bezpieczniki, jak pieprznęły pod zbyt dużym obciążeniem.

Wymiana ruskiej baterii na nową z latarki nie trwała dłużej niż minutę.

Stanisław nacisnął teraz klawisz oznaczony „Д”. Nic się stało. Spróbował bukwę „Ж”. Coś zaczęło cicho brzęczeć, poza tym żadnych spektakularnych efektów, żadnej muzyki, nic...

Stanisław włączył klawisz „Я”. Ciche brzęczenie ustało.

Może lampy musom się nagrzać albo ni ma janteny - pomyślał.

W jednym miejscu było nawet coś takiego, co wyglądało na gniazdko od anteny. Stanisław wstał od stołu, żeby pójść po jakiś drut, lecz nie uszedł jeszcze dwóch kroków, kiedy nagle rozległ się przeraźliwy wrzask gęsi na podwórku. Matka trzymała trochę drobnego inwentarza, cztery gęsi, dwie kury, koguta, pięć owiec do wełny na swetry i jednego barana reproduktora. Młody gospodarz wybiegł na podwórko. Jedna z gęsi leżała na grzbiecie, oczy miała wytrzeszczone, dziób rozdziawiony, dyszała ciężko, jakby miała zaraz wyzionąć ducha. Druga gęś z kolei darła się przeraźliwie, a kogut dosiadał ją w niedwuznacznym zamiarze. Dookoła biegały kury dziobiąc na chybił trafił to gwałconą gęś, to koguta. Stanisław nie zdążył jeszcze sięgnąć po grabie, kiedy coś się zakotłowało w szopie dla owiec. Głośne beczenie na pięć głosów zawtórowało drącej się gęsi.

Krucafuks, opętało coś te gadziny - pomyślał Stanisław, ale na dalsze myślenie nie było już czasu...

Baran doskakiwał to do jednej owcy, to do drugiej, to do trzeciej, to do czwartej, to do piątej i znowu. Stanisław, miotając się między szopą a podwórkiem, nie był w stanie intelektualnie ogarnąć całej sytuacji. Nagle, gdzieś zza domu, to znaczy gdzieś tam od drogi biegnącej koło domu Kierpców dobiegł do uszu Stanisława ni to krzyk, ni to szloch - jęk raczej jakiś taki kobiecy, oddalony i dziwny. Stanisław wybiegł na drogę, ale nic dziwnego nie zauważył. W zasięgu wzroku było pięć domów po drugiej i trzy domy sąsiadów po tej samej stronie drogi, co dom Kierpców. Stanisław wyteżył słuch. Coś znowu usłyszał, ale teraz z innej strony i gdzieś dużo dalej - od wyciągu orczykowego.

Aaaa, pewnie turystki, młode juchy, piscom jadące na nartach - wytłumaczył sobie akustyczne zjawisko.

Zresztą trudno było coś ludzkiego usłyszeć, bo w innych zagrodach zwierzaki też coś zaczęły się miotać.

Zaraza jaka, cy co?

W tym momencie Stanisław zauważył, że zza zakrętu wyłoniła się charakterystyczna postać garbatej Maryśki Słodyczko, starej panny, dobrze po czterdziestce, zatrudnionej na etacie sprzątaczkii w domu wczasowym „Gron”. Jeszcze dziesięć lat temu jako trzynastoletni smarkacz Stanisław Kierpc ze swoim dwunastoletnim wówczas bratem zawsze jesienią urządzali sobie safari, czyli polowanie na wielbłąda, co polegało na czajeniu się za płotem, a następnie obrzucaniu przechodzącej Maryśki robaczywymi śliwkami. Zabawa skończyła się, kiedy Maryśka poskarżyła się starymu Kierpcowi, w wyniku czego młodzi myśliwi trzy noce spędzili w śmierdzącej szopie z owcami, tak więc obecnie Stanisław czasami mówił nawet Maryśce: „Dzień dobry”.

- Dzień dobry - krzyknął Stanisław do przechodzącej Maryśki i już w myślach układał zdanie: „A cóż to takie piski u Bachledy na łorcyku”, ale ani jedna sylaba nie przeszła młodemu góralowi przez zdławioną krtani. A wszystko przez to, że Maryśka wcale nie odpowiedziała: „Dzień dobry”, tylko popatrzyła Stanisławowi prosto w oczy. Źrenice miała rozszerzone i Kierpcowi zdawało się, że to dwa małe magnesy tak silne, że niepodobna ani unieść, ani opuścić wzroku. Mimo, że wpatrzony w te czarne punkty, Stanisław dostrzegał również więcej. Dostrzegał również to, na co nigdy nie przyszłoby mu do głowy zwrócić uwagi. Widział, że pierwsze zmarszczki na twarzy czterdziestosześcioletniej bądź co bądź kobiety, to jak tajemne pismo, którym czas wyrzył cały smutek, pustkę i beznadziejność samotnego życia garbatej sprzątaczkii z „Gronia”. Stanisław poczuł nagle w sobie taką żalność...

Wspomniał „polowanie na wielbłąda” i wstyd połączony z wielką tkliwością eksplodował w psychice dwudziesto-trzyletniego górala jak uśpiony wiele lat wulkan. Stanisław Kierpc zazdrzał, a w rozszerzone tętnice spłynęła gęsta, płonąca lawa pożądania. Kto pierwszy uczynił gest - Maria Słodyczko czy Stanisław? Całując się, pokonali schody z sionki do kuchni, z kredensu pospadały jakieś talerze, ale to było nieważne. Jak znaleźli się w pokoju młodego Kierpca? Stanisław ledwie zdawał sobie sprawę z tego co się dzieje. Przycisnął Marię do stołu i zaczął rozpinać jej bluzkę. Zapach, naturalny zapach dojrzałej kobiety upajał go. Jej biedne piersi były wyschłe z braku pieczyoty, zawieszona na ciągnących się od szyi niby-strunach zmarszczonej skóry. Stanisław zaszlochał, całując te piersi, tak jakby swymi gorącymi łzami mógł je zwilżyć i przywrócić dawną jędrność. Spragnione usta Stanisława znów powróciły do ukochanej twarzy. Całował każdą zmarszczkę, jakby chciał ją rozprasować, wygładzić. Jakby mocą namiętności chciał cofnąć okrutne wskazówki biologicznego zegara. Maria odchyliła się do tyłu, jęcząc z rozkoszy, a Stanisław przytulił się do niej tak mocno, że stół zachwiał się, a płaska bateria leżąca obok metalowej skrzynki

zsunęła się za krawędź stołu, zawisała na łączących ją ze skrzynką kabelkach, a następnie wysmyknęła się z mocujących krokodylków i upadła na podłogę.

Pierwsze uderzenie kościstej piąstki trafiło Stanisława w oko. Maryśka darła się jak opętana, plując i bijąc na oślep. Stanisław czuł w rozszerzonych nozdrzach woń potu, starej ścierki i zatechłych mydlin. Odepchnął Maryskę ze wstrętem, ale ta zdążyła go jeszcze złapać za rękę i boleśnie ukąsić. Wolną ręką chciał ją zdzielić przez łeb, ale „psiekrewia” była szybsza - złapała ze stołu widelec (którym Stanisław rano podważał pokrywę „skarbu”) i tym widelcem dziabnęła Stanisława w czoło tak boleśnie, że góral odskoczył, potknął się o taboret stojący gdzieś z tyłu i runął na podłogę. Maryśka, zapinając bluzkę, wybiegła bez pożegnania.

Policja przyjechała wieczorem.

Stanisław leżał na łóżku i gapił się w sufit. Bolał go łeb, rwała ręka i było mu wszystko jedno. Nawet wrzaski matki, która godzinę wcześniej po powrocie z Nowego Targu okręcała mu głowę bandażem, te wrzaski i głupie pytania też miał gdzieś. Kierpcowa uprzejmie otworzyła dwóm policjantom drzwi do pokoju syna.

- Weźmijcie mi, panowie, to ścierwo sprzed łocu, bo go sama zatłukę - rzuciła na koniec, zostawiając Stanisława sam na sam z organami ścigania. Organa składały się w tym przypadku z sierżanta Andrzeja Stanika i posterunkowego Jacka Bunca. Stanisław znał doskonale obydwu. Wiadomo, jak to w małej miejscowości. Pięćdziesięcioletni sierżant pracował na komendzie jeszcze za komuny. Bunc był rówieśnikiem Kierpca. Kiedyś nawet razem kłusowali na świstaki, a w 1992 roku Jacek przyjął się do policji.

- Gratulacje, Stasiu - zaczął kąśliwie sierżant. - Wreszcie się ktoś dobrał do nasej Miss Polonia.

- Łodpierzółta się - Stanisław Kierpc nie był w nastroju.

- Grzecnie, Stasiu, godej grzecnie, bo jo tu mom podpisane łusiłowanie gwałtu.

- Sama, krucafuks, kciała. No cemu jo kciołem, to, ku\*\*\*, zabij mnie nie wim, ku\*\*\*, ja wyseł na łulice, bo piski były łod łorcyka.

Bunc przerwał Stanisławowi.

- Ale ty, Stasiu, mos, krucafuks, scynście. Ty wiś, co było na łorcyku? Twoje łusiłowanie to nic. Warn tu dzisiej syćkim łodpierzółoło pod Galicowom Grapom. Bachleda ło dziesiontej zatrzymoł wyciung, łopuścił spodnie i sed w gore łod łorcyka do łorcyka i posuwoł kazdom narciarke... Ji takom, co miała piętnaście roków, ji takom, co miała pięndziesiontkę na karku...

- Krucafuks - Stanisław aż usiadł na łóżku ze zdziwienia.

- I te kurwy się nie broniły, a teraz mom dwadziścia pińć zgłoseń o gwałt, a Bachleda

leży w Zakopanem, w szpitalu na reanimacji - dodał sierżant Stanik.

- Krucafuks - powtórzył Stanisław.

- Momy też zgłoszenie od Maciakowej o łobrazie łocu - kontynuował Jacek Bunc. - Też zaraz po dziesiontej pod Maciaków chałupom Jontek, ten od Strąków, z przyrodzeniem w garści gonił łowcę...

- Ku\*\*\* mać, Jezusie! - Stanisław złapał się za głowę, bo to wszystko się w tej głowie nie mieściło.

- Ty mos, Stasiu, krucafuks, scynście. Nie wezmę cię dzisiaj, bo mom już pełnom komendę. Jontek to roz. Dwa Maciej Żerdka: między dziesiontom pinć a dziesiontom dwadzieścia zgwałcił cały łobóz sportowy z Warsiawy, znacy piętnaście studentek z jinstruktorom, co jich Żerdka miał w chałupie. Teroz się tłumacy, ze jinstruktora to z rozpędu.

- Krucafuks - westchnienie Stanisława Kierpca.

- Trzy to Strąkowa. Ki diabeł w babę wliz, czterdzieści lat ma przeca. Rozprawicyła dziwińciu chłopacków z harcerskiego zastympu, co na ferje przyjechali teroz do niej. Strącek też siedzi, bo jak wrócił z roboty, to jej mało nie zakatrupił pogrzebacem.

Sierżant Stanik wymieniał nazwisko po nazwisku, a Stanisławowi ta litania układała się w głowie w spójną całość - wszystko znajomi i sąsiedzi, mający chałupy nie dalej niż jakieś sto pięćdziesiąt metrów od domu Kierpca.

- A Hanka Matejowa i Józek Owca ze się łobzowali na ludzkich łocach na przystanku PKS-u, to teraz siedzom grzecznościowo w remizie. Chwała Bogu, że się komendant Straży zgodził, bo na komendzie już nie mom gdzie wos trzymać, krucafuks, waryjaty.

Stanik skończył. Hanka Matejowa i Józek Owca mieszkali co prawda w dolnym Poroninie, ale przystanek PKS-u, na którym nieobyczajne zachowanie miało miejsce, ten przystanek pięknie wpisywał się w okrąg wyżej scharakteryzowanego sąsiedztwa chałupy Kierpców.

- Ciebie Stasiu do remizy nie dom, ale napis mnie tu, co to było z tom Maryśkom i podpis. Bedzies łodpo-wiadał z wolnej stopy. - Sierżant wyjął z teczki papier i podsunął Kierpcowi.

- Łodpierz się, Stanik, nic nie podpis, ale ci coś dom. - Stanisław schylił się pod stół i wyciągnął „radio” znalezione w kryjówce ruskiego ćpuna.

\*\*\*

Podobnego zjazdu niebieskich kogutów, jak ten z 8 marca 1995 roku nie pamiętali nawet najstarsi górale z Poronina. Oczekujący o piątej rano na PKS z Nowego Targu do

Zakopanego pracownicy zakopiańskiej masarni zazgrzytali szczękającymi w porannym ziąbie zębami, kiedy zamiast PKS-u na zakopiańskiej szosie pojawiły się cztery policyjne furgony z krakowską rejestracją, jedna lancia, wojskowa karetka sanitarna i samochód chłodnia z napisem: „Zakłady Drobiarskie” na budzie. Potem pojawił się radiowóz poronińskiej komendy. Trzystumetrowy odcinek „Zakopianki”, most do Suchego oraz kawał z boczna Pierdasiego Wierchu zostały w kilka minut otoczone białą-czerwoną taśmą ostrzegawczą z polietylenu. Pracownicy masarni musieli przejść na stację kolejową, bo PKS, który nadjechał dwie minuty później, utknął za taśmą na dobrą godzinę. Przez tę godzinę w rozświetlanym niebieskimi mignięciami mrocznym przedświcie marcowego poranka działy się rzeczy dziwne. Jakieś indywidua w gumowych kombinezonach rozpięły sznur w poprzek Białego Dunajca i łążyły w tę i z powrotem, Inne, w czarnych kominiarkach, pętały się po krzakach i lesie porastającym Pierdasi Wierch u podnóża. Wreszcie, około szóstej rano, te w gumowych kombinezonach przeniosły przez rzekę duży, nieregularny pakunek w czarnej folii. Metalowe drzwi z dużym, uśmiechniętym kurczakiem otworzyły się i foliowy pakunek zniknął w samochodzie chłodni. Wtedy „Zakopianka” została odblokowana i większość karawany policyjnej zawróciła do Krakowa. Dwa samochody policyjne odłączyły się od stada i potem przez pół dnia stały za mostem przy białej tablicy z napisem: „Suche”. Niektórzy górale z Suchego opowiadali potem, że policja wynosiła z lasu plastikowe wypchane worki.

Tydzień później w „Tygodniku Podhalańskim” ukazała się drobna wzmianka o wykryciu w Poroninie wytwórni amfetaminy i johimbiny oraz o spowodowanym przez tę wytwórnię nieznacznym, a przy tym już zdezaktywowanym zatruciu ujęcia wody w tej miejscowości. Postępowania przeciwko sprawcom nieobyczajnych wykroczeń z dnia 7 marca zostały umorzone. Do 1999 roku ciągnęło się tylko kilka spraw o alimenty.

8 marca 1995 roku Stanisław Kierpc odwiedził kolejno wszystkie bary w Poroninie, opowiadając niewiarygodne bzdury m.in. o tym, że ukazał mu się Lenin, który prosił, żeby go z powrotem ustawić na pomniku. 9 marca 1995 roku Stanisław Kierpc wyszedł z domu. Ostatnią osobą, która go widziała, była kwiaciarka Hanna Perć, u której zaginiony kupił kwiaty około szóstej wieczorem. Zapamiętała to wydarzenie, gdyż 9 marca był to jedyny klient płci męskiej.

## 2. Sensacje XX wieku

O 18.05 3 lipca 1995 roku rzecznik rządu, Aleksandra Jakubowska wraz z sekretarką niosącą dokumenty stanęły przed drzwiami gabinetu premiera. Pilnujący bezpieczeństwa Józefa Oleksego borowiec uchylił drzwi i zaanonsował gości.

- Tak, tak proszę, pani Olu - zza drzwi dobiegł charakterystyczny głęboki, serdeczny głos pana premiera.

Kobiety weszły, a borowiec wrócił na swoje stanowisko za drzwi.

- Panie się rozgoszczą. Moja sekretarka, bidulka, mi się pochorowała. Ale niech tam mi się korona z łusiny ześlizgnie, już wstawiam kawkę.

Józef Oleksy złapał wtyczkę elektrycznego czajnika stojącego na biurku, lecz Aleksandra Jakubowska była szybsza - nim premier wetknął w gniazdko swoją wtyczkę, pani rzecznik zdążyła zza dekoltu wydobyć małe czarne urządzenie z dwoma bolcami i to właśnie urządzenie błyskawicznie zostało wetknięte do kontaktu. Delikatna wibracja rozprzestrzeniła się na ściany pokoju, skutecznie zakłócając pracę wszelkich urządzeń podsłuchowych, gdyby takowe „przypadkowo” były zamontowane w gabinecie premiera.

- K... (dec. prok.), Olin, kawy to ja się mogę ożłopać w UOP-ie - powiedział doradca szefa UOP, pułkownik Marian Zacharski, zdejmując gumową maskę z twarzy.

W tym samym czasie rzekoma sekretarka złapała się za włosy i w ułamku sekundy spod blond zasłony uniesionej do góry peruki wynurzyła się sympatyczna twarz majora J. Nózki - zastępcy Gromosława Czempińskiego, szefa UOP-u.

- Cześć Minim, cześć Kat - ucieszył się premier, ściskając serdecznie dłonie kolegom wywiadowcom.

- K... (dec. prok.), Olin, nie ma czasu na czułości - głos Mariana Zacharskiego był stanowczy. - Bo sp... (dec. prok.) sprawę.

Rutynowy język służbowy obowiązujący w całym resorcie spraw wewnętrznych (por. *Biała Księga*) w ustach pułkownika dobitnie podkreślał znaczenie sprawy.

- K... (dec. prok.), mamy tu rewelację - kontynuował Zacharski. - Kiedy się będziesz kontaktował z Jakimiszyinem? (Grigorij Jakimiszyin - obywatel Federacji Rosyjskiej, miejsce zamieszkania nieznane, bez stałego miejsca pobytu w Polsce, żonaty, absolwent Akademii Czerwonego Sztandaru KGB, kadrowy oficer KGB Federacji Rosyjskiej, zatrudniony od 25 czerwca 1992 roku do 2 października 1995 roku na stanowisku pierwszego sekretarza ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie).



- K... (dec. prok.), Minim, nie wiem, ostatnio, jak był, żona, wiesz, nie wiedziała, wyp... (dec. prok.) go, bo zaczął niuchać po lodówce.

- Ku... (dec. prok.), niedobrze... Jak to po lodówce?

- Ałganow mu naopowiadał, jak to żeśmy sobie biesiadowali, to teraz ten k... (dec. prok.) go mać przychodzi i od razu wpier... (dec. prok.) tego ryja do lodówki i *zaczyna*: „A zajac jest? A tatar jest? A nóżki?”

- Co, nóżki? - ocknął się J. Nóżka, który dotychczas nie włączał się do rozmowy, bo wyskubywał z peruki malutkie granulki naftaliny, których w pośpiechu nie zdążył usunąć zaraz po pobraniu peruki z magazynu.

- W galarecie - odpowiedział premier.

- Aha - uspokoił się J. Nóżka i powrócił do swojego zajęcia doczyszczania peruki.

- K... (dec. prok.), Olin, co ty mi tu jakieś pierdoły. Materiały z UOP-u przekazałeś? - zniecierpliwiał się Zacharski.

- Na szczęście zdążyłem, zanim go żona wywaliła.

- No to dobrze... Coś mu mówiłeś, wyjaśniałeś, jak ci mówiłem.

- Tak, no jasne - premier Oleksy zachnął się. - Za głąba mnie masz, czy co? Powiedziałem mu, że przepis na racuchy jest od mojej babci nieboszczki, a ten na kaczuszkę to od sąsiadki, a ten na krem do tortu, że żona od znajomej dostała.

Zacharski był wyraźnie zadowolony.

- I co, coś mówił jeszcze?

- Tak, mówił, że zagonili w ambasadzie jedną sekretarkę do kuchni, bo sami wszystko też próbują, zanim pošlą Jelcynowi przepis.

- To niech, k... (dec. prok.), próbują, bardzo pięknie. Słuchaj, Olin, mówiłem ci, rewelacja jest, tylko weź przeproś tego Jakimiszyna za żonę, musisz to przekazać, masz tu teczkę.

- Kiedy, k... (dec. prok.) mać, nie widzisz, Minim, do której teraz siedzę w gabinecie? Myślisz, k... (dec. prok.), że to łatwy chleb być premierem w tym pieprzniku?

- K... (dec. prok.), Olin, nie wyślizguj się i premierem nie zastaniaj. Co, ja się mam z Jakimiszynem spotkać? A co mu, k... (dec. prok.), powiem? Ja z nim gram w tenisa, a to ciebie Ałganow rekomendował jako specja od obżarstwa, nie mnie. Ode mnie Jakimiszyn nic nie weźmie jak tresowany pies, a nawet jak weźmie, to sobie tym dupę podetrze w kiblu, a nie pošle Jelcynowi jako wartościowy przepis. Weź tę teczkę.

- Co tam jest? - Oleksy miękł w oczach.

- Dewolaj „Fast killer”.

- Jak to fastkiller, że szybko zabija czy jak? - zaciekawił się Oleksy.

- Ile jest masła w normalnym dewolaju? - zapytał retorycznie Zacharski.

- No, łyżka, dwie, więcej się w tego kurczaka nie wsadzi - niepewnie odpowiedział premier.

- No właśnie, łyżka, dwie, a jak by było pół kostki...

- K... (dec. prok.), niemożliwe, stopiłoby się, wylało -Oleksy był wyraźnie zaskoczony.

- Olin, w tej teczce - uroczystym tonem zaczął doradca szefa UOP - masz przepis prosto z naszego laboratorium. Do środka trzeba włożyć szkielecik.

- Jaki szkielecik, k... (dec. prok.), piłeś dzisiaj?

- Taki z wafelka jak do lodów, wokół tego owijasz dopiero tego jeb... (dec. prok.) fileta z kurczaka, a do wafelka możesz tym sposobem wpier... (dec. prok.) nawet pół kostki masła i nie wyleci.

- K... (dec. prok.), genialne. - Oleksy był wstrząśnięty.

- Wiesz, co jeszcze masz w tej teczce?

- Mów.

- Biskopt. Wpier..., (dec. prok.) w biskopt cztery kostki masła i pięćdziesiąt żółtek?

- Zapadnie się, zakalec będzie. Tłusty zakalec - Oleksy kręcił głową, przeczuwając, że Zacharski zaraz wyciągnie asa z rękawa.

- K... (dec. prok.), można, to fakt, cudowny fakt. Nasi chłopcy dwa miesiące nie wychodzili z laboratorium. Trzeba użyć białka nie z kurzych jaj, a z kaczych. Mieszasz z cukrem, ubijasz i stoi potem jak kut... (dec. prok.), nie opada. To jest biskopt jak skała, jak taki pumeks do szorowania pięt, chrupiący i najważniejsze, że masło się nie rozpląwa, te żółtka też trzyma, mur-beton. Taki ni to biskopt, ni beza, ale całkiem smaczne.

- K... (dec. prok.), tyle masła, tyle żółtek. Czysty cholesterol, to już pewnie ten skur... (dec. prok.) Jelcyn nie dożyje wyborów. Pier... (dec. prok.) na zawał, ni chu... (dec. prok.). Dobrze, spotkam się z Jakimiszynem. Dla Polski!!! - Oleksy wyciągnął rękę do starego kamrata ze służb specjalnych. Zacharski podał swoją dłoń i obaj długo patrzyli sobie w oczy. J. Nóżka przerwał czyszczenie peruki i położył swoją dłoń na ich uściśniętych prawicach. Teraz rozumieli się bez słów.

- Jest jeszcze jedna sprawa - Zacharski przerwał chwilę podniosłego milczenia. - Nóżka, daj gazetkę.

J. Nóżka położył perukę na biurku premiera i zaczął grzebać w aktówce. Wreszcie wyciągnął jakąś gazetę i podał ją Oleksemu.

- Co to jest? - niepewnie zapytał premier.

- „Tygodnik Podhalański”, otwórz na trzeciej stronie.

- Johimbina, amfetamina, zatrucie wody w Poroninie, k... (dec. prok.), to z marca jest, co mnie to obchodzi -premier Oleksy przeleciał wzrokiem cały artykuł.

- Nóżka, fiolka! - zakomenderował Zacharski.

J. Nóżka posłusznie wydobyl z aktówki zakorkowaną probówkę, w której unosił się jakiś szary paproch.

- A to co znowu? - premier był coraz bardziej zdziwiony.

- To jest kawałek bardzo interesującego nieboszczyka - enigmatycznie odpowiedział Zacharski i niespodziewanie zmienił temat. - Co ty tam powiedziałaś Ałganowowi trzydziestego maja?

- Jak od tego Kuny do mnie dzwonił? Jakiego nieboszczyka? Minim, co wy kombinujecie, k... (dec. prok.) mać.

- Co powiedziałaś Ałganowowi?

- Żebyśmy zmienili formę kontaktów. Milczanowski nie śpi, a Kuna ma pewnie telefon na podsłuchu. Zresztą sam mi mówiłeś chyba, że ma.

- Bo ma. No właśnie, Milczanowski nie śpi, a ty sobie z Ałganowem gawędzisz o formach, dobrze że taśmę przechwyciłem... Przesłucham do końca, to się dowiem, coś tam jeszcze nawygadywał. No i co, zmieniliście tę, k... (dec. prok.), formę?

- No tak, dwa dni temu Ałganow, jak przyleciał z Moskwy, to dzwonił do mnie na komórkę i przedstawił się jako Zbychu.

- To dobrze, a co chciał.

- Sobotnią „Gazetę Wyborczą”, pytał, czy nie mam. On w niedzielę drugiego przyleciał, a w sobotę był ten dodatek „Turystyka” czy coś.

- A po co mu to? - Zacharski wyglądał na zdziwionego.

- A bo chciał gdzieś wyjechać, tylko jak zwykle najtaniej. Jaki to, k... (dec. prok.), skąpiec jest, to zgon. W „Wyborczej” wiesz, w tym dodatku takie „last minutę” drukują, jak wyprzedaż jest jakichś odwołanych rezerwacji z niemieckich biur podróży. I Ałganow taki jest, z KGB ma pensję, zbożem handluje z tym Polmarkiem, miliony, k... (dec. prok.), zarabia, ale na wakacje to musi być za pół ceny. Nic, że tam, k... (dec. prok.), potem mordy nie ma do kogo otworzyć, bo cała grupa szwargocze po niemiecku i napić się nie ma fc kim, ale potem dzwoni: „A w Portugalii byłem, a w Hiszpanii, a tu a sru...”, a że tam siedział jak kotek i się nudził, to chu... (dec. prok.), ale, ku... (dec. prok.), za pół ceny.

- Może matkę tego Ałganowa kiedyś puknął jakiś Szkot?

J. Nóżka wtrącił się do rozmowy.

- Szkot w Moskwie w latach pięćdziesiątych?! Zaraz by mu KGB zajrzało pod spódnicę. Dostałby z dziesięć lat łagrów za szmugiel narządów. Nóżka nie trzep, ku... (dec. prok.), tej peruki, już jedzie naftaliną w całym gabinecie

- podniósł głos Zacharski i wrócił do rozmowy z premierem:

- A gdzie on by konkretnie chciał jechać.

- Mówił coś o Majorce.

- K... (dec. prok.), wspaniale, i co z tą gazetą?

- Powiedziałem, że żona też zapomniała kupić.

- K... (dec. prok.), niedobrze. Nóżka, daj wufałkę.

J. Nóżka wydobyl z aktówki mały notes i podał Zacharskiemu. Zacharski rozchylił okładki i wystukał kilka cyfr na klawiaturze wideofonu.

Z głośniczka wydobył się cichy głos:

- Gazownia, słucham.

- Podaję ciśnienie gazu - odpowiedział Zacharski i znów nacisnął kilka klawiszy. Kod został rozpoznany i z okładki odezwał się oficer dyżurny.

- K... (dec. prok.), Marian, skąd dzwonicz?

- Od Olina, weź mi ustal, gdzie teraz jest Ałganow?

- Momento, please, muszę piknąć do Lesia. On się dziś turla za figurantem - głos w wideofonie zamilkł na chwilę. - Korty „Mery”, od szesnastej pięćdziesiąt. A tak przy okazji. Nie wiem, czy cię to, Marian, zainteresuje, ale o dziewiątej nasz figurant zostawił znowu pełną reklamówkę w pralni chemicznej, wiesz, tej co zwykle.

- Pięknie, k... (dec. prok.), pięknie. Stasiu, weź mi jeszcze zeskanuj na kryształ sobotni dodatek turystyczny „Gazety Wyborczej”.

- Za pięć minut będziesz miał, coś jeszcze?

- Nie, dzięki.

- To się odmeldowuję. - Oficer dyżurny UOP-u rozłączył się. Przez cały ten czas, kiedy Zacharski wypytywał premiera o gazetę, Oleksy nie odrywał wzroku od próbówki z paprochem, którą to próbówkę Zacharski od niechcenia przekładał z ręki do ręki. Potem, dzwoniąc z wideofonu, Zacharski położył próbówkę na biurku, co premier wykorzystał, żeby ją przechwycić i obejrzeć paproch pod światło.

- Marian, co to, k... (dec. prok.), jest? - zapytał Oleksy nieco zdezorientowanym głosem, najwyraźniej obserwacja paprocha nie dała premierowi wystarczającej satysfakcji poznawczej.

- Mówiłem ci, kawałek nieboszczyka. No dobra. Nóżka, pokaż mu rękopis.

J. Nóżka wyjął z aktówki spiętą ryzę papieru kserograficznego i położył na biurku przed premierem.

- Marna odbitka, ledwie coś widać - Oleksy wpatrywał się w pierwszą stronę.

- Oryginał był żółkły i wypłowieły - wyjaśnił Zacharski.

- „No...waja Ero...taczieskaja Politika Sowiets...koj Własti” - sylabizował premier.

- Zobacz ostatnią stronę - poradził Zacharski. Oleksy przerzucił kartki aż do ostatniej strony i zbladł.

W tym momencie wideofon piknął dwa razy. Zacharski sięgnął po urządzenie, rozchylił okładki i z dużym ukontentowaniem obserwował, jak na ciekłokrystalicznym ekraniku pojawia się zminiaturyzowany obrazek dodatku turystycznego „Gazety Wyborczej”.

- Co wy, jaja sobie ze mnie robicie? Pierwszy kwietnia był trzy miesiące temu - premier, z niedowierzaniem wpatrując się w rozłożone przed nim papiery, był wyraźnie wstrząśnięty.

Zacharski nie odpowiedział, bo manipulując przyciskami wideofonu, powiększał sobie kolejne akapity szukając w dodatku turystycznym ogłoszeń „last minute”. Korzystając z milczenia Zacharskiego, J. Nóżka pospieszył z wyjaśnieniami.

- Kiedy to przyszło do nas z Krakowa, też nie mogliśmy uwierzyć. Dobrze, że w krakowskim UOP-ie sprawę poronińską przechwycili nasi ludzie, a nie wtyki Milczanowskiego.

- K... (dec. prok.) mać, jaką sprawę poronińską? Ja nic nie wiem. Podtykacie mi a to „Tygodnik Podhalański” i jakaś johimbina, a to próbówka z jakimś syfem. A teraz co? Rękopis, k... (dec. prok.), z podpisem: „Władimir Iljicz Lenin” i datą, no tak - Oleksy zerknął jeszcze raz na leżącą przed nim ryzę odbitek. - 5 luty 1937 rok... Rewelacja... K... (dec. prok.), Nóżka, Zacharski won z mojego gabinetu. Rozmawiacie, k... (dec. prok.), z premierem tego pier... (dec. prok.) państwa, a nie, k... (dec. prok.), z redaktorem naczelnym tygodnika „Nie z tej ziemi”. A kolegom z Krakowa poradźcie ograniczenie spożycia alkoholu. K... (dec. prok.), w trzydziestym siódmym to Lenin miał już za sobą jedenaście lat pobytu w mauzoleum na placu Czerwonym, no chyba że nocą zmartwychwstawał, skrobał sobie po ciemku niniejsze ostatnie dzieło, rano chował pod poduszczkę w trumnie i znowu cały dzień pokazywał się wycieczkom jako mumia!

Zacharski nie zwrócił uwagi na wybuch Oleksego. Wyraz twarzy oficera wywiadu wyrażał pełną koncentrację naceLOWaną na ekranik wideotelefonu. Nagle napięte rysy zadrgały jak trącone struny gitary i rozluźniły się. Zacharski najwyraźniej znalazł to, czego

szukał. Znów pod palcami Zacharskiego ugięły się gumowe klawisze klawiatury cyfrowej.

- Stasiu, zadzwoń natychmiast pod 652-05-01 i zarezerwuj: Majorka, jedno miejsce.

Turnus na koniec lipca -Zacharski mówił cicho i zdecydowanie.

- A jak nie będzie miejsc?

- To pošlesz chłopaków i miejsca się znajdują. To biuro jest na Świętokrzyskiej 36.

Mają trzymać miejsce, aż zjawi się gościu o nazwisku Ałganow.

- Marian, załatwione. Coś jeszcze?

- Podstaw mi mercedesa pod URM. Muszę pošłać Łysego na korty. O! Zapomniałbym, gazetę z tym dodatkiem turystycznym, co go skanowałeś, pošóźcie na tylnym siedzeniu, tylko, k... (dec. prok.), na pewno, bo zabiję.

- Marian, k... (dec. prok.), nawaliliśmy kiedyś?

- Dobra, Stasiu. Sorry, jest okay, ale wiesz, gardłowa sprawa.

- Jasne.

- No to, see you - Zacharski z angielska zakończył rozmowę. (Odruch nabyty w latach 1977-1981, kiedy pracując w USA jako agent bloku komunistycznego wykradał amerykańską dokumentację myśliwca F-15.)

- Marian, oszalałeś chyba. Na żadne korty nie pojedę - Oleksy wydawał się być lekko przestraszony.

- Józiu, nie histeryzuj, tylko zamknij się i słuchaj uważnie. Żartów jest koniec na dziś. Nie wykrzywiał się, tylko słuchaj. W marcu tego roku jakiś palant z Poronina odkrył nad rzeką jakąś norę czy piwnicę, a w niej siedział sobie taki gościu. Nóżka, zdjęcia!

J. Nóżka posłusznie wydobyl z aktówki kilka fotografii formatu A-6 i pošóżył je przed Oleksym.

- No i kogo ci ten nieboszczyk przypomina?

- A..., Marian, i to ma być właśnie Lenin, tak? W ch... (dec. prok.) chcecie mnie zrobić? Ryj rzeczywiście podobny, ale ten tu wygląda, jakby piknął miesiąc temu, a nie, ile to ma być? Pięćdziesiąt lat z haczykiem czy coś takiego, tak? Za durnia mnie macie? I ten tu jeszcze widać ma jakieś wyliniałe kędziorki na głowie. A Lenin, coś mi się zdaje, miał fryzurę podobną do mojej. - Oleksy był wyraźnie zbulwersowany.

- To są włosy łonowe. W naszej pracowni medycyny sądowej robiliśmy mu sekcję. Facet miał kuśkę goluteńką jak niemowlę i wyraźne szwy na podbrzuszu. To, co widać na zdjęciu, to przeszczep włosów łonowych na głowę. Denat był badany na węgiel C14 i to jest naprawdę nieboszczyk z 1937 roku, a wtedy takich numerów nie robił w Polsce żaden chirurg plastyczny, a już na pewno nie góralom z Poronina.

- Nie, k... (dec. prok.), Marian, wyście poszaleli w tym UOP-ie. Nie, no was już pojeb... (dec. prok.) całkiem. Co to za bzdury, k... (dec. prok.) wasza mać.

- Olin, zamknij się i słuchaj dalej. W tej piwniczce zostało też znalezione bardzo fikuśne urządzonekko. I takie

dwa tam wkłady mineralne do niego. Jeden przezroczysty w środku, a drugi o różowawym zabarwieniu. Ten drugi denat trzymał w ręku. Półtora metra od tego różowego nic nie uległo pełnemu rozkładowi. Nawet na podłodze kartka taka leżała, to w obwodzie tego półtorametrowego promienia to ta kartka tylko pożółkła jak ten rękopis. A ta część kartki, co wystawała za półtorametrowy okrąg, to zetlała całkiem. Na proch.

Premier Oleksy zamilkł. Zrezygnowany patrzył na Zacharskiego takim wzrokiem, jakim patrzy ojciec na syna, przyłapując go na samogwałcie. Z zaskoczeniem, rozbawieniem, zażenowaniem i politowaniem jednocześnie.

Zacharski kontynuował:

- Józek, co tak na mnie patrzysz? Bez dowodów bym do ciebie nie przyszedł. Mamy dowód, a nawet dwa.

- Jaki dowód. To? - Oleksy wskazał na rękopis.

- Tak, to też. W niektórych wydaniach dzieł Lenina są ilustracje: a to zdjęcie listu Lenina, a to jakiegoś innego fragmentu odręcznego tekstu. Nasz grafolog zrobił analizę. Zgadza się.

- No dobra. Uwierzę, że do Polski trafił jakiś nieznany rękopis, ale że Lenin i że to jest z 1937 roku, to bzdura oczywista.

- Mamy pojemnik na fekalia.

- K... (dec. prok.), co?

- Taki kibel drewniany z więzienia w Nowym Targu, to znaczy z Domu Kultury.

- Nie, jaz tobą Marian nie mam siły.

- Bo w Domu Kultury... - zaczął Zacharski.

- K... (dec. prok.), kibel z Domu Kultury.

- Jak chcesz, k... (dec. prok.), zrozumieć to, k... (dec. prok.), nie przerywaj! W 1914 Lenin ukrywał się w Polsce przed carską Ochroną, mieszkał koło Poronina w Białym Dunajcu...

- A do Nowego Targu jeździł srać do Domu Kultury - dokończył premier Oleksy.

- Bardzo dowcipne, Olin. K... (dec. prok.), w roku 1914 w Nowym Targu było austriackie więzienie. Bo to, wiesz, Galicja, zabór austr...

- K... (dec. prok.), Marian, też chodziłem do szkoły.

- Ale o tym, że Lenina w 1914 roku Austriacy przymknęli i trzymali w Nowym Targu...

- W domu kultury.

- Dom kultury, k... (dec. prok.), jest teraz. Modelarnia i inne takie ch... (dec. prok.) dla dzieci. Ale w tym budynku w 1914 było więzienie, a po drugiej wojnie filia muzeum Lenina: jego cela, jakieś tam duperełki, no i ten kibel na Leninowe gówienko.

- Ale ten trup wasz, jest z 1937 roku, to co ma kibel z 1914? - Oleksy najwyraźniej gubił się w wyjaśnieniach Zacharskiego.

- Słuchaj, k... (dec. prok.), chodzi o kod genetyczny. Przetrzęsaliśmy całe muzeum Lenina w Poroninie, ale, wiesz, po 1989 roku to tam jest biblioteka. Ekspozycje gdzieś do szopy, na strych powypier... (dec. prok.). Szukaliśmy, może jakiś materac, łupież, chociaż Lenin łysy, to łupieżu nie, ale jakiś włos z brody, paznokcie obgryziony, no, k... (dec. prok.), cokolwiek. Były jakieś krzesła, materace, ale wszystko nieautentyczne. Chłopcy badali w laboratorium: kurz, pchły, robale, a Lenina ani śladu. I dopiero ta bibliotekarka posłała naszą ekipę do Nowego Targu, że tam do piwnicy część rzeczy przeszła. No i rzeczywiście. Pod tym Domem Kultury graty różne były, ale też podroby i coś jakby cebrzyk, nie cebrzyk. A to ten kibel. Daliśmy go na C14, i bach! Jest wynik! Drzewo ścięte w 1914 roku! Chłopcy z laboratorium półtora miesiąca skrobali środek, badali, ale to wypłukane już dawno. Zresztą, co tam zeszkłego gówna sprzed osiemdziesięciu lat... A ile później gównem nam obojętne przeszło... A jednak patrz! Bach! Perła! Olin, mówię ci, cud, k... (dec. prok.), od Boga. Na ścianie kropla zastygłej żywicy. Podobno nasz jeden taki laborant to zapłakał. W tej kroplice zakonserwowana drobina gówna i cztery świetnie zachowane komórki nabłonka odbytnicy. Pełny kod genetyczny. Identyczna sekwencja jak u naszego nieboszczyka. Rozumiesz, Olin? Nabłonek odbytnicy Lenina w doskonałym stanie.

- Istny Park Jurajski. Gratuluję - Oleksemu humor się poprawił.

- Człowieku, to jest sensacja dwudziestego wieku! Mamy Lenina! Bo, wiesz, Lenin miał farta i zanim Kasprowicz napisał petycję i Lenina uwolnili, to dostał najwidoczniej świeżuteńki, czyściutki kibełek. Drewno jeszcze łzawiło żywicą, on się niepokoił, czy go wypuszczą, miał sraczkę... I trach! Drobina poszła na ściankę w kroplę żywicy i tu go, k... (dec. prok.), mamy!

Zacharski był bardzo podniecony. Zaróżowił się na twarzy i gestykułował zawzięcie. Widać było, że bardzo przeżywa wielki sukces polskich służb specjalnych.

- Kasprowicza? - Oleksy ironicznie skomentował nieco nieskładną wypowiedź podnieconego Zacharskiego.



- K... (dec. prok.), Olin, wiesz, o co mi chodzi. Kasprowicz faktycznie pisał wtedy petycję do Austriaków, żeby Lenina wypuścili.

- A... to nawet nie wiedziałem. Zresztą ch... (dec. prok.) z Kasprowiczem. Ale powiedz mi, ten pan, co w mauzoleum na placu Czerwonym wypoczywał sobie od 1924 roku, to kto?

- K... (dec. prok.), nie wiem. Wiem tylko, że ten nasz to jest Lenin prawdziwy i że musiał się ukrywać, bo ten kamuflaż z włosów łonowych na głowie...

- No, to bardzo pięknie, Marian. Zalejcie go formaliną i pokazujcie w cyrku. Mnie ch... (dec. prok.) do tego, ja mam tu dziś do przejrzenia reformę rent i emerytur.

- Emeryci nie zające, a Ałganow może nam uciec.

- Co ma do tego Ałganow?

- A ja ci, Olin, jako oficer polskiego wywiadu mówię, że tu sprawa jest o honor SdRP, o szczęście wszystkich Polaków i o zaufanie narodu - powiedział uroczyście Zacharski.

- No... To teraz pier... (dec. prok.) z grubej rury. Tylko dalej nic nie rozumiem. - Oleksy wyraźnie dystansował się od patosu Zacharskiego.

- Chodzi o długi SdRP, to znaczy PZPR... O Jezu, znaczy, co SdRP ma zapłacić za PZPR. Nie rozumiesz?

- Co my mamy zapłacić, to ja doskonale wiem, tylko, co ma do tego Lenin i skąd u ciebie taka troska o honor SdRP? Zapisaleś się czy co?

- No wiesz... W SdRP jestem od samego początku niejawnym członkiem, na zebrania chodzę co drugi raz na zmianę z Sierakowską, wiesz, w masce, a Lenina trzeba opier... (dec. prok.) Ruskim za grube pieniądze.

- A na ch... (dec. prok.) im teraz Lenin?

- Jak nasza dieta wykończy Jelcyna, to w wyborach u nich ten komunista Ziuganow ma duże szansę. Nieraz rozmawialiśmy o tym. Lenin to symbol. Dla nich wielki symbol, relikwia. A to będzie, wiesz, sensacja. Sztab Ziuganowa ma prawdziwego Lenina. Kto ma Lenina, ten ma władzę... Wiesz, Ziuganow może jeździć od miasta do miasta, mityngi wyborcze. A zamiast kiełbasy wyborczej, bach!, niespodzianka, Lenin w chłodni.

- Z kręconymi loczkami, jak na kut... (dec. prok.)

- To ogolą. Olin, nie spłaszczaj sprawy, bo całości jeszcze nie rozumiesz. To jest wielka sprawa. Na każdej kartce tego ksero masz z tyłu już polskie tłumaczenie. To ostatnie dzieło Lenina jest genialne. Przeczytaj i daj Kwaśniewskiemu. Z tego można zrobić program SLD. Może jeszcze nie w tych wyborach prezydenckich. Teraz jeszcze za wcześnie. Olek i tak w listopadzie wygra. Ale, wiesz, chwilowo w tym kraju nie ma Polaków. Sami

Europejczycy i kapitaliści, to, wiesz, teraz Olek musi pod hasłami NATO, zagraniczny kapitał, inwestycje, srutu-tu-tu, Europa. Ale nadejdzie czas otwartej przyłbicy. To urządzenie, wiesz, co było przy Leninie, wspominałem, to jest coś zajeb... (dec. prok.) Rozkręcają to nasi w Wojskowej Akademii Technicznej. Pełna konspiracja. Ty wiesz, co się w Poroninie działo? Nie żadna johimbina tam, to tylko taką zasłonę dymną w „Tygodniku Podhalańskim” żeśmy zrobili. Słuchaj, Lenin przytaszczył do Polski prototyp czegoś takiego, że k... (dec. prok.) mać. Zresztą sam zdaje się pie... (dec. prok.) od tego. W każdym razie sekcja wykazała, że się ten nasz Lenin zaonanizował na śmierć w tej swojej norze. Słuchaj, nic więcej nie mogę ci powiedzieć, ale to wszystko jest, k... (dec. prok.) mać, naprawdę.

- Marian, mów konkretnie, co to za ustrojstwo.

- Józek, na razie sam więcej nie wiem, naprawdę. Ale mówię ci, to działa na mózg człowieka falami krótszymi

niz ultrakrótkie. Tam w środku jest, tyle chłopcy z WAT-u ustalili, taka lampa elektronowa, którą Rusczy produkowali między rokiem 1920 a 1924 do radiostacji. I tylko tyle wiemy. Poza tym są tam jakieś takie dziwne obwody. Na WAT-cie to rozgryzą, ale póki co... tajemnica.

- No i na ch... (dec. prok.) nam to?

- Przeczytaj to, co ci przyniosłem, to będziesz wiedział. Lenin wszystko wyjaśnia. Rozejrzyj się Józek. W jakim kraju, jakimi ludźmi premierujesz? W 1980 roku, czy przed 1989, lasy rąk z victorią z palców, miłość wzajemna, studenci na barykadach w oparach gazu łzawiącego, heroizm. A dziś, popatrz, studenci pier... (dec. prok.) się po akademikach, czasem sfera budżetowa postrajkuje, czy tam kto, ale już tylko o forszę idzie. Każdy myśli, jak mieć pełną kabzę i ma drugiego w d... (dec. prok.). Podoba ci się to? Ty tu reforma rent i emerytur... To nie jest globalne rozwiązanie... Józek, czytaj Lenina, jego życiowy testament, ja ci te odbitki zostawię. I Olek też niech czyta. Naród jeszcze zachłyśnięty kapitalizmem, ale moment i zacznie się dławić, a wtedy odrodzimy PZPR pod nowym hasłem i z Wojskowej Akademii Technicznej będziemy mieli techniczne wsparcie. Józek, mówię ci, gdyby Stalinowi wpadło w ręce to, co my mamy teraz, choć jeszcze nie wiemy całkiem, co... Że tego przez osiemdziesiąt lat nikt nie odtworzył. Ani Amerykanie, ani Rusczy. Tego ruskiego magika, co to skonstruował, to pewnie Stalin musiał niechcący zakatrupić, a może zresztą Lenin go kazał... Może Lenin uciekł, bo się bał, że Stalin na niego zamach szykuje i to przechwyci. Może Lenin się przestraszył, że technologia wyprzedziła ideologię i wyjechał, żeby w spokoju dorobić tę nową ideologię i przetestować dla odmiany gdzieś w Europie? Może w Polsce? Nic nie wiemy. Tyle tylko, że Lenina odwodnił na śmierć dwudziesto-

parogodzinny ciągły wytrysk, a my dzięki temu mamy teraz małą ruską skrzyneczkę, w której siła jest zajęta... (dec. prok.) i ten rękopis - Zacharski palnął otwartą dłońią w ryżę ksero leżącą na biurku. Oczy oficera UOP-u płonęły. - I dlatego Ziuganow musi dostać Lenina, musi zwyciężyć, odrodzić Związek Radziecki. Odrodzi się Układ

Warszawski, dla którego plułem krwią w amerykańskich kazamatach. (Marian Zacharski aresztowany za szpiegostwo 28 czerwca 1981 roku ok. godz. 15.00. 14 grudnia 1981 roku Sąd w Los Angeles skazał Zacharskiego na dożywocie. 11 czerwca 1985 roku wraz z trzema innymi szpiegami bloku komunistycznego wymieniony na moście granicznym Glienecke na dwudziestu pięciu agentów zachodnich służb specjalnych schwytanych w Europie Wschodniej. „Polityka” nr 19, 11 maja 1996 r.).

- Nie, nie, Minim! Z Ałganowem to ja się już nie spotkam... Ja nie chcę obrywać za Kwaśniewskiego tak jak ostatnim razem. A że Olek słuchawką rzuca, a że jakiś uran w Cetniewie to był na drugi dzień, a pozwolenia na pracę w Polsce to się Ałganow przez rok doprosić nie mógł. Minim, ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Bo ja nie wiem i nie chcę wiedzieć! Ani o żadnych lewych interesach Olka, ani o żadnym Leninie z Poronina, jestem teraz premierem i odpieprzcie się ode mnie. Ty sobie przecież grywałeś w tenisa z Ałganowem, no to ty mu teraz wciskaj te kity z Leninem. Nie możesz sam jechać?

- Ja nie mogę. Mnie Ałganow nigdy nie uwierzy. Gadać nie będzie chciał nawet. Będzie pewien, że to jakaś prowokacja. A ty to co innego. Mieszkaliście na jednej ulicy, wspólne sąsiedzkie obiadki. Zawieziesz mu tylko tę „Wyborczą”, wskażesz ten turnus na Majorce. A... i jeszcze dodasz, że jak będzie odbierał swoje ciuchy z pralni, to żeby uważał.

- A co? Bombę mu chcecie podłożyć? - ząrtował Oleksy.

- W pewnym sensie to będzie dla niego bomba. Ta próbówka, którą widziałeś.

- Co tam pływa? Jak was znam, to kawałek Leninowskiego napletka.

- Nie wiem. Ja go nie kroilem. Nie żartuj, skoncentruj się na tym, co masz zrobić. Która to jest? Dziewiętnasta piętnaście. Samochód pewnie już jest podstawiony. Słuchaj, powiesz Ałganowowi, że jest interes do zrobienia, tylko musi znaleźć dojście do Ziuganowa. Próbką towaru w pralni. Mają tam pewnie u siebie w jakimś muzeum rewolucji pukiel włosów Lenina z lat młodości, chociaż to też może być lipa jak ten klient w mauzoleum... No to niech kolesie z KGB znajdą jakiegoś Leninowego prawnuczka i zrobią mu badania genetyczne. Grunt, niech Ałganow prześle tę próbówkę do Moskwy, do Ziuganowa i nagra sprawę. A szczegóły dotyczące naszego towaru... Waśnie, Olin, uprzedź Ałganowa, że na Majorce będzie miał miłych gości. I zaliczkę niech przygotuje.

- Jakich gości? Was? Marian, co się tak rozpędzasz? Skąd taka pewność, że Ałganow

ma kontakt z Ziuganowem? Skąd pewność, że Ziuganow chce tego naszego Lenina? I w ogóle ja tego nie zrobię. Zamach na Jelcyna, cholesterol, te przepisy kulinarne, Jakimiszyn, to jedna sprawa. Jelcyn to stary kut... (dec. prok.), mięknie i za chwilę się zgodzi, żeby nas NATO anektowało. Ledwie co odzyskaliśmy władzę w sejmie. W listopadzie może Oluś będzie prezydentem. I co, oddać to wszystko Brukseli... Po Jelcynowym trupie! A jak się zamach uda, to ja nie mam też zamiaru znowu jeździć do Moskwy po wskazówki jak za socjalizmu, ale ty, k... (dec. prok.), słyszę, chcesz restytuować Układ Warszawski. A ja mam w d... (dec. prok.) Układ Warszawski. Sami tu wreszcie zaprowadzimy socjaldemokrację.

- W d... (dec. prok.) masz internacjonalizm?

- A w d... (dec. prok.).

- No to się dowiedz, że Milczanowski zlecił nam twoją sprawę w określonym kierunku.

- W jakim, k... (dec. prok.), kierunku?

- Wpiep... (dec. prok.) kawior od Ałganowa, jak jeszcze byłeś sekretarzem w Białej Podlaskiej?

- Ch... (dec. prok.) ci do tego.

- No, to już jest taaaka teczka, że jesteś ruskim szpiegiem.

- O ty sk... (dec. prok.) jeden. Won. Do mnie, do premiera tak?

- Przekazywałeś materiały?

- Jakie materiały? Tylko k... (dec. prok.), te cholesterolowe biszkopty, kaczki na smalcu i ch... (dec. prok.) wie jeszcze, co ci wasi wymyślili dla Jelcyna.

- No, właśnie. My mamy w UOP-ie swoich i Milczanowski ma swoich ludzi. I tamci nie wiedzą, co, ale jest zanotowane, że przekazywałeś. I już leżysz, i kwiczysz.

- Nie wykorzystasz tego! - Oleksy był cały czerwony z oburzenia.

- Jedziesz do Ałganowa sprzedawać Lenina czy, k... (dec. prok.), nie? Liczę do trzech.

- Zacharski był bezlitosny. Oleksy ze zrezygnowaną miną opadł na fotel.

- A jeżeli pogadam z Ałganowem? - głos premiera lekko drżał.

- To i tak zrobimy z ciebie szpiega, ale pokazowo sp... (dec. prok.) sprawę i Milczanowski wyjdzie na durnia. Zadowolony jesteś?

Oleksy milczał.

- No to zbieraj się. I powiedz Ałganowowi, że go odwiedzimy na Majorce i tam dogadamy szczegóły dostawy naszego towaru.

- My, to znaczy kto?

- Ja! Nóżka, ty zostaniesz w Warszawie. Masz tę sprawę co wiesz. Z Darkiem

Izgórskim się przelecimy.

J. Nóżka zrobił taką minę, jakby mu ktoś z powrotem wsypał naftalinę do peruki.

- Ja tamto szybko skończę, też mogę.

- Masz siedzieć tu na d... (dec. prok.), czuwać nad sytuacją, jasne? - Zacharski uciął krótko zapędy turystyczne J. Nóżki.

- A w zasadzie po cholere wy to chcecie na Majorce? - Oleksemu wrócił głos.

- A dlaczego nie na Majorce, skoro jest okazja? Nie kąpałem się jeszcze w tym roku w ciepłym morzu. A serio to Libera, Fonfara to chłopaczki Milczanowskiego. I wiesz, takie współzawodnictwo jest, kto cię udupi. W kraju ja nigdy nie wiem, czy szef UOP-u nie zdubluje mojego zadania. Ja tu będę handlował Leninem, a tu Fonfara swoją pchłę gdzieś pod stołek wsadzi i leżymy wszyscy. A za granicą, to wiesz, dogadamy się z Ałganowem, bzdury różne na ciebie ponagrywamy, a potem wyłączymy magnetofon i dobijemy targu bez ryzyka.

- Jakie bzdury na mnie? - Oleksy wyglądał na zaniepokojonego.

- K... (dec. prok.), a co powiem Milczanowskiemu? Po co jechałem na Majorkę? Jakaś podkładka musi być, jakaś przykrywka. Dobra, nie martw się na zapas, zakładaj maskę Jakubowskiej i zasuway na te korty, późno już. Ałganow zwykle gra tylko do dziewiątej. Kluczyki do tego mercedesa znajdziesz w rurze wydechowej, tablice mają numer WGP 8234.

- W masce Jakubowskiej mam paradować po kortach? Zgłupiałeś?

- K... (dec. prok.), w masce Jakubowskiej tylko wyjdiesz z URM-u. W samochodzie pod siedzeniem jest inna maska, dresik i trampki.

- Ale ja muszę ten projekt rent i emerytur przejrzeć i zaopiniować na jutro do sejmu i te papiery popodpisywać tu. - Oleksy jeszcze bronił się rozpaczliwie przed niewygodną misją.

- K... (dec. prok.), jaki masz podpis, pokaż.

- O, tu jest - Oleksy podsunął Zacharskiemu jakąś kartkę.

- No i patrz się. Raz, dwa, trzy, no i co? Szkolenie w służbach przydaje się do czegoś?

- w głosie pułkownika UOP-u brzmiała nutka branzowej dumy.

- K... (dec. prok.), identyczny. - Oleksy nie mógł uwierzyć, że już po trzecim podejściu Zacharskiemu udało się podrobić jego podpis.

- Dobra, szkoda czasu. Zakładaj maskę, a ja tu za ciebie popracuję.

- Ale o rentach dokładnie przeczytaj, żebym z tą moją opinią na durnia w sejmie nie wyszedł.

- Nie martw się, jak kiedyś Milczanowski wykryje, co my z Nóżką robimy w służbach specjalnych, to nam nóżki z duppek powyrywa i też pójdziemy na rentę z powodu trwałego kalectwa. Będę opiniował jak dla siebie samego. Jeszcze mnie kiedyś renciści z wdzięczności

w d... (dec. prok.) pocałują. O, a tę stertę świstków też ci popodpisuję. W dwie godziny będziesz miał gotowe.

Oleksy nie odpowiedział, gdyż właśnie mocował się z maską. Wreszcie udało mu się ją naciągnąć i włożyć perukę.

- Ok... (dec. prok.), ale naszej pani Oli gęba spuchła. - Zacharski mało nie zakrzusił się ze śmiechu.

J. Nóżka również zaczął rzeć.

- Dawaj mi garnitur, a, poczekaj, zaraz dam ci kieckę i te cyce. - Zacharski zaczął ściągać z siebie sukienkę i wypchany papierami biustonosz, potem podał premierowi żółte sandałki na małym obcasie.

- Nie, ja w tym nie wyjdę - Oleksy zaczął się zapierać.

- K... (dec. prok.), z tobą same problemy. Weź jakąś teczkę z dokumentami i zasłoń trochę ten tłusty pysk, tak jakbyś, wiesz, wychodzisz od Oleksego, dostałaś dokumenty, czytasz, zresztą nikt na ciebie nie spojrzy. Nóżka zakłada perukę. Zobacz, Olin. Nóżka, przejdź się, pokaz. Widzisz, Olin? Nóżka ogolił nogi i tak kręci d... (dec. prok.), że na ciebie żaden borowiec ani strażnik w URM-ie nie spojrzy. A tymi łapskami też tak chwyć tę teczkę, żeby te grube paluchy były pod spodem. A w ogóle Nóżka, jakby co, to wiesz, szybki krok i, wiesz, pani Aleksandra do lekarza, wiesz alergia na k... (dec. prok.) nie wiem co, pszczoła ją ugryzła, k... (dec. prok.), grunt, że spuchła, dusi się i zabierasz do lekarza. Jasne?

- Tak jeeest! - Major J. Nóżka zasalutował, zalotnie zarzucając do tyłu blond kosmyki opadające mu na ramiona.

- No, zaraz, a ty tak tu? - Oleksy spojrzał na Zacharskiego zdziwionym wzrokiem.

- K... (dec. prok.), zapomniałem. Nóżka, maskę.

J. Nóżka wyjął z aktówki gumowe zawiniątko i za chwilę za biurkiem siedział Józef Oleksy jak żywy.

- A jak będzie telefon? - przypomniał sobie Oleksy.

- To burknę, że mnie, k... (dec. prok.), ząb boli i nie mogę rozmawiać. Zresztą ja twój głos też umiem naśladować. Czempiński nam kurs urządził taki z logopedą. Fon-fara, Libera też byli. Nawet Nóżka też umie cię imitować. Nóżka powiedz coś.

J. Nóżka nadał się i po chwili z ust blond sekretarki wydobył się głos do złudzenia przypominający głos Oleksego:

- Panie marszałku, Wysoka Izbo. Nigdy i niczym agentem nie byłem.

Zacharski prychnął ze śmiechu tak, że mu mało gumowa maska z podobizną premiera nie spadła z twarzy, a następnie w nawiązaniu do powyższego proroctwa J. Nóżki wyciągnął

rękę w kierunku fałszywej Aleksandry Jakubowskiej i trawestując ewangeliczny tekst, wypowiedział się podniosłym tonem:

- Zaprawdę powiadam ci, zanim 1 stycznia 1996 roku kogut dwa razy zapieje trzy razy się mnie wyprzesz. W sejmie, przed komisją sejmową i prokuratorem.

Gdyby Oleksy nie miał maski Aleksandry Jakubowskiej na twarzy, widać by było, że blednie.

- Marian, tylko, k... (dec. prok.), bez jaj, bo nie pójdę.

- Dobrze będzie. Zasuważ na te korty. Aha, tam, wiesz, dyskretnie, bo Ałganow jest stale pod naszą obserwacją. Za głośno nie gadajcie. Dzisiaj Lesio go śledzi, to swój chłop, ale ch... (dec. prok.) wie Czempińskiego, czy kogoś jeszcze nie posłał. Ja tu posiedzę do dziewiątej, potem pojedę z twoją ochroną do tej knajpy na Wiertniczej, tej w Wilanowie, wiesz, będziesz miał blisko do chałupy. Strzelę sobie wódeczkę czy coś, a ty, jak załatwisz z Ałganowem, to też przyjedź i w kiblu się zamienimy, żeby ochrona się nie skumała, jasne?

- Ale... - Oleksy chciał jeszcze coś dodać, ale Zacharski tonem nie znośącym sprzeciwu powtórzył swoje.

- Jasne? No, to see you.

Oleksy machnął ręką, zasłonił się teczką i razem z J. Nóżką opuścili gabinet. Drzwi trzasnęły, budząc funkcjonariusza Biura Ochrony Rządu drzemiącego na stojąco w pozycji podpory ściennej. Nim obudzony ocknął się do końca, widział już tylko opięte ciasną spódniczką pośladki majora J. Nóżki podrygujące wdzięcznie w rytm każdego kroku tego świetnie wyszkolonego oficera UOP-u. Pośladki i towarzyszący im niewidzialny w ich polu rażenia Józef Oleksy zaszły za załom korytarza, a borowiec westchnął niczym poeta obserwujący zachód słońca za linię widnokregu.

### 3. 21 września 2097 roku. Skierniewice

Krzysio - PESEL 80112208273 - unosił się w czarnym polu egzaminacyjnym. Pole było ciepłe i miękkie, a mimo to Krzysio był zlany zimnym potem i cały czas wiercił się i poprawiał, jakby go coś uwierało. W przestrzeni wzrokowej Krzysia pojawiło się pięćdziesiąte trzecie pytanie. Wydrukowane na niewidzialnej szybie seledynowe rządki liter jarzyły się wyczekująco, a komputer egzaminacyjny dla ułatwienia odczytał pytanie:

*Z czym kojarzy ci się data 17 września 1997 roku?*

W przestrzeni pola egzaminacyjnego zapaliła się wirtualna klawiatura. Do 2095 roku na egzaminach wystarczały odpowiedzi ustne. Jednak kiedy badania socjologiczne przeprowadzone wśród studentów wyższych uczelni wykazały, że 80% studentów to wtórni analfabeci nie rozróżniający liter, przywrócono na wszystkich poziomach szkół pisemną formę komunikacji z komputerem egzaminacyjnym.

Krzysio nienawidził uczyć się na pamięć historycznych dat. To kretynizm, myślał, że na sprawdzianach z meta-dialektyki dziejów wymaga się pamięciowej znajomości takich dupereli, które w każdej chwili można sprawdzić w Informecie. W każdej chwili, poza chwilą sprawdzianu, niestety. Ale na każdy kretynizm jest sposób. Krzysio lewą ręką nacisnął klamerkę pneumatycznego rozporoka i po chwili czuł już pod palcami charakterystyczne guzeczki. Zamiast zaśmiecać sobie rozum zbędną wiedzą, wystarczy zapisać brajlem na udach wszystko, co trzeba - jak sprawdzian z XX wieku, to lewe udo do 31 grudnia 1950 roku, a prawe udo od 1 stycznia 1951 do 31 grudnia 1999 roku. Wypukłe kropeczki fluidolu znakomicie trzymały się skóry. Wiadomo, przecież przemysłowo używa się fluidolu do klejenia mycin. Fluidol sublimuje po czterdziestu ośmiu godzinach i myciny trzymają się same. Dlatego też pomysł użycia fluidolu do ściągawek był genialny. Fluidol przez czterdzieści osiem godzin jest nie do zdarcia ze skóry, a potem znika bez śladu. Jedyne bóle to, że trzeba ogolić sobie nogi na gładko. Krzysio przesunął dłonią po prawym udzie. Jest 17 września 1997 roku - Kongres Zjednoczeniowy SdRP (Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej) oraz pozostałych ugrupowań Sojuszu Lewicy Demokratycznej z PSL (Polskim Stronnictwem Ludowym). Powstanie AWSL (Akcji Wyborczej Socjaldemokracji Ludowej).

Krzysio wycofał rękę z nogawki i błyskawicznie obiema dłońmi wystukał (określenie anachroniczne - wirtualne klawisze nie stukają) odpowiedź na klawiaturze. Pole



egzaminacyjne zapulsowało błękitem. Trafna odpowiedź. Krzysio nieco się odprężył. Lecz już w przestrzeni wzrokowej laser holograficzny generował litery kolejnego pytania:

*Co 17 września 1997 roku zrobił ze swoją koszulą poseł Leszek Moczulski, leżąc pod wejściem C, któredy większość posłów nowego bloku parlamentarnego AWSL zamierzała dostać się na nadzwyczajne posiedzenie do swojego sektora na sali sejmowej?*

Co zrobił z koszulą, co zrobił z koszulą - myślał gorączkowo Krzysio. I nagle olśnienie. Jak to dobrze, że siedem lat temu w 2090 roku w lutym nie opuścił szkolnej wycieczki do Muzeum Narodowego, gdzie odbywała się retrospektywna wystawa pt. *Malarstwo i hologram historyczny*. Krzysio zapamiętał dwa monumentalne dzieła zestawione obok siebie - wspaniały obraz olejny *Rejtan* Jana Matejki i olbrzymi hologram *Moczulski* Stefana - PE-SEL 37011212456. Zbieżność treści obu dzieł była uderzająca - jedyną istotną różnicą było to, że *Rejtan* zagradzający swym ciałem drogę posłom Pierwszej Rzeczypospolitej miał klatkę piersiową lekko owłosioną, a *Moczulski*, zagradzający swym ciałem drogę posłom Trzeciej Rzeczypospolitej, miał klatkę piersiową gładko wygoloną, aby dobrze było widać psiknięte sprejem na rozpiętą na żebrach skórę graffiti o treści następującej:

AWSL

Rozszyfruję wam ten skrót.

A WYPIERDALAJ STĄD LEWICO!

Natomiast miny na twarzach posłów AWSL-u były niemal identyczne jak te z obrazu Jana Matejki.

Taak, Krzysio pamięta, że był pod dużym wrażeniem, oglądając oba te dzieła należące do głównego nurtu Polskiej Sztuki Patriotycznej. Tak więc nawet teraz, po siedmiu latach od tamtej wystawy, Krzysio z łatwością mógł podać odpowiedź na pytanie 54 dotyczące koszuli Leszka Moczulskiego. Wirtualne klawisze rozbłyskały na ułamek sekundy pod dotknięciem palców Krzysia. Kolejne paciorki liter tworzyły zdanie: „Rozdarł ją na piersiach”. Błękitny błysk pola egzaminacyjnego. Trafna odpowiedź.

Pytanie 55.

*Czego dotyczyło nadzwyczajne wystąpienie posła Grzegorza Kołodki z dnia 18*

*września 1997 roku?*

Czego dotyczyło? Czego dotyczyło? - myślał Krzysio. -Reformy służby zdrowia poprzez jej zastąpienie teleprojekcją seansów duetu Kaszpirowski + Krzysztof Nowak... Nie, to było dopiero 28 września. Dopuszczalności eutanazji na posłach opozycji? Nie, taki projekt był dopiero w roku 2057...

Krzysio nie widzi innego wyjścia, jak sięgnąć do swojej pomocy naukowej - lewa ręka w spodniach - jest 18 września 1997. Poselski projekt przygotowany przez byłego ministra finansów po odejściu ze stanowiska w rządzie. Zastąpienie podatków dobrowolną składką.

Błękitny błysk. Trafna odpowiedź.

Pytanie 56.

*Z czym kojarzy ci się data 19 września 1997 roku?*

Krzysio wiedział, „gdzie dzwonią”, tylko jeszcze nie mógł sobie przypomnieć, „w którym kościele”. Ale szczęśliwie na kółku historycznym były seanse wirtualne. „Zaraz, który to był wirtual: *Człowiek z żelaza*, nie, *Człowiek z marmuru*, nie... te dwa to były tylko wirtualne rimejki płaskich filmów, zaraz, może *Człowiek ze styropianu*... Ale nie, w tym Krystyna Janda rewelacyjnie gra tego Wałęsę, a to nie było o Wałęsie - nagle Krzysio niemal lewituje w polu egzaminacyjnym. - Jest. To był ten sensacyjno-historyczny wirtual *Człowiek z UPR-u*. Tak, teraz Krzysio sobie przypomina: To była ostatnia wielka rola Bogusława Lindy. Wirtual z lat czterdziestych - rok 2048 czy coś takiego. Linda, siwiuteńki staruszek, dzięki hydraulicznemu wspomaganiam i komputerowej charakteryzacji synchronicznej, zagrał genialnie. Krzysio pamięta ten huk - kopnięte skrzydła centralnych drzwi wejściowych: Tak właśnie 19 września 1997 roku na salę sejmową wtargnął lider opozycji pozaparlamentarnej Janusz Korwin-Myszka... Nie, zaraz, coś nie tak... Krzysio sięgnął ręką w nogawkę spodni. O, jest, Janusz Korwin-Mikke. Krzysio pamięta kolejne sceny z wirtuala. Postać w długim białym płaszczu z niebiesko-czarnym krzyżem na plecach zstępuje po schodach pomiędzy rzędami pełnymi zaskoczonych posłów. Grzegorz Kołodko przerywa omawianie swojego złożonego dzień wcześniej historycznego projektu zdaniem, które również przeszło do historii. Krzysio na kółku teatralnym nauczył się tego zdania na pamięć:

- Abstrakcyjna pustota bezdenne worka Skarbu Państwa to nie jest wystarczający bodziec do wywołania spontanicznego obywatelskiego odruchu wpłaty podatkowej, dopiero

konkretny cel, taki jak na przykład potrzeba zakupu dzielnicowemu paliwa do radiowozu, dopiero taki konkretny i szlachetny cel może być tym bodźcem, [...] i dlatego proponuję, by poborem od obywateli dobrowolnej składki podatkowej zajęły się bezpośrednio utrzymywane z podatków służby, takie jak policja, wojsko i służba więzienna, czego efektem będzie również znaczna redukcja etatów urzędniczych w urzędach skarbowych bądź nawet likwidacja tych urzędów...

Nic więcej Grzegorz Kołodko nie zdołał powiedzieć, gdyż lider Unii Polityki Realnej był już tuż-tuż na środku sali, prawie pod samą trybuną...

- Ukradłeś nasz program, czerwony złodzieju - jest to jedyna kwestia wypowiediana przez Bogusława Linde w ciągu całego wirtuala. Mówiąc tę kwestię, stary wiarus Linda, ucharakteryzowany na Korwina-Mikkego, rozchyła poły płaszcza. Następne kilkanaście minut akcji Krzysio zawsze będzie miał w oczach. Grzegorz Kołodko zastyga nad mikrofonem porażony widokiem tego, co kryło się pod płaszczem „Człowieka z UPR-u”. Marszałek Zych, siedzący nad mównicą, gorączkowo szuka laski marszałkowskiej. I wtedy Korwin-Mikke zrywa z szyi czarną muszkę w niebieskie kropeczki, zrywając tym samym ukryty w tasiemce obwód zabezpieczający detonatora. Mijają dwie najdłuższe w historii polskiego sejmu sekundy i cały przemycony pod płaszczem gorset z dwudziestu lasek trotylu eksploduje, rozrywając samobójcę w kawałki, które śmiertelnie ranią nieodżałowanego Grzegorza Kołodkę i kilku posłów ZChN-u. Wirtual genialnie oddawał dynamikę i grozę całego zdarzenia, ale jeśli chodzi o konkretne wiadomości historyczne, lepszym źródłem informacji była dla Krzysia znajdująca się w Muzeum Medycyny Parlamentarnej bardzo realistyczna makieta fotoprzestrzenna z naniesionymi nazwiskami ofiar i wyjaśnieniami dotyczącymi poszczególnych obrażeń. Krzysio zapamiętał postać zwijającego się z bólu Leszka Millera z obojczykiem Korwina-Mikkego wbitym szczęśliwie dokładnie między aortę a tchawicę. Milimetr w lewo albo w prawo i Leszek Miller nie dożyłby 20 września. O, i był jeszcze ten Józef Oleksy ścierający chusteczką z głowy brunatną posokę rozbryźniętej odbytnicy Korwina-Mikkego. Rzuczał się też w oczy wyraz lekkiego zaskoczenia na twarzy tego sławnego rolnika, chyba Włodzimierza czy Władysława, nie... Waldemara Pawłaka usiłującego wyplątać szyję z okręcających mu ją jelit lidera UPR-u. No i oczywiście największe wrażenie zrobiły na Krzysiu zaciśnięte zęby Prezydenta Tysiąclecia, Aleksandra Kwaśniewskiego, który mężnie znosił ból spowodowany palcem wskazującym Korwina Mikkego wbitym w oczodół. Pod makieta, wśród innych objaśnień, znajdowała się też informacja, że byłaby szansa, aby ocalić stereoskopowy wzrok pana prezydenta, lecz niestety, jak później wykazała obdukcja, brud z za nieobciętego paznokcia byłego lidera UPR-u

zdradziecko zainfekował ranę, wywołując nie dającą się w porę powstrzymać galopującą gangrenę siatkówki oka.

Komputer egzaminacyjny powtórzył pytanie, a Krzysio nie wiedział, jak na nie precyzyjnie odpowiedzieć.

*Z czym kojarzy ci się data 19 września 1997 r. ?*

- mrugały litery w przestrzeni wzrokowej. A Krzysio kojarzyło się zbyt wiele, o, i jeszcze dopiero teraz przypomniało mu się jeszcze coś. No tak, to było to. Dopiero teraz Krzysio skojarzył, że to musiało być to. Krzysio pamięta, że jak miał 6 albo 7 lat to brat przyniósł sześcian programowy do domowego holowizora z taką grą wirtualną, co można było być takim facetem z laską, i jak taki drugi facet wybuchał na środku takiej wielkiej sali pełnej rzędów z ludźmi, to trzeba było tą laską błyskawicznie odbijać różne lecące kości i dostawało się tyle punktów, ile się kości zdążyło odbić. Dopiero teraz na sprawdzianie z metadialektyki dziejów Krzysio zdołał osadzić swoje dziecięce wspomnienie w ramach historycznych. Tak, ta gra to musiał być wirtual *Człowieka z UPR-u* spiratowany w wersji interaktywnej w ten sposób, że się było marszałkiem Zychem, którego, jak wiadomo, wtedy, 19 września 1997 roku ocalił niesamowity refleks. Marszałek w ostatnim ułamku sekundy uniknął śmierci, odbijając laską marszałkowską rozpędzony goleń Korwina-Mikkego, zakończony grotem ułamanej kości. Normalnie, wirtualne historyczne nie są interaktywne, bo ingerencja widza w akcję zaburzałaby ich wartość poznawczą. Ale oczywiście dla piratów nie ma świętości i każdy wirtual jest dostępny w wersji interaktywnej. W efekcie szczeniaki od pięciu do piętnastu lat zabawiają się na przykład tak, że gówniarz jeden z drugim tak steruje w *Krzyżakach* Ulrichem von Jungingenem, że Krzyżacy wygrywają bitwę pod Grunwaldem, bo Wielki Mistrz podrzyna gardło Władysławowi Jagiełłę. Zresztą Krzysio też przez to przechodził, w wieku trzynastu lat, razem z tym Jaśkiem z drugiego aerobungalowu po sześciu godzinach wygrali Powstanie Warszawskie w ten sposób, że jak już nie było innej siły, ściągnęli na pozycje niemieckie ogień laserowy ze ślizgaczy stratosferycznych. W ogóle z tym Jaśkiem to mieli fazę na drugą wojnę światową i podczas gdy inni koledzy całymi wieczorami po szkole siedzieli w polu holowizorów i bawili się w *Potop*, razem z wojskami Karola Gustawa zdobywając i burząc zamki między Krakowem a Częstochową, to Krzysio z Jaśkiem w tym czasie pakowali żołnierzy z Westerplatte do gwiazdolotu z biało-czerwoną szachownicą i 1 września 1939 roku rozpieprzali Berlin z działek neutronowych, a w drodze powrotnej odparowywali Luftwaffe lecącą na Warszawę. Niektórzy chłopcy nigdy nie

wyrastają z takich zabaw. Krzysio rok temu miał okazję zobaczyć, co jego własny ojciec zrobił z wirtuałem biograficznym o ostatnim królu Polski. Ojciec, który zawsze przeklinał piratów za demoralizowanie młodzieży, sam jakoś złamał kody zabezpieczające i wprowadził dokumentalny film w interakcję. Ojciec miał tego pecha, że niechcący włączył w holowizorze nagrywanie nowej wersji, no i następnego dnia, gdy rodzic poleciał do pracy, Krzysio sobie obejrzał, jak jego ojciec jako Stanisław August Poniatowski rżnie carycę Katarzynę II podczas spotkania z nią w Kaniowie 6 maja 1787 roku. Na usprawiedliwienie ojca Krzysztofa należy dodać, że zaspokoiwszy przyziemne potrzeby, rodzic poprowadził dalszą akcję jak prawdziwy polski patriota - to znaczy, przeleciawszy carycę trzykrotnie, podgryzł gardło autorce projektu pierwszego rozbioru Polski, a powróciwszy nie bez pewnych perturbacji do Warszawy, przyjął chińskich posłów i nie minęły dwie godziny emisji wirtuala, a pogrążona w chaosie po śmierci carycy Rosja doznała rozbioru swoich ziem wzdłuż linii Uralu. Na marginesie, ojcowej wersji przygód króla Stanisława nie udało się już obejrzeć mamie Krzysia, gdyż dysk transformacyjny nie wiedzieć czemu przegrzał się i holowizor na tydzień poszedł do serwisu, a w międzyczasie ojciec przechwycił sześcian programowy i gdzieś go ukrył. Oto z czym w bardzo, bardzo szerokim zakresie kojarzyła się Krzysiowi data 19 września 1997 roku, a że czas na odpowiedź mijał już za dziesięć sekund, Krzysio w panice wystukał tylko jedno zdanie:

19 września 1997 roku kojarzy mi się z męczeńską śmiercią Grzegorza Kołodki.

Pole egzaminacyjne znów zapulsowało błękitem - znaczy się taka odpowiedź była wystarczająca.

Niemіłosierny komputer egzaminacyjny wydrukował kolejne, pięćdziesiąte siódme już pytanie - tym razem bardziej opisowe, bo dotyczące przecież setnej rocznicy:

*21 września 1997 - przełom czy kontynuacja?*

Krzysio tym razem bez namysłu wiedział, co napisać. Naprawdę zaczął wierzyć, że zaliczy sprawdzian, a jeżeli jeszcze się okaże, że będzie miał więcej niż osiemdziesiąt punktów, to ma już w kieszeni szkolną wejściówkę do Centralnego Ośrodka Metafizyki na uroczystość wręczenia Bohaterowi PRL Kwaśniewskiemu 007 złotej karty wstępu do orgazmolandu.

#### 4. 21 września 1997 roku

14 września 1997 roku o godzinie 8.15 Marian Mewa przemieszczał się wzdłuż osi Ogrodu Saskiego niczym pershing niosący głowicę jądrową. Marian dokładnie czuł, że nie ma już mózgu, tylko dwie półkule odlane z litego izotopu uranu 235 - dwie półkule mogące w każdej chwili zetknąć się i eksplodować w reakcji nuklearnej. Marian szedł szybkim krokiem prosto w stronę fontanny zasłaniającej Grób Nieznanego Żołnierza, nie rozglądał się. Tego poranka odcinek od fontanny do torów tramwajowych przy Marszałkowskiej, ten odcinek Marian przebył już dziś piętnaście razy, tak więc widok agonalnych plam na liściach drzew przestał go cieszyć. Należy dodać, że proces agonii życia w parku Saskim dopiero się zaczynał. Wczesna jesień dopiero gdzieś rzygnęła krwią na rozpanoszoną zieleń. Również zółci było jeszcze niewiele, w każdym razie zdecydowanie więcej było jej pod gardłem Mariana Mewy, gdyż właśnie w postaci palącej zgagi materialnie objawiała się niematerialna złość i gorycz rozczarowania, jaką Marian Mewa niósł dziś w duszy. Marian starał się w ogóle nie myśleć, ale obrazy wczorajszego wieczoru same pojawiały się w głowie, tak jakby tam jakaś igła gramofonowa wskakiwała co i raz w ten sam odcinek spiralnego rowka płyty analogowej z zapisem Marianowego życia. Gdybyśmy ominęli ten feralny odcinek i popędzili mocą wyobraźni wzdłuż spirali tego rowka ku dziurce centralnej, to już po kilku okrążeniach ujrzelibyśmy Mariana Mewę w zupełnie innym kontekście, a mianowicie na dziobie okrętu. Bynajmniej nie ujrzelibyśmy na jego głowie charakterystycznej białej czapki ani kapitańskich epoletów na ramionach. Na jego ramionach ujrzelibyśmy kurtkę pikowaną typu „kufajka”, a na jego głowie pomarańczowy kask brygadzysty. Natomiast okręt miałby po obu burtach olbrzymie dziury nie przyspawanej jeszcze blachy. Marian Mewa był stoczniowcem. Był. Bo dziś, 21 września 1997 roku, jest właścicielem szczęki pod Pałacem Kultury i Nauki oraz pojazdu mechanicznego nysa towos rocznik 1985. A wszystko przez kogo - „przez komunistów i przez tę kurwę” - od wczorajszego wieczoru Marian w swoich natrętnych myślach nie używał już jej imienia, a jedynie stosował łaciński ekwiwalent. „Tę kurwę” - Żanetę Wipińską poznał, jak jeszcze miała piętnaście lat i skończoną drugą klasę liceum. Pierwszy raz zobaczył ją w sierpniu 1980 roku, jak dawała stoczniowcom przez bramę kanapki, cukier, herbatę i co tam jeszcze dostała od rodziców dla strajkujących. Marian zwrócił na nią uwagę, gdyż wyróżniała się niepospolitą jak na dziewczynę odwagą. Trochę go nawet ta jej brawura denerwowała, Marian czuł się zawstydzony, że podczas gdy on, szesnastoletni młodzieniec, boi się oberwać

pałą przez łeb, ona potrafiła się wślizgnąć pod bramę nawet w tych dniach, gdy stał tam kordon milicji. Właśnie przy okazji takiego kordonu się poznali - wtedy zamienili pierwsze kilka słów i wtedy to Żaneta przemyciła stoczniovcem kanapki przyniesione przez Mariana. Nie wyśmiała go jednak. Marian bardzo ją za to polubił i nawet zaprosił parę razy do kina, chociaż mu się wtedy nie podobała za bardzo. Dwa lata później Żaneta zdała maturę i dostała się na studia ekonomiczne, natomiast Marian, który rok wcześniej oblał egzaminy wstępne na Politechnikę Gdańską, aby uratować się przed wojskiem, poszedł do Policealnego Studium Budownictwa Okrętowego. Potem były jakieś wakacje. Ona zaproponowała obóz kajakowy od niej z uczelni. Marian nie chciał się czuć na obozie zobowiązany jej zaproszeniem - głupio by mu było podrywać inne dziewczyny na jej oczach, co musiałby robić, gdyż jej przecież za specjalną piękność nie uważał, odmówił. Było jej przykro, choć nie dała po sobie tego poznać. Kontakty urwały się aż do maja 1988 roku. W maju 1988 roku Marian miał już za sobą dyplom technika budowniczego okrętów, dostanie się po ponownej próbie na Politechnikę Gdańską i wylanie z tejże oraz dwa lata pobytu w Bieszczadach, który to pobyt był związany z przeczekiwaniem nadmiernego zainteresowania osobą Mariana ze strony Ministerstwa Obrony Narodowej reprezentowanego przez Wojskową Komendę Uzupełnień. Kiedy wreszcie matka napisała do tartaku w Wetlinie, że bilety przestały przychodzić, a wujek coś tam załatwił, Marian zdecydował się wrócić z wygnania i przyjąć się do pracy w stoczni. Z pobytu w Bieszczadach Marian wyniósł głęboką miłość do połonin. Pamiętny maj 1988 roku. Pierwszy dzień w Stoczni Gdańskiej - Marian zagubiony, a tu, bach!, kadrowa - nie kto inny tylko Żaneta - a potem drugi szok - pierwszy dzień pracy, a tu żadna praca - wiec i strajk okupacyjny, a Marian obcy - jeszcze żadnych kumpli, bez własnej brygady - nowy. No i stało się - Marian cały wieczór pętał się, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, wreszcie znalazł - na styropianie obok Żanety. Nie, nie nic tam się nie zdarzyło, zero seksu, obok spały inne baby z administracji. Ale tamtej nocy Marian nie zapomni nigdy! Marian do dzisiaj nie wie, czy to zapach kobiety, czy promieniowanie podczerwone gorącego kobiecego ciała, czy te dwa lata w Bieszczadach, czy zagubienie w nowej sytuacji - grunt, że rano Marian był już gotowy. I się zaczęło - strajk przeminął, potem Okrągły Stół, wybory 4 czerwca, a ogólny życiowy entuzjazm Mariana dawał się określić w odwrotnej proporcji do entuzjazmu ogarniającego cały naród. Marian paradoksalnie czuł to samo, co komuniści, tylko z innego powodu. Żaneta niby miła, ale a to czasu nie miała, a to to, a to śmo, a to ją Marian widział z jakimś zaopatrzeniowcem, jak wsiadała do jego forda fiesty, a to była na zwolnieniu, tylko że telefon u niej w domu nie odpowiadał, a potem po tej chorobie wróciła jakoś dziwnie opalona. Zagadnięta, odpowiedziała, że w domu ma kwarcówkę. Marian oczywiście nie uwierzył w tę

kwarcówkę, natomiast zaraz wyobraził sobie Żanetę z tym zaopatrzeniowcem obściskujących się na piasku Lazurowego Wybrzeża, ewentualnie w Łebie i serce mu zwinęło się w ósemkę z zazdrości.

Mijały lata. Na marginesie tego, co działo się w sercu Mariana, zachodziły i inne wydarzenia, a mianowicie: dostał brygadę, pensję do wytrzymania, oszczędzał, wziął nawet pod koniec 1995 roku trochę kredytu z banku i kupił fiata uno i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie komuniści, którzy w 1996 roku postanowili dorżnąć stocznię. Dwa ciosy nastąpiły jeden za drugim. Żaneta niespodziewanie opuściła tonący okręt stoczni - złożyła wymówienie i, co gorsza, ni z tego, ni z owego przeprowadziła się do Warszawy, gdzie, jak się okazało, akurat zmarła jej ciotka, zwalniając mieszkanie. Nie minęły trzy miesiące i Marian znalazł się na bruku, bo nie załapał się na budowę statków dla Schellera. W swojej naiwności Marian sądził, że nikogo w życiu nie będzie nienawidził tak, jak komunistów. Mylił się, ale jeszcze o tym wtedy nie wiedział. Styropian jest lekkim tworzywem, jednak ucisk pamiętnego, wspólnego z Żanetą styropianu na mózg Mariana Mewy był tak silny, że zamiast przyjąć propozycję pracy w Stoczni Remontowej „Nauta”, Marian sprzedał fiata uno (tracąc jeszcze dodatkowo na zaciągniętym na zakup tego samochodu kredycie bankowym) i z drobnym kapitałem wyjechał na pałę do Warszawy. Spodziewał się, że zrobi Żanecie niespodziankę. Był pewien, że Żaneta, czując się samotna w obcym mieście, powita go z radością. Pomylił się. Pod wskazanym adresem, po dźwięku dzwonka drzwiowego nie usłyszał Marian ukochanych kroków za drzwiami. Nie usłyszał słów: „Marianie, to ty, Jezu, jak się cieszę, wejdź proszę”. Marian nie usłyszał nic, tylko przyspieszony łomot własnego serca. Tak miało być przez całe dwa długie tygodnie. To były koszmarne dwa tygodnie - taksówkarz zawiózł Mariana do jakiegoś taniego hotelu na Żoliborzu, gdzie tabuny Ruskich i Wietnamców wyrażały się od piątej rano w kierunku na Stadion i rozliczne bazy, a po piątej po południu w kierunku ze Stadionu i rozlicznych bazarów. A Marian czytał ogłoszenia w prasie, chodził dzwonić z budki pod wypisane adresy mieszkań do wynajęcia, potem jeździł całować klamkę mieszkania Żanety, a nocami przemyślał, co w ogóle zrobić ze sobą w tej Warszawie. Kiedy już był na samym dnie depresji, w desperacji byle do kogoś gębę otworzyć, zaczął trochę po angielsku, a trochę po rusku gadać z Wietnamczykami. I tak się zgadało, że jeden Wietnamiec, który ma swój boks na Stadionie, wyniuchał jakąś szczękę, która się miała zwolnić pod Pałacem Kultury i Nauki, Tylko, że Wietnamiec nie miał akurat dość gotówki na jej zakup oraz współnika, który mógłby tę szczękę prowadzić. I tak oto Marian złapał pierwszy kawałek gruntu pod sobą. Następnego dnia rutynowa kontrola przeprowadzona przez Mariana wykryła wreszcie obecność Żanety w mieszkaniu. Okazało się, że Żaneta



właśnie wróciła z Włoch - pozwoliła się Marianowi pocałować w opalone policzki, a następnie serdecznym głosem oświadczyła, że go nie wpuści, bo ma bałagan, jeszcze nie rozpakowana, zmęczona po podróży i że bardzo chętnie - niech wpadnie, ale za tydzień. Przez ten tydzień Marian stał się już panem swojej sytuacji - wynajął na Żąbkowskiej małe, tanie mieszkanie i to z telefonem, na giełdzie na Żeraniu kupił nyskę całkiem na chodzie i co rano śmigał na Stadion po świeżą porcję prześlicznych popielatych dresików, które już o dziewiątej rano miał ładnie poukładane na półeczkach w szuflce pod Pałacem. Koledzy sączący całymi dniami piwko w sąsiednich szczękach jakoś nie polubili Mariana, może niepotrzebnie przyznał się, że jest z Gdańska -w każdym razie już na trzeci dzień Marian zastał swoją szczękę obryzganą różnokolorowymi sprayami, a w poprzek jarzył się fosforyzujący napis:

*Najlepsze dresiki u gdańskiego chuja,  
w nich się każdy kutas swobodnie wybuja.*

Marian nie przejął się tym zbyt, gdyż zbliżała się sobota i upragniona pierwsza wizyta u Żanety. Żaneta przyjęła Mariana bardzo serdecznie, miała świetny makijaż, śliczną włoską sukienkę i w ogóle Marian zachodził w głowę, jak ta kobieta mogła mu się kiedyś nie podobać. Mieszkanie Żanety było naprawdę duże - trzy pokoje z kuchnią. Do tego trzeciego pokoju Żaneta nie pozwoliła Marianowi zajrzeć, podobno tam jeszcze nie zdążyła posprzątać. Następnie przez dwie godziny Marian wysłuchał rewelacyjnych opowieści o problemach rodzinnych, z którymi borykają się pracownicy sekretariatu Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej, gdzie Żaneta dostała pracę, a następnie, gdy butelka wina, którą Marian przyniósł, była już pusta i gdy Marian właśnie zamierzał wyznać Żanecie, jak mu na niej zależy - usłyszał, że Żaneta jest już zmęczona i musi się wyspać, bo jutro jedzie na wycieczkę do Puszczy Kampinoskiej ze znajomymi z pracy. Dwa tygodnie później Marian również zaproponował Żanecie wycieczkę do Puszczy Kampinoskiej, ale usłyszał, że Żaneta do lasu jeździ bardzo chętnie, ale nie takim gruchotem jak dwunastoletnia nysa towos.

Mariana trafił szlag. To on sprzedał fiata uno, żeby mieć na jakieś zagospodarowanie w Warszawie, żeby być blisko niej, a tu co...

W pierwszym odruchu Marian chciał wracać do Gdańska, ale miał właśnie rozgrzebaną sprawę rejestracji działalności gospodarczej, którą to sprawę uruchomił, żeby nie być za długo zatrudnionym u Wietnamczyka na umowę zlecenie. Poza tym dresiki nieźle szły.

Został, ale z głębokim postanowieniem, że z Żaneta nigdy więcej nie będzie miał nic

wspólnego. I byłby może szczęśliwy, ale góra przyszła do Mahometa - ponad tydzień temu, 13 września z soboty na niedzielę zadzwonił w środku nocy telefon. Marian już zbierał w myślach cały mu znany zasób rosyjskich i angielskich przekleństw, żeby opierdolić Wietnamczyka, a tu cud - Żaneta Wipińska - słyhać, że zapłakana, jak również słyhać, że język się jej lekko płacze. Marian usłyszał, że to świństwo, że nie złożył jej życzeń z okazji urodzin, co były dziewiątego, że to wredne, że się nie odzywa tyle czasu, że przecież są przyjaciółmi, że z tą nysą to żartowała, a tak naprawdę, to nie chciała drugi raz jechać do tej Puszczy Kampinoskiej, bo tam było dużo komarów. Marian zmiękł doszczętnie, ogarnęła go tkliwość i troska. Zapytał płaczącą, czemu płacze. Dowiedział się, że się dowie, jak ją odwiedzi w następną sobotę. Marian odwiedził - wczoraj, 20 września 1997 roku. Była w świetnym humorze - ucieszyła się, ale bardzo przeprosiła, że nie ma żadnego poczęstunku, bo całą sobotę z przyjaciółką z pracy łąziły po sklepach za jakimiś ciuchami i nie zdążyła nic kupić do jedzenia. Marian powiedział, że nie ma sprawy, że do całodobowego raz-dwa skoczy - faktycznie za pół godziny był z prowiantem, z pół litrem ginu lubuskiego i głębokim postanowieniem, że tej nocy nie będzie już prowadził samochodu. Żaneta bardzo się ucieszyła z jego zakupów, powiedziała tylko, że gin lubuski to może sobie wypić z kolegami z sąsiednich szczek. Wreszcie kiedy drugim kursem tego wieczora przywiózł z nocnego Gordon's Dry Gin, zapaliła świece i zrobił się nastrój. Marian rozlał gin do kieliszków i głosem pełnym troski zaczął rozmowę od pytania: „Co się stało tydzień temu? Dlaczego płakałaś?” Żaneta odpowiedziała, że nie pamięta, bo była trochę zawiana po swojej urodzinowej imprezie w klubie „Ground Zero”, który to klub okazał się „całkiem beznadziejny, znacznie gorszy od «Maksyma» w Gdyni, a już z żadną dyskoteką we Włoszech to nawet nie ma co porównywać”. Mariana nieco zatkało, gdyż jego troska wywołana ubiegło-tygodniowymi łzami zawisła w próżni. Nim jednak Marian zdążył zadać jeszcze jakieś pytanie, Żaneta przeprosiła na moment i wyszła do toalety. Pobyt Żanety w łazience przedłużał się. Marian rozejrzał się po pokoju i nagle jego uwagę przykuł ozdobnie oprawiony duży notatnik leżący na stoliczku pod lampką nocną. Marian wiedział, że nie powinien, ale nie mógł się powstrzymać - przesunął lekko fotel, sięgnął i otworzył notatnik na chybił-trafił. Serce Mariana załomotało - przebiegł wzrokiem kilka wersów, przerzucił stronę i kolejną, i kolejną, łapczywie wrywał oczyma całe fragmenty tekstu, chłptał je z lubością, nasączał nimi świadomość jak gąbkę.

*Imię twoje jest jak poemat zawarty w jednym słowie, jest jak hasło wrywane mi z serca całą tkliwość, czułość i tęsknotę...*

*Nie mówię do mego serca: „Sezamie otwórz się” - jest krótsze zaklęcie: jedno słowo „Marian”.*

*Czasem budzą się w nocy samotna, cała przeleżała łękiem, którego źródła nie znam - lecz wtedy jedna myśl, moje wargi wypowiadają twoje cudowne imię: Marian i lęk rozpada się jak rozbryźnięta na wietrze plwocina.*

*Masz swój cel i dążysz do niego niezłomnie, masz siłę i wiesz, jak jej użyć, Marian, pragnę z tobą budować nasz kraj! Ale najpierw między nami mur trzeba zburzyć...*

Marian odłożył notatnik poetycki na stolik, szybko poluzował krawat i zsunął go przez głowę - do burzenia muru krawat nie jest potrzebny, a szarpanie się z nim w ostatniej chwili wprowadza gorszy dysonans niż zakładanie prezerwatywy. Zastanawiające było, że Żaneta tak długo nie wychodzi z łazienki - może wyjdzie w jakiejś seksownej bieliźnie albo nago z sutkami pomalowanymi szminką - takie obrazy przelatowały Marianowi przez głowę. Wyszła ubrana, ale za to zielona na twarzy.

- Sorry, Marian, ale cholernie mi się niedobrze zrobiło, nie wiem po czym, pół kieliszka nawet jeszcze nie wypiałam... - powiedziała, zabrała Gordon's Dry Gin ze stołu i wyniosła go do kuchni. Marian usłyszał, że trzasnęła lodówka. - Sorry, nie mogę patrzeć na alkohol, to chyba uraz z zeszłego tygodnia - usprawiedliwiała się. - Co tam u ciebie słyhać? - Przysiadła znowu na krawędzi fotela, lecz nim Marian zdążył otworzyć usta, znowu poderwała się i zniknęła w łazience. Marian wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po dwóch minutach, zaniepokojony, krzyknął nawet w kierunku łazienki, czy może wezwać lekarza. Usłyszał bełkotliwe: „Nie, nie, nie”. Okrążył jeszcze raz pokój - pamięć podsuwała mu zwroty, których samo wspomnienie natychmiast wypełniało jego pierś szczęściem i tkliwością: „Nie mówię do mego serca: «Sezamie otwórz się» - jest krótsze zaklęcie: jedno słowo: «Marian»...”

Jakoś tak niechcący Marian trącił kławkę od owego trzeciego pokoju, którego nie oglądał podczas ostatniego pobytu u Żanety. Drzwi właściwie same się otworzyły i światło świec oświetliło stojącą w głębi toaletkę zastawioną jakimiś podługowatymi kształtami - prawdopodobnie lakierami do włosów w sprayu. Marian ledwie to dostrzegł, ale do lustra były przyklejane zdjęcia. Marian wymacał przełącznik i zapalił światło. Ze zdjęć przyklejonych do szkła spojrzano Marianowi Mewie prosto w oczy kilku przewodniczących Akcji Wyborczej Solidarność Marianów Krzaklewskich, między innymi ten przemawiający w Częstochowie i ten dumnie, jak na pomniku, wyprężony przed sejmem (sfotografowany na dachu samochodu przez reporterów „Wprost”), również ten frasobliwy, wycięty

prawdopodobnie z „Tygodnika AWS”, oraz kilku innych. Natomiast oświetlone elektrycznym światłem stojące na toaletce rzekome lakiery do włosów przeistoczyły się w rządęk stojących na sztorc różnych wielkości kutasów z różowego tworzywa, oprócz tego stały tam dwa gładkie wibratory trochę przypominające rękojeść latarki. Marian sam nie wiedział, jak znalazł się z powrotem na Żąbkowskiej w swoim mieszkaniu. Łyknął dwa relania, ale i tak do czwartej rano nie mógł spać - zdradliwa pamięć truła Mariana jadem poetyckich strof, którymi ożłopał się wczoraj z pamiętnika Żanety. Niczym nie strawiony obiad odbijały się Marianowi fermentujące do żrącego kwasu zlepki Żanecinej poezji:

*Marian, pragnę z tobą budować nasz kraj!*

*Ale najpierw między nami mur trzeba zburzyć...*

Zburzysz, kurwo, mur - mamrotał pod nosem Marian o 3.15 w nocy. Marian znał Mariana jeszcze ze stoczni. Marian wiedział, że Marian Krzaklewski to bogobojny człowiek, który zna przykazanie: „Jeśli twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia wiecznego, niż z dwiema rękami pójść do piekła w ogień nie ugaszony”. Tak... -uspokajał się Marian Mewa o 3.25. - Marian Krzaklewski jest żonaty i gdyby w razie jakiejś pokusy nie miał pod ręką odpowiedniego narzędzia, to i grzebieniem by sobie urznął kutasa, bo wołałby iść do nieba bez kutasa niż

z kutasem do piekła... Nie... Marian z Żanetą nigdy by... A może jakimś cudem zapoznała go, jak pikietował ze stoczniowcami Ministerstwo Pracy... No to co... Nawet jeśli, to Marian, święty człowiek, nie zdradziłby żony...

No tak, i dlatego te wibratory - skonkludował Marian i zasnął o czwartej.

Obudził się o szóstej i poczuł, że furia ogarnia go znowu. Ubrał się, wsiadł w nyskę i pojechał do ogrodu Saskiego z myślą, że może spacer nieco go rozładuje. Niestety spacer nie pomógł. Myśl, że Żanetą wołała samo wyobrażenie Mariana Krzaklewskiego patrzące ze zdjęcia od promieniujących miłością żywych oczu Mariana Mewy... myśl, że wołała pokrytą emulsją fotograficzną kartkę papieru od Mariana Mewy z krwi i kości gotowego w każdej chwili objąć Żanetę i przytulić - ta myśl paliła jak piołun.

Co się gapiacie, skurwysyny - Marian cisnął kamieniem w grupę gołębi dziobiących coś z chodnika.

Ale twój idol, kurwo, premierem nie zostanie - raz jeszcze tego poranka przeklął Marian, skręcił w kierunku zaparkowanej przy Senatorskiej nyski i pomknął jak Herostrates podłożyć swoją pochodnię w szkole podstawowej przy ulicy Żąbkowskiej, gdzie mieścił się

lokal wyborczy, w którym Marian był zarejestrowany ze względu na miejsce zamieszkania.

21 września 1997 roku - wybory do sejmu Trzeciej Rzeczypospolitej.

Lokale wyborcze otwarte od 6.00 do 22.00.

Marian stanął nad urną o 9.23.

Marian nie ufał komunistom jak psom. Marian wiedział, że to, że na przykład na tydzień przed wyborami SdRP spłaciła długi PZPR, to jakieś przedwyborcze matactwo, wcześniej jakoś nie mogli zebrać tych pieniędzy...

Marian czytywał „Wprost” - o, weźmy ten numer z 14 września - ta czerwona socjaldemokratyczna spółka POLcośtam, co w dziewięćdziesiątym czwartym nielegalnie zatrudniała tego Ałganowa, co się kumał a to z Oleksym, a to z Kwaśniewskim - proszę znowu jakieś zboże z Kazachstanu do Polski sprowadziła i się okazało, że zarodki kleszczy w tym zbożu były i trzeba było wagony cofnąć, a po białoruskiej stronie, Białorusini w tym zbożu jakąś trumnę hermetyczną znaleźli, a potem bach z białoruskiego urzędu celnego, że ta trumna gdzieś zginęła i nic nie wiadomo - ani co w tej trumnie, ani czy ta trumna miała trafić do Polski czy odwrotnie z Polski na wschód... Takie to czerwone afery. Ale nawet abstrahując od afer, Marian nienawidził komunistów choćby za sposób, w jaki upokorzyli Stocznnię Gdańską. Tak więc Marian był świadomy, co robi, ale nienawiść wydestylowana z miłości była mocniejsza od tej chronicznej, więc już nieco rozwodnionej nienawiści do komunistów.

Ale twój idol, kurwo, premierem nie zostanie!

O 9.22 Marian Mewa przekreślił listę AWS-u, zakreślił listę AWSL-u, splunął do środka, złożył i o 9.23 wrzucił kartę do urny.

Dopiero świadomość, że stało się, otrzeźwiła Mariana z amoku. Poczuł się jak Judasz Iskariota albo raczej jak Maryna, co wydała Janosika, a trochę też czuł się jak wspomniany Herostrates palący Świątynię Polskiej Demokracji. Marian nie zdawał sobie jednak sprawy, że jego ciśnięta do urny pochodnia niesie prometejski ogień nowej rewolucji, rewolucji, która na krótko, ale jednak, przyniesie niezapomniane chwile szczęścia milionom Polaków.

## 5. Szczur doświadczalny

Sześć i pół roku później.

19 stycznia 2004 roku. Godzina 19.15.

Czarny rządowy turbolot Daewoo WC Kaczka (przezywany tak ze względu na rzucające się w oczy podwinięte skrzydełka nadprzewodzących stabilizatorów) z charakterystycznym poszumem spuszczonej wody sunął aleją Grzegorza Kołodki w asyście czterech ciemnogrnatowych turbolotów policyjnych. Na wysokości Europejskiego Centrum Finansowego, zbudowanego przez Elektrim Corporation na miejscu dawnego Portu Praskiego, konwój wzniosł się na estakadę biegnącego na ukos przez Wisłę mostu Świętokrzyskiego. Pułkownik inżynier Mirosław Kocoń, kierownik projektu badawczego o kryptonimie ZML przestał na chwilę bębnić palcami po plastikowej obudowie zasobnika i rzucił okiem przez pancerne okno turbolotu. Przez te kilka ostatnich lat Warszawa zmieniła się. Teraz aleją Kołodki przez most Świętokrzyski z jednostki wojskowej w Rembertowie, gdzie mieści się Instytut Telekomunikacji i Biofizyki Mózgu, do centrum można dojechać w dziesięć minut, oczywiście poza godzinami szczytu. Turbolot znalazł się właśnie w najwyższym punkcie łagodnej paraboli mostu i pułkownik Kocoń z przyjemnością podziwiał wieczorną panoramę stolicy. Widok był tak piękny, że napięcie związane z czekającym Koconia spotkaniem na kilka sekund ustąpiło błogostanowi beztroskiej kontemplacji. Charakterystyczne sylwetki wieżowców: Caress-Slider Industry, rombowlato zakończony biurowiec Safetex Corporation, dwa bliźniacze walce hiszpańskiej spółki Prophyl Center SA, potężne gmaszysko niemieckiego koncernu Rimbacher Gummiwaren Fabrik, Gold Circle z seledynowymi liniami zewnętrznych szybów windowych, Mapa GmbH w budowie, Carter Products New York z rubinowo podświetlaną elewacją, no i oczywiście najwyższy, smukły Gigantex Jarroy London. To wszystko wysokościowce, które zajęły wolną przestrzeń Ogródu Saskiego (w 2001 roku Rada Warszawy szczęśliwie zdecydowała, że bardziej jest potrzebne Warszawie nowoczesne centrum administracyjno-biurowe niż replika pałacu Saskiego, który stał na tym terenie przed wojną). Kocoń zawadził również wzrokiem o inne charakterystyczne zgrupowanie skajskrajperów, nazywane przez warszawiaków drugą Japonią - oczywiście w nawiązaniu do Wałęsowskiej przepowiedni, ale nieco nieściśle było to określenie, gdyż na miejscu ohydneho socrealistycznego MDM-u, wyburzonego w 2002 roku, swoje budynki wybudowały również dwie spółki uciekinierów z przejętego przez Chiny Hongkongu - ten srebrzysty Touming Biyun-tao i biurowiec Cho-San z charakterystycznym świecącym

fioletowym czubkiem. Pozostałe cudenka architektury ze szkła i aluminium to także dzieła Japończyków: Manix Okamoto, Nakanishi Gomukogyo Osaka, Fuji Latex, Sagami Rubber Industries i kilka innych, których nazw Kocoń nie pamiętał.

Tak, w okresie rządów AWSL Warszawa zdecydowanie przekształciła się z pipidówka Europy Wschodniej w prawdziwą europejską aglomerację, a konsekwentna polityka prezydenta Kwaśniewskiego, uwieczniona przyjęciem do NATO i Unii Europejskiej, przyciągnęła zagraniczny kapitał i wzmogła inwestycje przedsiębiorców z całego świata. Ważnym czynnikiem przyspieszonego rozwoju było oczywiście zatwierdzenie przez sejm odważnej propozycji nieodżałowanego Grzegorza Kołodki dotyczącej wprowadzenia dobrowolnej składki podatkowej. Dzięki temu posunięciu Polska stała się tygrysem Europy, osiągając najwyższy wskaźnik rentowności inwestycji.

Konwój wiozący inżyniera Koconia przemknął nad zatłoczoną o tej porze, biegnącą wzdłuż Wisły Wisłostradą.

No, tak - pomyślał Kocoń patrząc na zegarek - 19.17, faceci z business class prosto po pracy wałą do Ursynowskiego Centrum Rekreacji, Hazardu i Szybkiej Gastronomii. A baby? - wiadomo, na zakupy w Nadwiślańskiej Strefie Handlowej.

Istotnie, z drugiego poziomu ruchu Wisłostrady całymi sznureczkami odrywały się małe, opływowe łezki popularnych damskich turboleksów elektrycznych i spływały na połączone parkingi supermarketów tworzących jedną linię u podnóża skarpy Starego Miasta. Jeden za drugim jarzyły się kusząco olbrzymie neony: „Globi”, „E. Leclerc”, „Tip Discount”, „Hit Market”, „Geant” i kilka innych, niewidocznych z estakady zjazdowej mostu Świętokrzyskiego ze względu na zasłaniający częściowo widok stary most Śląsko-Dąbrowski. Pułkownik Kocoń poczuł, że chwila odprężenia minęła - konwój mknął już po górnym poziomie ulicy Świętokrzyskiej, a trzydzieści sekund później skręcił na rządowe pasmo trzeciego poziomu ulicy Marszałkowskiej. Kocoń spojrzał na Pałac Prezydencki. Niewiele świateł paliło się w części hotelowej na kondygnacjach poselskich. Prawdopodobnie w sali sejmowej (do 2001 roku Sala Kongresowa) trwały jakieś obrady.

Tak, zdecydowanie po zajęciu budynku na Wiejskiej przez Radę Nadzorczą Unii Europejskiej pomysł zaadaptowania Pałacu Kultury i Nauki na siedzibę władz centralnych był genialny, niezwykle usprawniający pracę sejmu, jak również zapewniający stały kontakt prezydenta z sejmem, poza tym to symboliczne położenie centralne Pałacu Prezydenckiego... - pomyślał Kocoń.

Konwój zjeżdżał już z trzeciego poziomu Marszałkowskiej w kierunku bramy wjazdowej na teren parkingu rządowego, zajmującego część placu Defilad za linią zadaszeń

nad ruchomymi schodami do stacji metra Centrum. Pod otaczającą parking i cały teren zastrzeżony linią drewnianych koźłów napinających drut kolczasty nie było już wielu pikiet. Najwyraźniej większość demonstrantów rozeszła się przed zmrokiem. Zostali najwytrwalsi. Koconiowi mignęło przed oczami kilka transparentów: „WCZORAJ SZCZĘKA, DZISIAJ SZCZOTA, TAKA KURWA EUROPA”. Aaa... to ci ze stowarzyszenia byłych kupców pracujących obecnie w brygadach sanitarnych utrzymujących czystość toalet w biurowcach - Kocoń nie mógł zrozumieć ich niezadowolenia: raz, że mają pracę, a dwa, każdy Polak woli kupić co chce i tanio w jednym z supermarketów jakiegoś europejskiego holdingu, gdzie dużo towarów z całej Europy, niż łązić po bazarze od szczęki do szczęki, od pawiloniku do pawiloniku albo przepłacać w lichych osiedlowych sklepikach. Prosta sprawa. Prawo rynku. Ekonomia skali. I co tu, kurwa, protestować!

Nie bardzo dziwił Koconia znaczny niedobór protestujących rolników z Lepper City. Teraz stała ledwie grupka z mizernym transparentem: „LEPIEJ W AZJI BĘDZIE CHŁOPIE NIŻLI W TAKIEJ EUROPIE”.

Tak... - westchnął Kocoń. - To już nie takie chłopskie protesty jak zaraz po przyjęciu Polski do Unii, kiedy spadkobiercy bauerów, zrzeszeni w Związku Wypędzonych, pozakładali sprawy cywilne o odzyskanie swoich gospodarstw na Ziemiach Odzyskanych, Pomorza, Warmii i Mazurach. Albo jakie to były demonstracje, kiedy po pierwszym roku Polski w Unii dotowana żywność zachodnia doprowadziła do bankructwa większość gospodarstw Polski centralnej i wschodniej. To wtedy eksplodował traktor pułapka, zaparkowany na trasie przejazdu prezydenta. Jedno szczęście, że koło tego traktora, które się wbiło w dach prezydenckiego turbolotu rozcięło tylko prezydentowi łuk brwiowy. A drugie szczęście, że sprawa restrukturyzacji rolnictwa została załatwiona polubownie. Wszyscy pamiętają słynną transmisję z obrad Rady Europy, na której lider frakcji chłopskiej w AWSL Waldemar Pawlak walczył jak lew o rekompensaty dla polskich rolników. No i odniósł pełny sukces. Rada zdecydowała o przesunięciu kwartalnej rezerwy budżetowej Unii (przeznaczonej pierwotnie na kompostowanie i utylizację psich odchodów w Lizbonie) na zakup wozu kempingowego dla każdej-polskiej rodziny chłopskiej, która utraciła gospodarstwo, a miesiąc później rząd polski przyznał w ramach dodatkowej rekompensaty po pakiecie akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw na rodzinę. Nie minął rok, a wyniku tych fortunnych decyzji na miejscu byłego lotniska Bemowo w Warszawie, które ze względu na znaczny obszar trawiastej nawierzchni nadawało się do wypasu pewnej liczby żywego inwentarza, powstało tak zwane Lepper City - wielkie koczowisko polskich rolników, którzy przybyli w swoich „unijnych drzymałowozach”, aby grać na warszawskiej giełdzie. Protesty



chłopskie zdarzały się jeszcze, ale najczęściej już nie pod Pałacem Prezydenckim. Raczej były to incydenty takie, jak ten opisany we wczorajszej prasie, kiedy ze względu na spadek akcji Vistuli grupa niezadowolonych rolników wylała cysterne końskiego moczu na schody wejściowe do gmachu giełdy, a potem kukła prezesa została powieszona na latarni z pętlą z czerwonych szelek na szyi.

Brak protestujących lekarzy i pielęgniarek nie dziwił Koconia w ogóle. Odkąd został wdrożony śmiały projekt zastąpienia całej (za wyjątkiem personelu chirurgii urazowej i porodówki) służby zdrowia dwudziestoczterogodzinną teleprojekcją seansu uzdrowicielskiego utrwalonego na płycie cyfrowej przez duet Kaszpirowski-Nowak, odkąd ten projekt przyniósł zdrowie milionom Polaków, masowo zwalniani lekarze „nieurazowi” urządzali pod Pałacem Prezydenckim ciągnące się miesiącami przemarsze i wiece, ale ostatnio w ramach zaostrzenia protestu urządzili strajk absencyjny i masowo przestali przychodzić na protest.

Ich miejsce szybko zajęli robotnicy z byłego Ursusa, którzy wszczęli kretyńską zawieruchę o głupie: „Guten Morgen”. Dyrekcja Volksvagen Poland życzyła sobie, aby pracownicy witali w ten sposób niemiecką straż fabryczną przy wejściu do zakładu. Kocoń kątem oka dostrzegł kilka charakterystycznych kasków i transparent, na którym było coś tam, coś tam i większymi literami: „NIE DAMY POGRZEŚĆ MOWY”. Tego coś tam, coś tam Kocoń nie odczytał, bo już jego uwagę przykuł kościotrup na wózku inwalidzkim. Do wózka przyłączone były dwa drążki z rozpiętą pomarańczową, zwracającą uwagę płachtą. Seledynowy odblaskowy napis na płachcie oznajmiał: „UNIO EUROPEJSKA, DZIĘKUJĘ CI ZA RENTĘ”.

No tak... - przemknęło Koconiowi przez głowę. - To ci z Konstruktynego Porozumienia Emerytów i Rencistów przywieźli obgryziony szkielet kolejnego członka...

Odkąd w ramach reformy ZUS-u ustawa sejmowa wyeliminowała nareszcie całą administracyjno-urzędniczą czapę, wprowadzając zasadę bezpośredniego poboru świadczeń, jak również odkąd wprowadzono dobrowolną składkę, nie wszyscy emeryci i renciści zdecydowali się odbierać należne im świadczenia w przewidziany ustawowo sposób. Część anarchistów notorycznie uchylała się od zbierania pod kościołem (lub oczywiście w innych miejscach publicznych) składek ZUS-u, ale za to uczestniczyła w nielegalnych spotkaniach KPEiR połączonych z rytualnym losowaniem i wspólną konsumpcją wylosowanych członków zgromadzenia. Niestety, policji udało się rozbić tylko kilka takich grup przestępczych. Wytoczone procesy utykają w miejscu ze względu na notoryczną absencję chorobową oskarżonych, gdyż większość z nich po aresztowaniu na czterdzieści osiem godzin

sabotuje uzdrowicielskie transmisje duetu Kaszpirowski-Nowak poprzez odwracanie się tyłem do zamontowanego w areszcie telewizora.

Brama wjazdowa na parking rządowy rozsunęła się automatycznie. Pułkownik Kocoń odwrócił wzrok od protestujących grupki i powtórnie zerknął do góry. Na dwudziestej piątej kondygnacji prezydenckiego apartamentu, jak również na dwudziestym czwartym piętrze biura kancelarii paliły się wszystkie światła. Gruczoły wydzielania wewnętrznego skurczyły się i Kocoń poczuł, jak serce chłostane kolejnymi porcjami adrenaliny bije coraz szybciej i szybciej. Prezydent czekał.

\*\*\*

Do listopada 1995 roku Aleksander Kwaśniewski, podobnie jak większość Polaków, robił kupę regularnie rano, niedługo po śniadaniu. Niezwykle stresujący okres kampanii prezydenckiej wycisnął jednak nieusuwalne piętno na zegarze biologicznym młodego jeszcze wówczas organizmu przyszłego prezydenta. Od momentu objęcia fotela prezydenckiego kupa zaczęła przesuwac się w czasie do przodu, po drugiej elekcji, tej z listopada 2000 roku, była to już kupa poobiednia, a pod koniec 2003 roku sięgała w porywach godziny 19.00. Z pewnych względów to opóźnienie było korzystne dla prezydenta. Rozmaite spotkania na szczycie, stresujące obrady, przeciągające się konferencje prasowe - te zjawiska, niczym sfera wampirów uczepiona prezydenckiej szyi, wypijały ostatnie krople wolnego czasu, czasu dla siebie. Lecz było na te wampiry remedium skuteczniejsze od rozpędzonej srebrnej kuli karabinowej z naciętym krzyżem: KUPA. Kupa jakby wiedziona jakąś metafizyczną, życziwą intuicją zachciwała się, kiedy po wyczerpującym dniu prezydent chciał nabrać oddechu przed dalszym ciągiem równie wyczerpującego wieczora. Tak więc konferencja, nie konferencja, prezydent mówił: „Przepraszam państwa na chwilę” i na dziesięć--piętnaście minut mógł być znowu zwykłym, wolnym człowiekiem. Kupa w odpowiednim momencie była o wiele lepszym lekarstwem niż tabletki relanium.

19 stycznia 2004 roku godzina kupy wybiła o 19.20, kiedy napięcie oczekiwania na delegację z Instytutu Telekomunikacji i Biofizyki Mózgu sięgnęło zenitu. Prezydent przeprosił na chwilę. Dla kamuflażu dyplomatycznie złapał jakąś aktówkę i minutę później był już z dala od ludzi, przemówień czekających na wygłoszenie, decyzji koniecznych do podjęcia. Tamten świat zniknął jak oberżnięty nożem. Teraz realny był tylko delikatny, uspokajający szmer strumyczka wody ściekający do muszli spod nieszczelnej uszczelki rezerwuaru. Realne stawały się też problemy szarych, zwykłych ludzi. Gdyby nie te chwile spędzone w ubikacji, ich sprawy mogłyby umknąć zduszone natłokiem rutynowych działań

prezydenckiego urzędu. Ale na szczęście do wewnętrznej strony drzwi prezydenckiej toalety przykręcony był pojemnik na prasę. Z woli prezydenta w tym pojemniku nie miał prawa się znaleźć żaden dziennik zachłystujący się politycznymi sensacjami. Nie miała tam prawa znaleźć się żadna gazeta epatująca na pierwszej stronie tytułami typu: „Kwaśniewski tam”, „Kwaśniewski siam”, „Zjazd PKS-u” (od aut. - PKS, utworzona jesienią 1997 roku na bazie AWS-u partia Przeciw Komunie Solidarność), „Prymas Głódź na spotkaniu w Gdańsku”. NIE! Tego typu szmatława prasa polityczna nie miała wstępu do prezydenckiej toalety. Kwaśniewski przebiegł palcami po aktualnej zawartości zasobnika. O jest... „Bravo Girl”! Teraz strona „Listy do redakcji” - prawdziwa kopalnia informacji na temat rzeczywistych problemów nurtujących obecne pokolenie polskiej młodzieży. To właśnie na bazie takich informacji można odpowiedzialnie konstruować ustawy, które nie będą martwym, pustym prawem, ale będą miały rzeczywiste przełożenie na poprawę bytu, a mówiąc prościej na wzrost szczęścia młodych ludzi. Prezydent zatrzymał wzrok na liście piętnastoletniej Ani z Radomia:

*Droga Redakcjo!*

*Na wakacjach poznałam dwóch fantastycznych chłopców. Tylko że jeden z nich kocha mnie zawsze od tyłu, a drugi od przodu. Zupełnie nie wiem, z którym z nich powinnam zacząć chodzić. Bardzo się tym martwię, bo moje wszystkie koleżanki mają chłopców, co lubią i tak, i tak. Nie mogę się skupić na odrabianiu lekcji. Błagam, pomóżcie!*

*Ania*

*Droga Aniu!*

*W poniedziałki, środy i piątki spotykaj się z jednym kolegą, we wtorki, czwartki i soboty z drugim, a lekcje odrabiaj w niedzielę. Głowa i pupcia do góry.*

*Redakcja*

W „Przyjaciółce” uwagę prezydenta przykuł z kolei dramatyczny list czterdziestoletniej Marianny K. z Bytomia:

*Mam czterdzieści lat i trójkę dzieci z moim mężem Jarosławem, który jest kierownikiem sekcji BHP na kopalni Bobrek i pracuje w administracji co go poznałam na*

wczasach w Ustroniu bo myślałam że jest górnikiem dołowym. A ja jestem ze Skierniewic wogóle i bardzo często czytałam u was artykuły różne o tych orgazmach i wogóle. Ale jak się przeprowadziłam do Bytomia to nie miałam już koleżanek żeby się zapytać czy one mają takie i właśnie w zeszłym tygodniu miałam sen że zjeżdżam tą windą do szybu na kopalni i tam na dole jest bardzo ciemno, a ja bardzo się boję i nagle przyjeżdża taki wagonik a z niego zamiast węgla wysypuje się całe mnóstwo górników z takimi latarkami na kaskach i oni ściągają spodnie i widzę że mają tylko te przyrodzenia białe a gęby i łapy takie umorusane jak u jakichś murzynów. No i ci górnicy zaczynają ze mną robić różne takie co ja czytałam w artykułach u was. I wtedy się obudziłam i tak słabo mi było w dołku i tak mnie tam coś zapierało jakbym miała rodzić, tylko nie bolało ale było nawet przyjemne ale mąż też się obudził i na szczęście mi przeszło. Ja się chciałam zapytać czy to właśnie jest taki orgazm i co z tego się może rozwinąć i do jakiego powinnam pójść lekarza. Bardzo proszę o szybką odpowiedź bo teraz nie śpię od nerwów.

Marianna

Równie dramatyczny był list młodego ucznia technikum skierowany do Ylvy prowadzącej intymne strony w popularnym, bogato ilustrowanym miesięczniku dla mężczyzn „Cats”.

*Droga Ylvo!*

*Nie mam dziewczyny, bo podobno nie jestem za przystojny, ale tym się nie martwię, bo jesteś przecież Ty i Twój miesięcznik. Bardzo lubię czytać wasze czasopismo. Nawet uzbiarałem już dwa pełne roczniki, ale ostatnio zauważyłem, że czytam je coraz częściej, bo nawet i pięć, sześć razy wieczorem czytam takie różne ulubione egzemplarze.*

*Ale potem rano nie mam jakoś siły chodzić na warsztaty, które mam o 8.00. Poza tym mam ostatnio kłopoty z oddawaniem moczu, ponieważ mój kogucik od wieczora prawie do czwartej po południu nie opuszcza łebka i jest stale zaczerwieniony. Czy jest na to jakieś lekarstwo? Ylvo, wydrukuj szybko odpowiedź, bo mnie wyleją z technikum, jak nie zaliczę warsztatów.*

Jarek z Warszawy

W „Claudii” Aleksander Kwaśniewski znalazł bardzo smutny list od Joli z Gdańska,

która przestała chodzić na dyskoteki, ponieważ ze względu na jej grube nogi i niezbyt ładne rysy twarzy nikt jej nie prosił do tańca, jak były wolne kawałki... Ale najbardziej wstrząsający był list Zbigniewa Z. ze Szczecina, zamieszczony w „Playboyu”, edycja polska.

*Drogi „Playboyu”!!!*

*Mam dwadzieścia dziewięć lat, piękną żonę i prześliczną czteroletnią córeczkę. Magdę, moją żonę, pierwszy raz zobaczyłem na prywatce, jak byłem na czwartym roku studiów. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Zwykle nie jestem nieśmiały, ale wtedy odebrało mi głos i bałem się do niej podejść, żeby nie wybetkotać jakiś bzdur. Dopiero na następnej imprezie ośmieliłem się do niej coś zagadać i do dziś pamiętam, że serce łomotało mi wtedy, jakby chciało ze strachu uciec z klatki piersiowej. Nie pamiętam, co mówiłem. Ale widać nie całkiem głupio, bo umówiła się ze mną do kina. Spotykałem się jeszcze potem z Magdą kilka miesięcy. Szalałem jak osiemnastoletni szczeniak, ale nie miałem nawet odwagi spróbować jej pocałować. W końcu to ona zrobiła pierwszy krok. Potem wyjechaliśmy wspólnie na obóz sportowy i nad jeziorem był nasz pierwszy raz, którego nigdy nie zapomnę, bo było jak z „Komu bije dzwon” Hemingwaya - ziemia nam zaczęła falować pod plecami. Nigdy wcześniej nie byłem taki szczęśliwy. Od tamtego momentu minęło pięć lat. Teraz czuję bardzo silną więź łączącą mnie z Magdą. Bardzo mi na niej zależy i na dziecku, i nie wiem, co bym zrobił, gdybym to stracił, ale...*

*Właśnie, jest to jakieś cholerne „ale”. Kiedy mi się przypomina to łomotanie serca, którego dostawałem na widok Magdy te pięć-sześć lat temu, i kiedy to porównam z tym ciepłym przyzwyczajeniem do jej obecności teraz, to czuję jakiś przygnębiający smutek, jakbym coś utracił bezpowrotnie. Jest też i drugie „ale” - to, że niemalże nie mogę jeździć z Magdą nad morze, bo na plaży głowa mi sama chodzi jak wieżyczka czotłgu. Mimowolnie gapię się na przechodzące i opalające się laski. A Magdę to denerwuje. I słusznie. Ale ja nie umiem tego odruchu powstrzymać, chociaż Magda jest równie zgrabna, jak te, za którymi mi oczy same lecą. Zresztą po powrocie z urlopu nie było lepiej. Może o tyle lepiej, że Magda już nie widziała, jak się oglądam za każdą ładniejszą szprota, którą zobaczę czy to w sklepie, czy gdzieś na ulicy. Próbowiałem walczyć z tym odruchem, bo czuję się tak jakbym zdradzał moją żonę poprzez kierowanie mojego obleśnego, pożądlivego spojrzenia na inne kobiety. Tak więc od kilku miesięcy - ilekroć się przyłapałem na oglądaniu się za jakimś lachociągiem - po przyjsciu do domu zamykałem się w łazience, kładłem penisa na krawędzi wanny i tłukłem go przyniesionym z kuchni tłuczkiem do mięsa. Prawie pomogło. Ale żona zauważyła na moim prąciu czerwone gwiazdki (bo taki był wzorek na powierzchni uderzeniowej tłuczka) i była*

*przekonana, że mam jakieś krostki czy coś. Oskarżyła mnie, że ją zdradzam i to pewnie z jakimś k... z agencji towarzyskiej, bo „przywlokłem syfa” do domu. Zaświadczenie od lekarza nie pomogło. Magda od miesiąca nie odzywa się do mnie i odmawia mi współżycia płciowego, w wyniku czego teraz jest jeszcze gorzej i prawie codziennie zdarza mi się na ulicy niechcący zerknąć na jakąś kobietę i potem muszę się za to karać w łazience, tylko że teraz najpierw owijam go ręcznikiem, żeby nie było znaku. Boję się powiedzieć żonie prawdę, to znaczy, że pociągają mnie też inne kobiety.*

*„Playboyu”, ratuj moje małżeństwo, co mam robić?*

*Zbyszek*

*PS I jeszcze wczoraj Magda przerwała milczenie tylko po to, żeby mi zrobić awanturę, dlaczego z krawędzi wanny odpryskuje emalia.*

Aleksander Kwaśniewski oderwał kawałek papieru toaletowego i otarł ociekające łzami policzki. Waśnie przez pryzmat takich jednostkowych nieszczęść najostrzej widzi się wszystkie bolączki trapiące cały naród polski. Lecz prezydent widział teraz coś jeszcze - widział kres tych cierpień, wyraźne kontury szczęśliwego ładu za rozbuchanym morzem egzystencjalnej rozpacz. Oto dzisiaj, zaraz, inżynier Kocoń - kierownik ściśle tajnego projektu badawczego o kryptonimie „Zwycięstwo Myśli Leninowskiej” przywiezie prezydentowi tę beczkę oliwy, która wylana na cały naród wygładzi falę rozpacz i pozwoli bezpiecznie dobić do tego nowego ładu, na którym Akcja Wyborcza Socjaldemokracji Ludowej wzniesie nowe państwo. Państwo, o którym Aleksander Kwaśniewski śnił od 1989 roku - Komunę Polskiego Narodu.

Ciężko było po wyborach 1995 roku, kiedy przyszło mu jak Konradowi Wallenrodowi kroczyć dalej w ślepią uliczkę „wolnego rynku” wytyczoną przez Leszka Balcerowicza, ciężko było rzucić cały naród w rozczapierzone macki Unii Europejskiej, ciężko było patrzeć, jak rak obcego kapitału wżera się w wycieńczoną tkankę polskiej gospodarki jak stężony kwas podany spragnionemu zamiast wody, ciężko było patrzeć, jak ogłupiały naród macha chorągiewkami, witając żołnierzy niemieckich wkraczających do poradzieckich baz pod płaszczykiem wsparcia NATO przeciwko gromadzącym się na wschodniej granicy dzikim hordom pod dowództwem Imperatora Wszechbiałorusi Łukaszenki Pierwszego, ciężko było, ale było trzeba!

Jeśli naród, jak gromada nierozumnych piskląt, rozdziawia dzióbki, bezmyślnie

popiskując: „Kapitalizmu! Kapitalizmu!”, jeśli taka była wola narodu, to... trzeba było zapchać te głupie dzioby trucizną, o którą skamlały.

Aleksander Kwaśniewski jeszcze raz wytarł łzy z wychudzonej troską o Polskę twarzy, odłożył czasopisma i otworzył przyniesioną do ubikacji teczkę z dokumentami. No tak, oczywiście, badania OBOP-u. Aktualna prognoza na jesienne wybory: PKS Krzaklewskiego 50%, UW 30%, ROP-uchy Olszewskiego 10%, niezdecydowani 6%, Akcja Wyborcza Socjaldemokracji Ludowej 3%, Teraz Kurwa Znowu Ja 1% (od aut. TKZJ - Trwała Konfederacja Zwycięstwa Jedności założona przez Lecha Wałęsę 22 września 1997 roku). Taak... Akcja Wyborcza Socjaldemokracji Ludowej 3%... Oszołomienie spowodowane wejściem do Unii i NATO, które dało drugą kadencję i zwycięstwo w sejmie w wyborach z 2001 roku, to oszołomienie minęło.

Taak... dziś, gdy Naród Polski poznał nareszcie smak upragnionej trucizny... nadeszła godzina podania odtrutki!

AWSL - 3%, ale to AWSL ma dzisiaj odtrutkę...

Aleksander Kwaśniewski zmiął prognozę wyborczą w małą kulkę, potem rozwinął kartkę, sprawdził, czy jest wystarczająco szorstka i po zrobieniu z niej odpowiedniego użytku spuścił wodę i podciągnął spodnie. Czuł wyraźny przyływ nowych sił. Trochę było żal, że nie zdążył przejrzeć tygodnika „Chwila dla ciebie”, również „Zwierciadło”, „Pani domu” i „Twoje imperium” będą musiały poczekać do jutra. Prezydent spojrzął na zegarek - 19.35. Cholera, Kocoń z jego naukową świtą pewnie już jest - pomyślał Aleksander Kwaśniewski i wyszedł z toalety. Na korytarzu stało czterech znajomych facetów z Biura Ochrony Rządu. Tych prezydent widział, wchodząc do toalety, ale oprócz tych czterech było teraz jeszcze ośmiu uzbrojonych żołnierzy.

No tak, obstawa pułkownika Koconia - przemknęło Kwaśniewskiemu przez głowę.

Żołnierze zasalutowali. Prezydent żartobliwie też podniósł dwa palce do skroni, a następnie uchylił drzwi sali konferencyjnej. Kocoń stał tyłem przy stole i rozkładał swoje zabawki w asyście dwóch pomocników, których Kwaśniewski nie znał. Minister Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE, Leszek Miller, flirtował jak zwykle z Izabellą Sierakowską (rzecznikiem Kancelarii Prezydenta od 2000 roku, czyli od początku drugiej kadencji). Kłufa w oczy nieobecność Józefa Oleksego, który okazał się zdrajcą swojej ojczyzny. Otrzymałszy Oscara za, trzeba przyznać, poprawnie odegraną rolę Zagłoby w *Ogniem i mieczem* Hoffmana, Oleksy dał się przekupić Amerykanom i teraz robi „karierę” w Hollywood zgrywając się w tandetnych serialach sensacyjnych. Natomiast Marian Zacharski stał przy oknie, ale nie patrzył przez nie, tylko gdzieś jakby przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Marian Zacharski, którego brawurowa akcja o kryptonimie „L jak Lenin” umożliwiła SdRP spłacić tuż przed wyborami 1997 roku długi PZPR, co pozwoliło odzyskać część społecznego zaufania i wygrać jednym jedynym głosem, ale jednak wygrać tamte wybory, dzięki którym wszystko stało się możliwe... Marian Zacharski dziś był odpowiedzialny za powodzenie operacji „Sieć”.

- Dobry wieczór, przepraszam, że musieli panowie czekać - zaczął prezydent.

Kocoń odwrócił się.

- Nie, nie. Nic nie szkodzi. Tu trzeba było i tak podłączyć, ale tak to jest gotowe.

Inżynier Mirosław Kocoń odszedł od stołu, na którym leżał złoty pojemnik, a obok kupka jakichś blaszek i jakby różaniec. Prezydent i kierownik projektu ZML uścisnęli sobie dłonie.

- Panie prezydencie, przedstawiam pomocników: doktor Maciąg jest wybitnym neurologiem, a profesor Stanisław Lipiński to fizyk, autor *Dynamiki płynów przy pobudzeniu jądrowym*. Obaj od samego początku w projekcie.

Lipiński i Maciąg również uścisnęli dłoń prezydenta.

- Panie prezydencie, czy mam coś powiedzieć ogólnie? - zapytał Kocoń.

- Nie, wszyscy tutaj obecni czytaliśmy raport z badań. Leszek, czytałeś? - Kwaśniewski podniósł głos, zwracając się do Millera, który z lubieżnym uśmiechem klarował coś pani rzecznik.

- Tak, oczywiście. Właśnie wyjaśniam pani Izabelli szczegóły techniczne...

Wszyscy roześmieli się.

- Panie pułkowniku, mamy do pana jedno pytanie. Kiedy? - prezydent zwrócił się znowu do inżyniera Koconia.

- To zależy od kilku... - zaczął Kocoń, ale Kwaśniewskiego taki początek nieco zniecierplwił.

- Przepraszam, panie pułkowniku. Czy ten cholerny trzeci maszt koło Solca Kujawskiego jest już gotowy czy nie?

- Tak, maszt tak. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy dobudowaliśmy jeszcze sześćset metrów i teraz jest tysiąc dwieście, więc będzie można jeździć nawet na wycieczkę do Egiptu i tam też sygnał będzie wystarczający.

- Egipt nas tak nie interesuje jak kotliny śródgórskie.

Nie chcemy mieć Wiosny Ludów górali przeciw komunie, prawda, Leszku?

Minister Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE miał jednak podzielną uwagę i nie dal się Kwaśniewskiemu zaskoczyć.



- Panie prezydencie, w razie czego zarekwirujemy ciupagi.

Na tle ponownego wybuchu ogólnej wesołości ledwie słyhać było zapewnienie Koconia:

- Kotliny śródgórskie będą miały pełne pokrycie.

- No to w czym problem? - prezydent odwrócił się znowu do Koconia.

- Jeszcze dwa-trzy miesiące instalacji nadajnika.

- Nie można przyspieszyć? Bo jeszcze potem będziecie mieli poślizg i obudzimy się po wyborach z ręką w nocniku. - Kwaśniewski wyglądał na nieco poirytowanego.

- Słowo oficera. Nie będzie poślizgu.

- Marian, jak idzie ze sprawą odbiorników. W ogóle pokażcie, jak to wygląda - prezydent zwrócił się teraz do Zacharskiego.

- To może ja pokażę - wyrwał się profesor Lipiński. - Panie prezydencie, proszę do stołu.

Prezydent podszedł do blatu i teraz dopiero wyraźnie mógł dostrzec, że kupka blaszek to były wysypane kolorowe znaczki. Zacharski też podszedł do stołu i podniósł jeden z nich.

- O, ten najlepiej idzie wśród studentów. Kwaśniewski przyjrzał się - na znaczku w kształcie

laboratoryjnej zlewki widniał przekreślony czerwonymi liniami napis: „HaSCH”.

Kwaśniewski zrobił zdziwioną minę i nagle wybuchnął śmiechem.

- Precz z Kwasem, że też nie załapałem od razu. To dobre jest, to dobre... A to co jest, do cholery? - prezydent wskazał na leżący na stole różaniec.

- Panie prezydencie, niech pan spojrzy na ten trójkącik na złączeniu - wskazał Lipiński.

Istotnie, na trójkąciku spinającym kółko paciorków z zakończonym krzyżykiem przedłużeniem był mały holograficzny obrazek. Kwaśniewski zbliżył różaniec do swojego jedyne go oka, które ocalało po tym tragicznym wydarzeniu z Korwinem-Mikke. Od prezydenckiego śmiechu zadrżały szyby. Na trójkąciku widniał Jan Paweł II upozowany na świętego Jerzego z dzidą przekłuwającą gardło smoka. Głowa smoka miała oczywiście karykaturalnie zdeformowane, ale łatwo rozpoznawanie rysy twarzy Aleksandra Kwaśniewskiego. Marian Zacharski pospieszył z wyjaśnieniami:

- To idzie jak woda wśród księży i kleryków. Prawie cały ZChN już się w to wyposażył. Teraz próbujemy znaleźć dojście do Episkopatu.

Kwaśniewski spojrział w oczy Zacharskiemu i powtórzył z naciskiem:

- Do Episkopatu koniecznie.

Prezydent obejrzał jeszcze kilka modeli. Zabawny był znaczek przypominający logo Urbanowego tygodnika „Nie”. Przeróbka polegała na dodaniu pod spodem małego napisu: „Kwasokomunie - Nie”.

- Ten znaczek już dziś noszą prawie wszyscy członkowie PKS-u.

- Marian, jak żeście do nich dotarli? - Kwaśniewski nie ukrywał zachwytu.

- No cóż, wywiadowcza praktyka - odpowiedział skromnie Zacharski. - Ale to nie był problem. Najgorzej ze stacjonującą u nas Bundeswehrą. Ponieśliśmy niemałe koszty, ale nie było wyjścia. Na bazarach pod koszarami wypuściliśmy bardzo tanio złote, gładkie sygnety. Początkowo nie szły dobrze, ale jak dodaliśmy swastykę... - Zacharski porozumiewawczo mrugnął okiem.

Kwaśniewski podniósł ze stołu jeszcze jeden znaczek, który leżał na blacie odwrócony i tylko nieco większym formatem rzucał się w oczy.

- Tego, jak sądzę, jest tylko jeden egzemplarz i nawet domyślam się, dla kogo, ale to wam się nie uda. Będzie trzeba inaczej.

- Pan wybaczy, panie prezydencie, ale pan nie widział pułkownika Nózki w akcji... - generał Marian Zacharski wyzywająco spojrzął prezydentowi prosto w oczy.

- Nie widziałem, ale z Jelcynem spieprzyliście sprawę i jeszcze z innych źródeł mam informacje, że ten nasz Ziuganow domaga się zwrotu kwoty, bo teraz nie ma co zrobić z tą swoją Leninowską mrożonką... No i co, przez was jeszcze rosyjscy komuniści będą przeciwko nam...

- Przepraszam, panie prezydencie, ale siła wyższa... My zrobiliśmy, co w ludzkiej mocy. Zapchaliśmy tę Jelcynową pompkę cholesterolem do oporu, a że ruscy chirurdzy popsuli naszą robotę, to nie nasza wina...

- No, dobrze - Kwaśniewski umknął wzrokiem z powrotem na leżącą na stole kupkę blaszek - ale to wszystko maluśkie strasznie. To nie będzie za słaby odbiornik?

- Ciekłokrystaliczny mikroprocesor, który jest w środku każdego z tych gadżetów ma wymiary dwa milimetry kwadratowe i jedna dziesiąta milimetra grubości, ale jest, bestia, czuły jak skurwysyn na nawet bardzo słabe pobudzenie jądrowe strumieniem fal M, tak więc w efekcie promieniowanie to ulega wzmocnieniu do tego stopnia, że wywołuje silny rezonans neuroprzeźkaźników przysadki mózgowej w promieniu jednego metra od każdego takiego „drobiazgu”... przepraszam, zagalopowałem się. - Nie za bardzo było wiadomo, czy udzielający powyższych wyjaśnień profesor Lipiński przeprasza na koniec za niezbyt zrozumiałe dla laika „technikalia”, czy za przemyczonego „skurwysyna”. Kwaśniewski jednak zastanawiał się nad czymś innym:

- Ale zaraz, przy samym maszcie i w Solcu Kujawskim to ludzie przecież pogłupieją!

- Nie, bo w każdym odbiorniku jest detektor mocy. Im dalej od masztu, tym słabszy sygnał. Detektor w odbiorniku mierzy to osłabienie i proporcjonalnie wzmacnia. Natomiast w okolicach samego masztu stopień wzmocnienia będzie najmniejszy. Tu dziś była mowa o wczasach w Egipcie. Właśnie, w Egipcie i w Solcu Kujawskim subiektywny odbiór będzie identyczny. Poza tym nawet przy samym maszcie, po odpięciu znaczka bezpośrednio oddziaływanie promieni M będzie i tak dziesięć razy słabsze niż to, które w Poroninie narobiło takiego bigosu... Zresztą używamy nieco innego zakresu falowego - tym razem z wyjaśnieniami pospieszył inżynier Kocoń.

- No to co? Czas chyba na małą demonstrację - zdecydował prezydent. - Ja się zgłaszam na królika doświadczalnego. Naprawdę mam nadzieję, że to nie będzie tak jak w Poroninie, czytałem tamten raport...

- Ja też, i właśnie dlatego to, co my przez te prawie dziewięć lat skonstruowaliśmy, ma się tak do tego „wykopaliska” z Poronina jak wideofon komórkowy do telegrafu albo raczej jak nanoszczypce robota w fabryce mikroprocesorów do obcęg kowalskich, albo...

- Panie prezydencie, niech pan nie ryzykuje - pisnęła Izabella Sierakowska, nie dając Koconiowi, a niechący również Leszkowi Millerowi skończyć tego, co zaczął.

- Naprawdę nie ma obawy, choć reakcje bywają indywidualne, kilka szczerów doświadczalnych do dzisiaj... - Kocoń chciał opowiedzieć anegdotę krążącą po Instytucie w Rembertowie, ale prezydent był już na tyle podekscytowany, że niezbyt elegancko, choć żartobliwie wszedł Koconiowi w słowo.

- Najwyżej będę cierpieć za miliony... - powiedział Kwaśniewski, przypinając sobie do marynarki znaczek z przekreślonym kwasem siarkowym. Kocoń otworzył żółty pojemnik przenośnego emitera promieni M. Wszyscy poza Kwaśniewskim odsunęli się, jakby coś zaraz miało wybuchnąć. Prezydent poprawił przepaskę na wybitym przez palec Korwina-Mikkego oku i zapytał:

- Coś mam robić, myśleć o czymś?

- Nie. Nic nie trzeba - odpowiedział Kocoń i jednym przyciskiem uruchomił generator.

Kwaśniewski zbladł.

- Panie prezydencie, jeżeli coś jest nie tak, może pan odpiąć znaczek i natychmiast przejdzie - spokojnym tonem zasugerował Kocoń.

- Nie, nie, w porządku, jest trochę dziwnie, ale jakby przyjemnie. Muszę usiąść. Przepraszam. - Kwaśniewski przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Co pan czuje, panie prezydencie? - zapytała Izabella Sierakowska z troską w głosie.

- Jak trudno... - zaczął Kwaśniewski i zamilkł. Przez moment w sali konferencyjnej zapadła wyczekująca cisza.

- Jak trudno jest spawać kadłub - Kwaśniewski wypowiedział pełne zdanie.

Leszek Miller nieznacznie przysunął się do stojącego w pobliżu neurologa, doktora Maciąga: - Czy to normalna reakcja?

- Wie pan, kiedy to działa, trudno określić, co jest normą - nieco pokrętnie wyjaśnił Maciąg.

- Pani Izo, niech mnie pani pogłodzi po głowie. Bardzo trudno jest spawać kadłub - powiedział prezydent przejętym głosem.

Izabella Sierakowska spojrzała pytająco na Koconia:

- Co mam robić?

- Niech pani pogłodzi prezydenta po głowie - odpowiedział Kocoń takim tonem, jakby mówił coś oczywistego.

Rzecznik prezydenta zrobiła dwa kroki do przodu i nieśmiało pogłodziła Kwaśniewskiego, przeciągając ciepłą dłoń w kierunku do tyłu od jego czoła, na którym zarysowały się wyraźne bruzdy napięcia drgające siłą wewnętrznej refleksji.

- Bardzo trudno jest spawać kadłub. Pani Izo, jaki pani ma miły dotyk...

Rzecznik kancelarii odruchowo cofnęła rękę. I wtedy Kwaśniewski wybuchnął płaczem i strzępkami zdań pozornie niespójnych, lecz jednak spojonych niezwykle intensywnością uczuć wyjąkał:

- Bardzo trudno jest spawać kadłub... Ciężką kroplą kapie pot hutnika w jasności żaru nie do wytrzymania... Nie jest lekki chleb na Żuławach... Ciężko wstać o świcie, kiedy krowy trzeba pogonić na łąkę... Codzienny trud bankowca...

- Panie Kocoń, co się dzieje?! - podniesiony głos ministra Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE nie wróżył nic dobrego.

Kocoń miał wilgotne oczy.

- Nie widzi pan? Prezydent identyfikuje się z narodem. Naprawdę przeżywa codzienny trud każdego Polaka. Teraz realnie kocha wszystkich: i swoich wyborców, i przeciwników politycznych...

- Marianie, Marianie, czemuś mnie opuścił - zawył Kwaśniewski.

- Mariana Krzaklewskiego też kocha... - Kocoń uzupełnił swoje wyjaśnienia.

Tymczasem Kwaśniewski znieacka zerwał się z krzesła obejmując z całej siły Izabellę Sierakowską, która absolutnie w pięćdziesiątej siódmej zimie swojego życia nie

spodziewała się tak gorącego posunięcia ze strony czterdziestodwuletniego, bądź co bądź, prezydenta.

- Pani Izabello, ja sobie zdaję sprawę, że to głupio brzmi, ale kocham panią jak żonę, jak matkę, jak wszystkie matki w Polsce... jak pracownice mleczarni w Węgrowie, jak łódzkie włóknianki... Kocham panią... - Prezydentowi łyzy ciekły istną strugą z jedyne go ocalałego oka, a nawet trochę spod przepaski. Izabella Sierakowska zaczęła wrzeszczeć. W tym momencie Leszek Miller nie wytrzymał, sięgnął pod marynarkę po swój „pamiątkowy” pistolet i rzucił się w kierunku Koconia. Jednak prezydent był szybszy. Kwaśniewski, który kątem oka dostrzegł ruch ministra MKSW z UE, bez namysłu puścił panią rzecznik i skoczył, osłaniając Koconia własnym ciałem. Kocoń zachwiał się i runął na plecy, pociągając za sobą Kwaśniewskiego, który objął Koconia za szyję.

- Bracie mój rodzony... Nie czyńcie mu krzywdy. On jest światłem w tunelu, którym przeciska się nasz umęczony naród - szlochął prezydent, tuląc Koconia z niezwykłą czułością.

- Panie Lipiński, na co pan do cholery czeka!?! Wyłącz pan to kurewstwo - Leszek Miller stracił panowanie nad swoim słownictwem, ale dzięki temu profesor Stanisław Lipiński i neurolog doktor Maciąg ocknęli się z naukowego zaciekawienia typu: „Co jeszcze zrobi szczer, mając wetkniętą w mózg elektrodę?” i obaj na wyścigi rzucili się do stołu, żeby wyłączyć generator. Maciąg był pierwszy, natomiast profesor Stanisław Lipiński, spoglądając głupawo na Leszka Millera, rozłożył ręce.

- Kryształ jest nagrany, jeszcze minutę będzie promieniował. Trzeba by ten znaczek...

Niestety znaczek odbiornika tkwił przyciśnięty klatką piersiową Kwaśniewskiego do torsu Koconia.

Marian Zacharski próbował zdjąć Kwaśniewskiego z Koconia, ale w zachowaniu pułkownika Koconia również zaszła istotna zmiana, z postawy biernej w aktywną, w związku z czym szczerpili się tak mocno, że nie można ich było rozdzielić. Wzmacniacz przypięty do prezydenckiej marynarki zaczął ewidentnie bardzo silnie oddziaływać na inżyniera. Mirosław Kocoń całował prezydenta po zalanych łzami policzkach.

Kwaśniewski podniósł się pierwszy. Na twarzy był cały zaczerwieniony. Szybko oddychał. Kocoń również wstał, ale dla odmiany był biały jak kreda. Kwaśniewski odpiął znaczek od marynarki.

- Otwórzcie okno - zażądał nieswoim głosem. Kocoń skulił się w sobie.

- Nie, nie, panie Mireczku... Wyrzucić za okno największe osiągnięcie nauki polskiej... Chyba mnie pan o to nie podejrzewa, cholernie tu duszno...

- Panie prezydencie, to nie do przewidzenia... wyszło... jest pan bardziej wrażliwy... - jękał się Kocoń.

- Dlatego jestem prezydentem! - Atmosfera zaczynała się rozładowywać. - Panie Mireczku, przepraszam, panie Kocoń, zresztą niech będzie panie Mirku. - Kwaśniewski wyraźnie wracał do równowagi psychicznej. - Czegoś takiego nigdy nie przeżyłem... To było wstrząsające, ale, trzeba to powiedzieć, wspaniałe. Nie, naprawdę...

- Panie prezydencie, ja przepraszam, ale nie wiem, czy pan tak całkiem pamięta, co tu się przed chwilą działo. - Izabella Sierakowska nadal nie mogła przyjść do siebie.

- Pani Izo, ja przepraszam za te wyznania, ale tak się czuję naprawdę. Zresztą o to właśnie chodzi w tym całym projekcie, to znaczy nie o to dokładnie... No tak, można się zapłatać... Dostanie pani swój wzmacniacz, to będzie pani wiedziała, o czym mówię.

- Po tym tutaj, za nic tego nie przypnę.

- Pani Izo, porozmawiamy za pół roku...

- W życiu - Izabella Sierakowska spoglądała z obrzydzeniem na znaczek, który prezydent obracał w palcach.

- Reasumując, panowie - Kwaśniewski zwrócił się w kierunku stojących przy generatorze autorów projektu

ZML - gratuluje, ale sami widzicie, że troszkę trzeba to podregulować. Ludzie są różni, a każdy ma mieć szansę z tym pracować, jeść, chodzić do toalety. To nie może być taki permanentny, przepraszam za wyrażenie, odłot. A swoją drogą, w początkowej fazie transformacji będziemy mieć przeciwników, którzy z różnych przyczyn nie przy-zną znaczków, a warto, żeby nas pokochali mimo wszystko. Pod tym kątem przemyslcie, panowie, to, co się tu ze mną działo, niech to moje dzisiejsze przedstawienie nie będzie „nadaremno”. Na koniec pytam więc panów, nie czy, ale kiedy najpóźniej ta konieczna, moim zdaniem, „regulacja odbiorników” i montaż nadajnika, kiedy to wszystko będzie ukończone...?

## 6. Pochodnia Prometeusza

30 kwietnia 2004 roku.

Kompleks Radiowo-Telewizyjnej Stacji Nadawczej  
w Puszczy Bydgoskiej koło Solca Kujawskiego.

Piąty poziom pod budynkiem „F”.

Sala kontroli pasma.

Godzina 11.45.

- Gorący apel kardynałów, arcybiskupów i biskupów zgromadzonych na Jasnej Górze na 286 Konferencji Episkopatu w listopadzie 1996 roku nie pozostał bez echa. „Budujcie cywilizację miłości!” Do tego ponad siedem lat temu wzywali polscy biskupi... To, co tam u góry wznosi się na wysokość 1200 metrów nad powierzchnię ziemi, to wasze inżynierskie dzieło - w tym momencie prezydent Aleksander Kwaśniewski spojrział na siedzących w pierwszym rzędzie głównych konstruktorów maszty - to jest właśnie sięgający chmur fundament tak długo oczekiwanej cywilizacji miłości. Rozejrzyjmy się wokół siebie. W jakiej cywilizacji żyjemy w dniu dzisiejszym? Rozejrzyjmy się... Łatwo dostrzeżemy zewnętrzne przejawy niesprawiedliwości: luksusowy turbolot dyrektora banku i zatłoczone metro, wielkie centra rozrywki i hazardu w miastach wojewódzkich i remiza na wsi. Te kontrasty kłują w oczy, gdy o tych niesprawiedliwościach myślimy, nasze serca ściskają się, ale jest większa niesprawiedliwość... tak powszechna, tak codzienna, że przestaliśmy na nią zwracać uwagę. Jeszcze tylko poeci są w stanie ją dostrzec. Pozwolą państwo, że zacytuję wiersz naszej wielkiej laureatki nagrody Nobla. Wisława Szymborska najostrzej dostrzegła niezauważalną nawet dla Marksa nierówność społeczną, boleśniejszą od wszystkich innych, z nierównościami klasowymi włącznie.

*Miłość szczęśliwa. Czy to jest normalne,  
czy to poważne, czy to pożyteczne -  
Co świat ma z dwojga ludzi, którzy nie widzą świata!  
Wywyższeni ku sobie bez żadnej zasługi,  
pierwsi lepsi z miliona, ale przekonani,  
że tak stać się musiało - w nagrodę za co? Za nic!  
Światło pada znikąd -  
Dlaczego właśnie na tych a nie innych?*

*Czy to obraża sprawiedliwość?... Tak!*  
*Czy narusza troskliwie piętrzone zasady,*  
*Strąca ze szczytu moral?... Narusza i strąca!*

To mówi poetka, a co mówią badania statystyczne -masturbuje się 68% mężczyzn i 28% kobiet. Jedna trzecia kobiet powyżej trzydziestego roku życia ma problemy w życiu seksualnym i ujawnia przed lekarzem niechęć do partnera. Zdrady małżonka dopuszcza się 58% mężczyzn i 18% kobiet. 40% Polaków nie kocha obecnie nikogo!!!

To jest obraz dzisiejszej kapitalistycznej Polski. Dopełnijmy go: młodzież zarażona sączącymi się z ekranów zachodnimi wzorcami obyczajowymi, bez opamiętania uprawia wyzuty z uczuć seks... Ktoś cynicznie powie więc, że przynajmniej w tej młodzieżowej dżungli panuje swoista sprawiedliwość w dostępie chociaż do seksu: nic bardziej mylnego, odwiedzmy dowolną dyskotekę w kraju, patrzmy uważnie, a zobaczymy długonogie piękności, które otrzymują po kilka propozycji na godzinę i równie wartościowe w wymiarze człowieczeństwa dziewczyny, do których żaden młodzieniec nawet nie zbliży się przez cały wieczór. To nie jest sprawiedliwe... - prezydent przerwał na chwilę i przebiegł wzrokiem po sali. Wszyscy: inżynierowie, wojskowi, naukowcy z ITiBM, koledzy z AWSL-u, wszyscy byli głęboko poruszeni słowami prezydenta.

Aleksander Kwaśniewski kontynuował:

- Jeszcze jeden cytat z mądrej książki Kingi Wiśniewskiej-Roszkowskiej *I ty kiedyś założysz rodzinę*. Autorka, która jest bystrą obserwatorką życia społecznego, opisuje swoje spostrzeżenia poczynione w metrze. Cytuję: „Obserwowałam kiedyś w metrze młodą parę, która stała na środku przedziału spleciona tak silnym uściskiem, że tworzyła wprost jedno ciało buchające żarem namiętności. A obok na ławce siedziała inna młoda para z małym, może dwuletnim dzieckiem. Ci nawet ze sobą nie rozmawiali, a ich obojętne i znudzone miny świadczyły wyraźnie, że są małżeństwem”. No cóż..., cynicznie, choć niestety trafnie, podsumowuje autorka: „Im więcej namiętności zużyje się przed ślubem, tym mniej jej pozostaje na małżeństwo”. Drodzy państwo, ten cytat to klamra spinająca to, co zacząłem, cytując wiersz Wisławy Szymborskiej. Oto mamy pełny obraz: szczęśliwa miłość będąca nadzwyczaj rzadkim darem nie wiadomo za co i jej śmierć ze znudzenia, zdrady małżeńskie, onanizm i masturbacja wycieńczające ducha narodowego, seks bezuczuciowy, seks z niechęcią do partnera albo w ogóle brak seksu i brak miłości!

Mówimy tu cały czas jeszcze o sferze, która z natury samej miłością powinna być przepojona. A co dopiero mówić o nie związanej ze sprawami płci tak zwanej miłości



bliźniego...

„Przykazanie moje daję wam, abyście się wzajemnie miłowali”. Wszyscy wiemy, kto to powiedział. „Budujcie cywilizację miłości...” W tym duchu apelowali polscy biskupi. A ja zaprawdę powiadam wam, zarówno dwa tysiące lat temu, jak i siedem lat temu było to przykazanie równie realistyczne jak rzecz: „Buduj dom” komuś, kto ma trzy cegły i pół worka cementu. Powszechny niedostatek miłości rodzi samonapędzającą się reakcję łańcuchową: niedostatek miłości rodziców do siebie rodzi niedostatek miłości do dzieci... Ten zaś rodzi niedostatek miłości dorastających dzieci w kontaktach z rówieśnikami, to z kolei rodzi niedostatek miłości między dorosłymi ludźmi w kontaktach społecznych i przy zawiązywaniu nowych rodzin.

Koło się zamyka. Ale czy wewnętrzny brak miłości jest winą tego, kto jej w sobie nie ma? Czy jest winien kaleka, który kuleje, bo w dzieciństwie rodzice źle go karmili i doznał krzywicy kości z powodu braku wapnia?

Nie dziwny się, że teraz, w 2004 roku, w gospodarce triumfującego kapitalizmu, w warunkach ostrej rynkowej konkurencji w ramach Unii Europejskiej problem ten, problem braku miłości stał się szczególnie dotkliwy. Kapitalizm jest jak zapora elektrowni na rzece ludzkiego rozwoju, spiętrza ludzki egoizm, by czerpać z niego poprzez system podatkowy energię do swojego istnienia. W 1998 roku zgodnie z rewolucyjnym lewicowym projektem nieodżałowanego Grzegorza Kołodki wprowadziliśmy dobrowolną składkę podatkową i na ZUS. Oto rezultat: banki wykładane marmurami i szpitale w stanie daleko gorszym niż w szczytowym okresie wypaczeń socjalizmu; las podniebnych biurowców i emeryci codziennie dowożący pod Pałac Prezydencki obgryziony szkielet człowieka... Pytam: gdzie dziś w roku 2004 jest spontaniczna solidarność społeczna, ta z osiemdziesiątego roku i ta z czasu wielkiej powodzi roku 1997, gdzie uczciwość, gdzie miłość bliźniego, gdzie wartości chrześcijańskie, skoro dobrowolnie prawie nikt podatków teraz nie płaci. Powszechny niedostatek miłości sprawia, że wszelkie wartości to obecnie balon pusty w środku.

Nie dziwny się więc, że po tysiącu lat ewangelizacji w kilka lat sączące się z mediów i kaset wideo ścieki amerykańskiej kultury prawie wyparły te chrześcijańskie wartości, a wymownym symbolem tego procesu niech będzie powszechność swoistej polskiej odmiany nigdy dotąd nie uprawianej w Polsce gry: baseballa. Swoistość polskiej odmiany polega na tym, że polska młodzież kupuje kije baseballowe nie żeby tłuc nimi w piłkę, ale by tłuc się nimi po głowach lub ewentualnie tłuc nimi przypadkowych ludzi napotkanych na przykład w parku. Dla ilustracji w tym miejscu zacytuję Krzysztofa Skibę, wybitnego wokalistę zespołu Big Cyc, z niezwykłą wprost wrażliwością reagującego na wszelkie przejawy patologii

społecznej. Oto stosowny cytat:

*Polski baseball bez udziału pitek;  
wie o tym każdy, kto tu żyje;  
kij baseballowy to narzędzie pracy:  
ochroniarze, złodzieje, bandyci, łajdacy!!!*

Tak dalej być nie musi. Nie będziemy uczyć się demokracji od kraju, który wytepił Indian, a ludność murzyńską po latach niewolnictwa i dyskryminacji doprowadził do drgawek, które możemy oglądać na MTV. Nie pozwolimy amerykańskiej kulturze dokończyć dzieła demoralizacji w Polsce. Nie pozwolimy, by herbem państwa polskiego stał się orzeł biały z hot-dogiem w pazurach i skrętem z marihuany w dziobie.

Już w 1937 roku w Poroninie Władimir Iljicz Lenin pisał w *Nowej erotycznej polityce władzy radzieckiej*: „Maszyna społeczna musi być smarowana miłością, inaczej trzeba by ją smarować krwią!” Stalin wybrał to drugie. Lecz my, komuniści polscy trzeciego tysiąclecia, dziś jeszcze zrzeszeni w AWSL, jutro w PZPEr, Polskiej Zjednoczonej Partii Erotycznej, będziemy Prometeuszem nowej ery: ukradniemy Bogu tak zazdrośnie strzeżony płomień miłości i zaniesiemy go pod strzechy, rozpalimy w sercu każdego Polaka. Tysiącdwustumetrowa pochodnia masztu już czeka, by zapłonąć promieniami M na cały kraj...

Mam tu aktualną prognozę wyborczą. Dziś poparcie społeczne dla Akcji Wyborczej Socjaldemokracji Ludowej wynosi 2%. Wdzięczny tej wiernej garstce za nie gasnącą mimo wszystko wiarę w nas, chcę tu i teraz uroczystie złożyć przyrzeczenie, które za kilka minut spełni się: Nigdy jeszcze tak wielu nie będzie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym... Panie inżynierze Kocoń, nie mogę podnieść tego dekla.

Kocoń siedzący w pierwszym rządzie ocknął się i szybko podszedł do konsoly kontrolnej nadajnika, za którą stał prezydent. W burzy oklasków, która nastąpiła po przemówieniu, Kwaśniewski ledwie słyszał głos inżyniera: - ...ekiel zabezpieczenia... przekręcić klucz elektromagnetyczny... z boku... i te cztery... ciski po kolei. Prezydent podniósł rękę. Oklaski powoli zamilkły. - Proszę państwa... moi drodzy, sursum corda... - prezydent był wyraźnie wzruszony. - W górę serca! Założmy na szyję otrzymane przed wejściem na tę salę serduszka M-wzmacniaczy.

Kiedy już na szyi każdego ze zgromadzonych znalazł się złoty łańcuszek z małym serduszkiem, prezydent Trzeciej Rzeczypospolitej Aleksander Kwaśniewski palcem

wskazującym prawej dłoni wcisnął po kolei cztery przyciski wskazane przez głównego konstruktora nadajnika, inżyniera Mirosława Koconia. Cztery zielone lampki kontrolne zapaliły się. To zielone światło dla Polski miało rozświetlać drogę jej rozwoju przez wiele lat. Była godzina 12.05, 30 kwietnia 2004 roku.

## 7. Cywilizacja miłości

Romuald Kiciak wrócił do domu późno, gdzieś kilkanaście minut przed południem. Całą drogę powrotną już był wkurwiony, ale kiedy trzeci raz przydzwonił szczęką w schody, wspinając się na drugie piętro stojącej przy ulicy Marii Kazimiery odrapanej czynszowej kamienicy, wtedy był już wkurwiony naprawdę. Romuald Kiciak nie wypił dużo, bo co to jest litr nadprzewodniaka na trzy ryje. Ale albo nadprzewodniak (płyn chłodzący do nadprzewodzących stabilizatorów w turbolocie) był „z cytrynką” (z kwasem azotowym, który w wypadku jakiejś nieszczelności nadprzewodzącego pierścienia głównego może się dostać do obiegu chłodzącego), albo wydarzenia ostatniej nocy zbyt nadszarpnęły wrażliwą psychikę Romualda i pijąc, już był osłabiony. Ogrodnik w każdym bądź razie przysięgał się, że turbolot, z którego wydoił litra na jakimś parkingu, był na oko zupełnie nowiutki, więc i nadprzewodniak musi być czysty. Ale w takim razie, zastanawiał się Kiciak, po czym taka upierdliwa zgaga. O właśnie, ta zgaga, to kolejny powód, dla którego Romuald zdecydował się zakatrupić dzisiaj „tę sukę”, znaczy żonę - Julię Kiciak. Inny powód, dlaczego dzisiaj - no bo akurat tej w nocy nie udał się włam do supermarketu, włączył się wyjęć. I tak dobrze, że z Cynglem i Ogrodnikiem zdążyli emigrować, zanim wyskoczyła ochrona. Kiciak oglądał telewizor i wiedział, że stres czyli nie rozładowane wkurwienie może być przyczyną wielu poważnych chorób, a nawet zawału serca. Z dwojga złego - swojej śmierci na zawał lub śmierci żony swej, Julii Kiciak, zdecydowanie opowiadał się za drugim rozwiązaniem. Zwłaszcza, że suka zasłużyła. Przez kogo garował za znęcanie się... Przecież w szpitalu nikt jej nie zmuszał, żeby składała zeznania... Na szczęście Romuald poradził sobie i obecnie był na chorobowej przepustce po ciężkiej operacji żołądka. Nie było przyjemnie połykać przemyconą przez klawisza błyskę na szczupaka zakończoną potrójną kotwiczką. Ale smak wolności jest na tyle upajający, że Romuald, narażając się zresztą na niezadowolenie garujących kolegów, połknął jeszcze dla pewności trochę elektroniki wydłubanej z zamontowanego w celi wideo i nie minął miesiąc, a znów oddychał świeżym powietrzem. A wracając do sprawy znęcania... Każdy ma prawo być trochę podenerwowany i żona musi mieć do tego wyrozumienie albo musi się umieć postawić. Ogrodnik jak przywali swojej, to ta potrafi i rzucić żelazkiem, i od skurwysynów nawzywać, i dyktę albo nadprzewodniaka potem z Ogrodnikiem obali na zgodę. I to jest baba z ikłą. W małżeństwie musi być wzajemne wyrozumienie i wspólne zainteresowania. A Julia... Romuald nawet gdy wracał do mieszkania całkiem spokojny, to gdy widział te wystraszone oczy, to skulenie jakieś takie, ten

talerz zupy podany drżącymi rękami - to już od razu miał ochotę ją zdzielić. I Romuald musiał się przez nią męczyć, bo to jest męka, jak w człowieku wszystko aż się buzuje, żeby zdzielić, a trzeba się ogromnym psychicznym wysiłkiem powstrzymywać, żeby nie. Dlaczego nie - bo Romuald nie był głupi, znał siebie, wiedział, że jak raz uderzy i usłyszy to ciche skomlenie: „Nie bij, nie bij”, to zabije, a nie po to łykał tę cholerną błystkę na szczupaka, nie po to sam dał się w szpitalu rozpruć jak ryba, żeby teraz wrócić z powrotem tam, gdzie mu koledzy nie darują zjedzenia elektronicznych bebechów z wideo. Romuald nie był taki głupi. Ale 30 kwietnia 2004 roku miał już swój promil nadprzewodniaka we krwi, a nic szybciej nie rozpuszcza rozumu jak nadprzewodniak. Była godzina 11.50, kiedy Romuald Kiciak przekroczył próg swojego mieszkania, niosąc w sercu złowieszcze postanowienie.

- Co jest do picia? - rzucił zaraz na wejściu, spodziewając się wykrętów typu: „Romek, a za co miałam kupić?” I wtedy Kiciak mógłby zacząć całą sprawę z czystym sumieniem. Niestety, tym swoim wkurwiającym drżącym głosem Julia Kiciak odpowiedziała:

- Romuś, masz piwo za oknem. - Kiciak, nieco zbity z tropu, nic nie mówiąc, wziął piwo zza okna i postawił na stole. Otwieracz był zgubiony już dawno, drugiego piwa nie było, żeby otworzyć kapsel o kapsel.

- Noża mi daj - zażądał Kiciak.

Julia Kiciak zbladła jak kreda i wymamrotała:

- Zgubił się, ale już zaraz poszukam.

Kiciak czuł, jak gorąco uderza mu do głowy. Wyczuła suka i pochowała noże. Teraz było za co...

- Zgubił się, no to, kurwo, już nie żyjesz - powiedział Kiciak bezbarwnym głosem i wyjął z kieszeni małą, znalezionej na ulicy blaszkę z jakimś politycznym obrazkiem. Kiciak chciał ten znaczek sprzedać na bazarze, ale teraz znaczek okazał się dosłownie jak znalazł, by jego ostrym kantem podważyć kapsel od piwa. Zimna, pienista ciecz koła pieczenie w żołądku, a mieszając się z nadprzewodniakiem, obezwładniała resztki wątpliwości. Romuald wypił, złapał butelkę za szyjkę i jednym wprawnym uderzeniem o metalowy rant kuchni gazowej odłupał połowę butelki. Lewą ręką Kiciak szarpnął koszulę tak, że wszystkie guziki poturlały się po podłodze.

- Popatrz sobie jeszcze raz, żebyś wiedziała za co - zaczął Kiciak jadowitym głosem.

Julia Kiciak, cofnęła się, nie chcąc patrzeć na dawno zagojone pręgi sznytów na klatce piersiowej i ten jeden długi, jeszcze gdzieś ropiejący szew po operacji usunięcia połyku.

- Żebyś wiedziała, za co cię tak kocham - Kiciak dokończył zaczęte zdanie. - Nie

odwracaj się, popatrz sobie. Widzisz suko, patrz się, widzisz? Serce sobie przebijam dla ciebie - bawiąc się rosnącym przerażeniem żony, Kiciak nakręcał się coraz bardziej; w przyływie tej samej fantazji, która kiedyś skłoniła go do zrobienia sobie żyłką „żeberek” na klatce piersiowej, teraz na wysokości serca wbił sobie tuż pod skórę igłę znalezionej znaczki.

Tak jak byka przed walką rozjusza się ukłuciami pik, tak tym ukłuciem igłą znaczki „NIE kwasokomunie” Romuald sam rozjuszył się do reszty. Julia chciała krzyknąć, ale przerażenie dosłownie zacisnęło jej gardło. Zresztą akurat w tej kamienicy nawet najgłośniejsze krzyki nie przeszkadzały równie pobudliwym sąsiadom. Romuald Kiciak zrobił krok do przodu. Nadal w prawej dłoni trzymał szyjkę butelki zakończoną zębami odłupanego szkła.

- No, co się boisz, kurwo, tylko ci dam tego tulipana. Była godzina 12.05.

Romuald Kiciak upadł na twarz, ból za mostkiem był nie do wytrzymania. Lecz jeszcze gorszy był, może nie tyle ból, ale raczej jakby jakiś ucisk w mózgu, a potem wybuch uczuć i myśli dotąd Kiciakowi nie znanych. Romuald Kiciak w ciągu trzydziestu sekund uświadomił sobie po raz pierwszy w życiu, że jest bandytą, poczuł, co to jest miłość i zrozumiał, że zaszczuł swoją żonę, która, co też zrozumiał, była jedyną istotą na ziemi, która mimo wszystko go kochała. W ciągu trzydziestu sekund Romuald Kiciak stał się wreszcie po bez mała trzydziestu sześciu latach od swojego poczęcia człowiekiem i od tego umarł. Rozbuchana nienawiść i niespodziewana miłość falami przeciwstawnych hormonów zderzyły się w sercu, doprowadzając je do migotania komór.

\*\*\*

- I motylek latał jak opętany dookoła pomalowanego w czarno-żółte paski obracającego się walca, całkowicie ignorując dorodną samiczkę przelatującą w pobliżu.

Doktor socjobiologii Marek Hełak przerwał na chwilę wykład, żeby studenci w pełni mogli nasycić się swoim zadziwieniem obyczajami godowymi motyla dostojki.

- Na twarzach niektórych z państwa - doktor Hełak kontynuował - dostrzegam nie tylko zdziwienie, ale wyraz politowania dla głupiutkiego motylka. Oczywiście, to politowanie bierze się z ogromnej wiary w potęgę rozumu... naszego ludzkiego rozumu. Sprawa wydaje się oczywista: motyl nie odróżnia jaskrawo pomalowanego kawałka drewnianego kołka od samiczki machającej czarno-żółtymi skrzydełkami. Nawet więcej, samczyk motylek woli zalecać się do tego kołka niż do samiczki. Natomiast my, ludzie, znamy się przecież lepiej od motyla na jego sprawach, bo z łatwością odróżniamy pomalowany kołek od samiczki motyla i

obserwując to doświadczenie, doskonale wiemy, czym motyl powinien się zająć. No, to teraz proszę szanownych studentów, paniom przez delikatność odpuszczam to pytanie, panowie ręka w górę, który z panów spędził miłe chwile nad czasopismami typu „Playboy”, „Cats”, ewentualnie pracował na komputerze, sprowadzając Internetem cyfrowe panienki. Niedowidzę coś dzisiaj. Nikt... Aha, to pewnie w zeszłym roku komisja egzaminacyjna zamiast testowych arkuszy egzaminacyjnych przez pomyłkę rozdała kandydatom test psychologiczny korelat impotencji. I jak widzę, to właśnie panowie zdali celująco i dostali się na studia.

Sala ryknęła śmiechem.

- No, dobrze. Nie będę panów dalej gnębił, w głębi serca naprawdę w panów wierzę, to znaczy jestem przekonany, że jest tak, jak mówi statystyka - dziewięćdziesiąt procent obecnych tutaj, którzy doznali przykurczu ręki i nie mogli jej podnieść, tak naprawdę mniej lub bardziej systematycznie miało coś wspólnego z motylem dostojką. Zresztą może stąd ten przykurcz ręki... Reasumując... Państwo wyłączą te pikające zegarki, ten kurancik też... Wiem, już jest dwunasta, następnym razem przypomnijcie, puszczyć was wcześniej. Reasumując: zewnętrzne znamiona seksualnej atrakcyjności mają tak silne wybiórcze oddziaływanie, że nawet oderwane od tego, co mają sygnalizować, są w stanie ogłupić nie tylko prymitywny układ nerwowy motyla, ale również tak potężny komputer, jakim jest ludzki mózg, a rezultat tego ogłupienia: marnowanie energii życiowej, bo ani drewniany walec pomalowany w czarno-żółte prążki nie zapewni motylowi dostojce potomstwa, ani z kartki „Playboya” nie wyskoczy płodna ludzka samica. Wiem, już jest dwie po dwunastej.

Zaraz kończę. Tym groźniejsza jest działalność prostytutek, tych specjalistek od manipulowania zewnętrznymi sygnałami kobiecości: jaskrawo pomalowane usta i dekolty, zza których piersi dosłownie wylewają się na wierzch, półgołe pośladki ledwie przysłonięte spódniczką pięć razy za krótką. Oto plaga, która z przyczółka agencji towarzyskich teraz, w pierwszej dekadzie XXI wieku dosłownie wylała się na ulice polskich miast i parkingi autostrad. Jak może być szczęśliwy mężczyzna, który już założył rodzinę, jak może dokonać trafego wyboru mężczyzna, który dopiero szuka swojej towarzyszki na całe życie, jeżeli jego mózg jest dosłownie bombardowany zewsząd prymitywnymi bodźcami wypierającymi istotne informacje o rzeczywistej duchowej wartości kobiety: tej już posiadanej lub tej poszukiwanej. I oto mamy we współczesnej kulturze efekt motyla dostojki. Uwaga mężczyzn odciągana jest od wartościowej treści ku temu, co ma taką wartość, jak jaskrawo pomalowany kołek, ku, przepraszam za wyrażenie, kurwom i kobietom, które ubierają się i malują jak kurwy. I proszę mi więcej nie przychodzić w takim stroju na mój wykład!

Doktor Hehłak spojrział studentkom prosto w oczy. Dawno już miał ochotę wygarnąć, co sądzi o tych pończoszkach, prześwitujących bluzeczkach, kapiącym makijażu, bransoletkach podzwaniających w trakcie wykładu, wysokich obcasach, migających diodach wpiętych w ucho lub, co gorsza, zgodnie z obłąkaną modą 2004 roku migających pod bluzką w dwu punktach o oczywistej sutkowej konfiguracji. Doktor Hehłak, trzydziestodwuletni kawaler w dzisiejszym wykładzie mówił o sobie i miał tego świadomość. Miał świadomość, że właśnie on jest najlepszym przykładem syndromu motyla dostojki. Tak jak na wykładach z medycyny stawia się przed studentami szkielet, tak na wykładzie z socjobiologii doktor Hehłak miał ochotę wykrzyknąć: „O, proszę, przyjrzyjcie mi się dokładnie, dzisiaj ja jestem takim eksponatem, jak ten szkielet na Akademii Medycznej”.

Bo niestety okrutna prawda o doktorze socjobiologii, prawda, z której doktor Hehłak doskonale zdawał sobie sprawę, ta prawda wyglądała następująco: doktorowi so-cjobiologii Markowi Hehłakowi najbardziej podobały się ekskluzywne kurwy i kobiety, które ubierały się i malowały jak kurwy. Niestety kurew sensu stricto, doktor Hehłak się bał, bo z kurwami jak z „bandzi džamp”, i tu, i tu w zasadzie guma nie powinna pęknąć - ale w bungee jump, kiedy się skacze głową w dół z jakiegoś mostu, to jeśli guma pęknie, to śmierć jest szybka i patetycznie dramatyczna, natomiast mięsak Kapossiego i nieuleczalne zapalenie płuc, będące następstwem zarażenia się AIDS zabijają powoli i nie ma w tej śmierci ani grama patosu. Tak więc mimo pociągu do kurew, Marek Hehłak wykreślił kurwy ze swojego życiorysu, natomiast kobiety, które „ubierały się i malowały jak kurwy” systematycznie wykreślały Marka Hehłaka ze swoich życiorysów. Doprecyzujmy definicję zbioru, który doktor Hehłak nazwał: „zbiorem kobiet, które ubierają się i malują jak kurwy.” Ktoś nie zaangażowany emocjonalnie nazwałby ten zbiór raczej „zbiorem pięknych kobiet o silnym charakterze wyrażanym w śmiałym stroju i zachowaniu”. Tego typu kobiety były dla doktora Hehłaka „mrocznym przedmiotem pożądania”. Z nimi miewał gorące romanse w romantycznej scenerii Lazurowego Wybrzeża. Takie kobiety doktor Hehłak podrywał w klubach taneczno-alkoholowych i po drugim drinku pytał: „Ma pani aktualny paszport, to zamawiamy taksówkę, paszport weźmie pani z domu po drodze na lotnisko, o 23.50 jest samolot na Wyspy Kanaryjskie. Oczywiście, ja funduję”. Piękne, szalone kobiety zapoznawał Marek Hehłak w najrozmaitszych miejscach - w kolejce do kasy w supermarkecie, na stacji benzynowej, tankując z tego samego podwójnego dystrybutora, na basenie, w galerii, w barze mlecznym i kochał się z nimi potem w motelach lub nawet na leśnych parkingach za miastem. W wyobraźni. W rzeczywistości kobiety o powyżej scharakteryzowanych parametrach psychofizycznych, doktor Hehłak omijał szerokim łukiem. Nie z wrodzonej nieśmiałości, ale



z nieśmiałości nabytej. Kilkanaście lat temu doktor Hehłak kilkakrotnie próbował swoje sny zrealizować na jawie. Ale ta „maksymalna laska” podrywana przy barze w klubie „Ground Zero”, przeprosiła na chwilę, poszła do toalety i najwyraźniej wessała ją do muszli klozetowej, bo już się nie pojawiła; piękność z galerii napisała mu na bilecie wstępu numer telefonu schroniska dla zwierząt; szałowa blondyna poznana w supermarkecie nie przyszła na spotkanie; długonogie dziewczę z basenu powiedziało: „Spieprzaj, palancie”; a ta ze stacji benzynowej wyraziła się jeszcze dosadniej, choć wyglądała na bardzo dystyngowaną damę. W wyniku tych doświadczeń doktor Marek Hehłak wynalazł nowe prawo socjologiczne: „Popyt określa wartość towaru” i zgodnie z tym prawem nieszczęsny socjobiolog poczuł się buble. Niestety doktor Hehłak był psychicznie niezdolny, by obniżyć swoją cenę i sprzedać się na wyprzedazy. Przez obniżenie ceny należy rozumieć obniżenie lub kardynalną zmianę kryteriów estetyczno-psychologicznych, bo popyt i na studenta Marka Hehłaka, i potem na magistra Marka Hehłaka, i wreszcie na doktora Marka Hehłaka, ten popyt zawsze jakiś tam był - a mianowicie w studencie, magistrze, a potem doktorze zakochiwały się od czasu do czasu albo jakieś myszy, albo maskarony, albo - co gorsza - maskarony myszowate, przy czym przez termin „maskarony myszowate” należy rozumieć kobiety nie tylko pozbawione urody, ale również osobowości. Doktor Hehłak zdawał sobie sprawę, że sam nie wygląda jak Apollo i nawet kiedyś bardzo starał się zakochać w pewnym maskaronie, którego maskaronizm nie kłuł aż tak bardzo w oczy, a poza tym była to dziewczyna bardzo inteligentna, błyskotliwa, pełna humoru i pozytywnej energii życiowej. I co? Nic. Po czterech miesiącach wspólnych kin, teatrów i wycieczek doktor Hehłak poczuł się winny, że się nie zakochuje i zaproponował jej, żeby zostali przyjaciółmi. Zgodziła się, a następnie doktor Hehłak już nigdy więcej do niej nie zadzwonił. To było około dziewięciu lat temu. Od tamtej pory doktor Hehłak nie robił już żadnych eksperymentów z maskaronami. W tym momencie każdy inteligentny psychoanalityk zadałby oczywiste pytanie: „A studentki?”

Siedem lat temu pewien anioł pisał u doktora Hehłak pracę magisterską. Było cudownie: „A panie doktorze to, a panie doktorze sio”, przewracanie oczami, konsultacje, kilka spotkań przy kawie i doktor socjobiologii pod koniec drugiego semestru, czytając rękopis pracy magisterskiej swojego anioła, z pewnym zaskoczeniem odkrył, że praca ta składa się głównie ze zręcznie - trzeba przyznać - skompilowanych obszernych wskazówek do pracy, które doktor Hehłak spontanicznie pisał swojej studentce. Wskazówki okazały się na tyle obszerne, że komisja egzaminacyjna oceniła pracę na cztery, natomiast świeżo upieczona pani magister dała panu doktorowi do zrozumienia, że może ją pocałować w cztery litery, a raczej, że nawet i na to już liczyć nie może. Po tym incydencie doktor Hehłak

zgorzkniał wewnętrznie. Studentki trzymał na dystans, a swoje wykłady zaczął nasączać jadowym humorem. Wolny czas kawalerskiego życia po wykładach doktor Hehłak poświęcał pracy naukowej, a w jego duszy, niczym wąty ślad po niegdyś gorejącym ognisku młodzińskich marzeń żarzyły się jeszcze tylko dwa małe węgielki: żeby zdobyć profesurę przed czterdziestką i żeby wynaleziono szczepionkę na AIDS, zanim stuknie sześćdziesiątka, bo sześćdziesiątkę doktor Hehłak arbitralnie uznał za wartość graniczną wieku, po której przekroczeniu istnienie kurew na świecie przestanie mieć dla profesora Hehłaka praktycznie znaczenie.

O tym, żeby w efekcie pracy naukowej zdobyć nagrodę Nobla, wyjechać do Arabii Saudyjskiej i zafundować sobie harem dziewic doktor Hehłak nie marzył. Nie wiadomo, dlaczego.

- Przepraszam, panie doktorze, mam jedno pytanie: woli pan worek jutowy, lniany czy konopny?

Doktor socjobiologii Marek Hehłak patrzył właśnie na zegarek, 12.04, ten cholery wykład się przeciągnął, a ta wyszczekana diabliska Aneta Kowalska jeszcze wyskakuje z jakimiś kretyńskimi pytaniami.

- Odpowiem pani za tydzień. Dziękuję państwu za uwagę - doktor Hehłak nie miał ochoty dać się teraz wciągnąć w jakieś zarciki pod swoim adresem.

- Ale panie doktorze, ja nie wiem, w co mam się ubrać za tydzień... Pan przed chwilą sugerował, że się ubieramy jak kurwy, no więc jaki worek pan sobie życzy...

- Czy na głowę trzeba założyć taką zasłonę jak w Iranie, czy może być pogrzebowa woalka po mojej ciotce? - z trzeciego rzędu auli rozległ się sopran Moniki Zalewskiej, której duże niebieskie oczy ledwie mieściły się w bluzce.

- Jeśli chodzi o panią, to w zupełności wystarczy, jak pani wyłączy te dwie migające diody. Jak już muszą migać, to niech je sobie pani zamontuje na czole, to może da się przywabić pani rozum z biustonosza na swoje miejsce.

Monika Zalewska w ułamku sekundy zaczerwieniła się, a potem wybuchnęła:

- Niech pan sam sobie diodę wyłączy! To, co pan... to pańskie zakończenie wykładu... to najlepiej widać, że to panu dioda miga nie tam, gdzie trzeba.

Cała aula zadudniła od rżenia audytorium.

Doktora Hehłaka zatkało. Różne odżywki już słyszał od swoich studentek i studentów, ale taka bezczelność się jeszcze dotąd nie przydarzyła. Doktor Hehłak miał jednak na tyle rozwinięty zmysł samorefleksji, żeby zauważyć, że w bezceremonialnej wypowiedzi studentki tkwi ziarno prawdy podobne rozmiarom do tego, z którego w przyrodzie wyrasta

palma kokosowa. Socjobiolog nie odpowiedział więc nic i tylko trzęsącymi się z nerwów rękami zaczął kompulsywnie porządkować rozrzucone po pulpicie kartki swoich notatek.

Nagle i tak już gasnące rzenie na sali gwałtownie się załamało. Doktor Hehłak usłyszał ciche: „O, Jezu”, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Zalewska już nie jest czerwona na twarzy, tylko przybrawszy kolor prześcieradła osuwa się z powrotem na swoje miejsce. Ale nie tylko z nią działo się coś dziwnego - Aneta Kowalska, Joanna Ostrowiec, Magda Zadzior, jak również kilku studentów - wyraźnie zbledli, a większość z tych bledych trzymała się za serce. Doktor Hehłak nie wierzył w doczesny wymiar bożej sprawiedliwości a już na pewno nie wierzył w to, że Stwórca mógłby pokarać zbiorowym zawałem studentów nabijających się z wykładowcy. Doktor Hehłak wierzył natomiast w permanentny spisek studentów przeciwko sobie, dlatego (choć nie rozumiał fizjologicznego mechanizmu blednięcia dla kawału) dość zdecydowanym głosem zażądał:

- Proszę mi tu nie urządzać teatru, wydział aktorski jest na Miodowej 22.

Monice Zalewskiej krążenie jakby wróciło na twarz. Wstała i energicznie zaczęła się przemieszczać w kierunku pulpitu wykładowcy. Nie ona jedna zresztą. Była 12.05, 30 kwietnia 2004 roku.

\*\*\*

Doktor Hehłak obudził się. Zegar kwarcowy wiszący na przeciwległej ścianie pokazywał 5.10. Wpadający przez kuchenne okno na wschodniej ścianie różowy blask jutrzeńki oświetlał pobojuwisko. Niczym postrzępiony proporzec przegranej armii, z żyrandola zwieszały się smętnie czerwone, koronkowe majteczki. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć - doktor Hehłak liczył ciała pokonanych „wrogów”. Niemożliwe - pomyślał. - Tyle by się nie zmieściło do cienkocienko (którym doktor Hehłak jeździł od siedmiu lat, wciąż nie mogąc z pensji naukowca dorobić się turbolotu). Niemożliwe, pięciu nie mogłem przywieźć - doktor Hehłak zwątpił w swoją zdolność liczenia do pięciu. Zalewska raz, te nogi wystające spod koca to Anety Kowalskiej na pewno, te rude pierzaste włosy, które przy każdym wdechu łaskotały doktora Hehłaka po nosie, to wizytówka Joanny Ostrowiec, prawą ręką doktor czuł, że kontroluje jakąś obłą część, sądząc z dotyku Magdy Zadzior, ale do kogo należy ta ręka, której paznokcie pieszczotliwie wbijają się doktorowi w zebra.. Jezus, Maria, to sąsiadka z pierwszego piętra, ona jest mężatką - socjobiolog zeszytniał na moment z przerażenia, jednak był to bardzo krótki moment, bo na dłuższy doktor Hehłak nie miał już siły. Tak, sąsiadka to był żywy dowód, że wydarzenia poprzedniego wieczora i dzisiejszej nocy to nie był jakiś permanentny spisek studentek, tylko, że po prostu stało się coś niepojętego, coś

daleko wykraczającego poza socjobiologię. Gdyby doktor Hehłak wierzył, że może się wyplątać z tych wszystkich rąk i nóg, nie budząc tej całej ośmiornicy, to jeszcze teraz o 5.11 zerwałby się do lustra, żeby sprawdzić, czy to wszystko rzeczywiście jemu się przydarzyło.

Najpierw po wykładzie lały za nim i w kółko przepraszały, a to za docinki, a to za wyzywające stroje... Więc im powiedział, że jeżeli się obawiają, że je złośliwie uwali na egzaminie końcowym, to mogą się przestać płaszczyć, bo czy na wykład będą chodziły gołe czy w habitach, to na egzaminie będzie się liczyła wiedza. Nie pomogło, lały za wykładowcą krok w krok aż na uniwersytecki parking. Doktor Hehłak otworzył wtedy drzwiczki swojego cienkocienko i myślał, że chowając się w samochodzie, uwolni się od ich namolności. Skądże - wszystkie cztery zaczęły się pakować prawymi drzwiami do środka. Wtedy dość obcesowo zasugerował im, że jeśli chodzi o podwożenie, to wygodniejsze będą turboloty kolegów studentów, którzy grają na giełdzie, albo handlują prochami. Jednak pod wpływem tej sugestii zrobili się miłe jeszcze bardziej i tak po matczynemu czułe, że wycofując samochód z parkingu, doktor Hehłak o mały włos nie skosił latarni. Chciał je odwieźć tylko na przystanek metra, ale kiedy tam dotarł, za Boga nie można ich było wypchnąć ze środka pojazdu. W końcu doktor Hehłak dał za wygraną, przestał się zastanawiać nad tym, co robi, i zaczął je po prostu wieźć do siebie do domu. Co gorsza, czuł narastającą sympatię do swoich studentek. Po drodze działy się *rzeczy* dziwne i to nie tylko we wnętrzu cienkocienko doktora Hehłaka. Co najmniej połowa użytkowników dróg miejskich 30 kwietnia 2004 roku, o godzinie 12.20 użytkowała te drogi w sposób wskazujący na bycie po lekkim spożyciu. Doktor Hehłak dwa razy cudem uniknął zderzenia bocznego z jakimś turbolotem, który zaplątał się na pas ruchu dla pojazdów kołowych. Zanim doktor Hehłak dojechał na swój parking osiedlowy, całkiem mimowolnie naliczył po drodze siedem rozbitych samochodów, dwanaście turbolotów w różnym stadium podobieństwa do harmonii oraz dwadzieścia osiem ludzkich zbiegowisk na chodnikach, przy czym przyczyny zbiegowisk nie były widoczne. Doktor Hehłak nie miał jednak czasu zastanawiać się nad socjobiologicznym podłożem zaobserwowanych niecodziennych zjawisk, gdyż po zaparkowaniu cienkocienko na parkingu osiedlowym został wyciągnięty z samochodu i siłą doprowadzony pod wskazany adres. Jego własny zresztą. Potem było bardzo ciekawie, jakieś czułości, przytulanki, komplemenciki - doktor Hehłak pamięta, że płał w tym wszystkim, ale jeszcze zachowywał pewną czujność, tak więc kiedy te bestie zaczęły mu ściągać spodnie, stanowczo zaprotestował. Przecież na przykład będący w spisku ze studentkami student mógł być śledzić cienkocienko doktora Hehłaka i mógł być czyhać pod drzwiami, żeby usłyszawszy umówiony pisk swoich koleżanek, wdrzeć się i zrobić zdjęcie do uczelnianej gazetki. Doktor Hehłak wyobraził sobie nawet podpis pod

tym zdjęciem: „Wykładowca ekshibicjonista obnaża się w czasie korepetycji”. Tak więc doktor Hehłak początkowo spodni nie dał sobie ściągnąć. I wtedy dopiero zaczął się prawdziwy cyrk. Studentki same zaczęły się rozbierać. Doktor Hehłak oczyma wyobraźni znowu zobaczył wtedy tego wymyślanego studenta z fotoaparatem i potem zdjęcie w gazetce: „Wykładowca brutalnie gwałci swoje studentki w trakcie korepetycji”. Ale cztery naraz bez ich zgody? Żaden sąd by w to nie uwierzył, to było bez sensu - pomyślał sobie doktor Hehłak i nieco się rozluźnił patrząc na kształty wyłaniające się z tkanin. I wtedy dostał w twarz po raz pierwszy. Zrobiła to Monika Zalewska zdjawszy bluzkę. Potem zaczęła się drzeć, założyła bluzkę z powrotem, rzuciła się ku drzwiom, lecz nie dobiegła do nich, bo po dwóch krokach stanęła jak osłupiała, wróciła się i znowu zaczęła ściągać bluzkę. W tym momencie doktor Hehłak oberwał po twarzy od Joanny Ostrowiec, która zdjęła żakiet. Potem natychmiast go znowu założyła i podobnie jak Zalewska zerwała się w kierunku drzwi i też w połowie drogi stanęła jak wryta. Magda Zadzior i Aneta Kowalska, które zaczęły się rozbierać od dołu, to znaczy od spódnicy i rajstop, popatrzyły na swoje koleżanki z totalnym zdumieniem w oczach. Zaczęła się jakaś paranoiczna wymiana zdań, Monika Zalewska się popłakała, Joanna Ostrowiec też - półgółe Zadzior i Kowalska zaczęły je pocieszać i przez dłuższy moment doktor Hehłak miał wrażenie, że złożyły mu wizytę pensjonariuszki domu wariatów. Było miło, ale aseksualnie. Okazało się, że zarówno Zalewska, jak i Ostrowiec doznały jakiegoś bardzo nieprzyjemnego uczucia zdejmując bluzkę (Zalewska) lub żakiet (Ostrowiec). I że w ogóle odechciewało się im całej zabawy. Na szczęście dla doktora Hehłaka był on naukowcem. Co łączyło żakiet Joanny Ostrowiec z bluzką Moniki Zalewskiej - mały drobiazg, na który doktor Hehłak wcześniej nie zwrócił uwagi - do żakietu i do bluzki przypięty był jakiś antykomunistyczny znaczek. Zadzior i Kowalska też miały takie znaczki tylko, że zaczęły się rozbierać od dołu. Zadzior miała nawet minikolekcję złożoną z trzech różnych znaczków. Na szczęście dla doktora Hehłaka był on nie tylko naukowcem, ale i wędkarzem amatorem, tak więc po sporządzeniu czterech naszyjników z żyłki wędkarskiej żakiet, bluzka i inne tego typu zbędne części garderoby przestały być przeszkodą dla zbiorowej radości. Koło szóstej wieczorem zajrzała sąsiadka z pierwszego piętra, żeby sprawdzić, co to za niespotykane hałasy u spokojnego dotąd socjobiologa. Kiedy doktor Hehłak szukał szlafroka, ta diaboliczna Kowalska bez pozwolenia otworzyła sąsiadce drzwi i błyskawicznie przypięła jej jeden ze znaczków należących do kolekcji Zadzior. Reszta jest milczeniem.

O 5.20 rano 1 maja 2004 po dziesięciu minutach od obudzenia doktor Hehłak wyszedł z szoku i przypomniał sobie prawie wszystko. Czerwone koronkowe majteczki z żyrandola

należały do sąsiadki. Jedyne, czego doktor Hełak nie mógł sobie przypomnieć, to to, kiedy sąsiad wraca z delegacji.

\*\*\*

3 maja 2004 roku o godzinie 11.30 do stojącego przy balustradzie tarasu widokowego przewodniczącego frakcji ZChN-u w PKS-ie, Mariana Piłki, będącego jednocześnie pierwszym zastępcą i prawą ręką Mariana Krzaklewskiego, zbliżyła się z pewną nieśmiałością lewa ręka Mariana

Krzaklewskiego - drugi jego zastępca w PKS-ie, Kazimierz Kapera. Kazimierz Kapera, wybitny dentysta, już jako wiceminister zdrowia w rządzie premiera Bieleckiego wsławił się autorstwem genialnego projektu wyleczenia polskiego społeczeństwa z życia przedmałżeńskiego, homoseksualizmu i innych tym podobnych zbroczeń poprzez ograniczenie sprzedaży prezerwatyw i tym samym stworzenie dogodnych warunków rozwoju zesłanemu przez Opatrzność wirusowi HIV w celu fizycznej ekstrakcji ze zdrowej tkanki społecznej wyżej scharakteryzowanych zbrodniców. Niestety długie macki Unii Demokratycznej, cierpiącej na chroniczne antyprawicowe odchylenie neoliberalne, zakażonej duchem wyuzdanej tolerancji, te macki swoim lepkiem śluzem zadławiły sanitarną inicjatywę tak dobrze zapowiadającego się inżyniera społecznego, powodując jego dymisję. Po odejściu z rządu niedoszły konstruktor zdrowej Polski nie poddał się. Już jako ojciec sześciorga dzieci został wiceprzewodniczącym AWS-u, od 2001 roku - posłem na sejm z listy PKS-u, od kwietnia 2003 roku - liderem frakcji oraz organizatorem stowarzyszenia Provivo Anti-um Christi w PKS-ie.

- Niech będzie pochwalony.

- Jezus, Maria... Ale mnie przestraszyłeś... Na wieki wieków... Co się tak skradasz? - Marian Piłka cały się wzdrygnął. Z powodu lęku przestrzeni na trzydziestym piętrze Pałacu Prezydenckiego czuł się niezbyt pewnie, a patrząc akurat na refleks słońca odbijający się w elewacji biurowca Caress Slider Industry, nie zauważył Kapery zbliżającego się od tyłu.

- Nie ja się skradam, tylko ty jak urzeczony wpatrujesz się w te wieżowce producentów prezerwatyw. Zrobili z Warszawy gumową stolicę Europy... Gdzie żeś był 1 maja? Wiesz, co tu się działo...

- W Trąbkach byłem, jak zwykle. Wiesz, tam gdzie była kapusta w zeszłym roku, naszło mnie... A ryzyk-fizyk zasadzę szczypior - przewodniczący frakcji ZChN-u mógłby godzinami opowiadać o swoim gospodarstwie koło Garwolina.

- To ty sobie spokojnie sadzisz szczypior na tych swoich pięciu hektarach, a tu, bracie

rodzony, rewolucja!

- Nie na pięciu, tylko na takim kawałku za domem, a reszta została pod kapustą jak w zeszłym roku. Co ty taki podniecony jesteś? W Trąbkach mam telewizor, oglądałem dziennik, wiem, co się dzieje. Nie wpadajmy w panikę, jak się cała prawica zewrze i zaprotestujemy jednym głosem...

- Jak to, zaprotestować, absolutnie nie, bracie rodzony, zbadać, tak... Komisję sejmową zrobmy.

- Kapera, odsuń się ode mnie na dwa kroki! Kiedyś to przypiął?! - Dopiero teraz Marian Piłka zauważył znaczek „Dość Zakwasów” na piersi lidera stowarzyszenia Proviso Antigum Christi.

- Nie bój się...

- Odsuń się, jak stałeś blisko, to poczułem, że mi się też coś głupiego z głową robi - zdecydowanie uciął przewodniczący ZChN-u.

- Bracie rodzony, ja cię przepraszam, ale mnie się nic z głową nie robi, jak się wyraziłeś. To nie zaburza pracy intelektu. Słyszałeś przecież tę informację rządową z dnia 30 kwietnia, powtarzali ją kilka razy w każdym programie... Musiałeś słyszeć.

- I ty, Kapera, im wierzysz... komunistom wierzysz... - Marian Piłka z politowaniem pokiwał głową. - Po co ja w ogóle z tobą rozmawiam? Może ty w ogóle już jesteś zdalnie sterowany?

- Nie, no teraz to przesadziłeś, bracie rodzony - zbulwersował się Kazimierz Kapera.

- Tak... Nawet sobie wyobrażam taką olbrzymią podziemną centralę, a tam przed jednym z kilkuset ekranów siedzi sobie taki były ubek, patrzy przez twoje oczy i szepcze ci do głowy, co masz zrobić i co komu powiedzieć.

- Nie, no, Marian, daj spokój. Jak ty do mnie możesz tak w ogóle...

- No to odepnij to, to będę wiedział, z kim naprawdę rozmawiam.

- A proszę cię bardzo - Kapera odpiął znaczek, schylił się i wpiął go w sznurówkę od buta. - Zadowolony teraz jesteś? Bo ja nadal podtrzymuję, żeby nie protestować, tylko zbadać sprawę, widzisz, mówię co myślę, a znaczek jest teraz znacznie poniżej metra od mojej głowy.

- Już cię, Kapera, przeprogramowali i tyle - Marian Piłka nadal zachowywał swój sceptycyzm.

- Wiesz co, Marian, aż mi wstyd... Tak, teraz czuję wyraźną zmianę, ja cię przepraszam, Marianku, mnie naprawdę wstyd, że to czuję, ale teraz tak mnie denerwujesz tymi swoimi cynicznymi komentarzami. Tak, zdecydowanie kiedy znaczek był wyżej, czułem

do ciebie znacznie większą sympatię.

- No i przynajmniej czujesz to, co czujesz, a nie to, co ci SLD, przepraszam, AWSL każe.

- Nikt mi nic nie każe. Mogę odpiąć i przypiąć, kiedy chcę.

- Ale wolisz mieć przypięty - nie dawał za wygraną Marian Piłka.

- No, bo wolę być uśmiechnięty i kochać ludzi, niż się co chwila wściekać a to na tych judaszów z Unii Wolności, a to że Olszewski z ROP-em nie chce do nas wstąpić, a to że Moczulski z nas wystąpił.

- Boże, to ciebie wszyscy tak denerwują - Marian Piłka był lekko zadziwiony.

- No, ale jak mam ten znaczek, to nie... Wiesz wtedy mi łatwiej tak po chrześcijańsku wybaczać ludziom ich błędy.

- Dzięki znaczкови, który nie wiadomo jak, ale 30 kwietnia przyznali się przecież... To komuniści podstępnie rozprowadzili te znaczki, a tobie łatwiej dzięki temu święństwu po chrześcijańsku wybaczać... Tak?!

- No właśnie, widzisz, uczciwie się przyznali. Marian, ty nie rozumiesz, przecież Pan Bóg stworzył i Judasza, i komunistów też. „Kamień odrzucony przez budowniczych stał się kamieniem węgielnym”. Kościół odrzucił komunistów, a oni przecież mogą stać się narzędziem w ręku Boga.

- Komuniści narzędziem w ręku Boga? Ty, Kapera, słyszysz, co ty wygadujesz? Dopiero dwa tygodnie temu twierdziłeś, że jakby ich zlustrować porządnie, to by się okazało, że trzy czwarte tych z dawnej SLD to tajni współpracownicy ginekologów, dbający tylko o to, by ociekające ludzką krwią macki morderców w białych kitlach nie zwisały beczynn timer, a teraz proszę: AWSL narzędziem w ręku Boga... Ty sam jesteś narzędziem, ale widzę, że nie w ręku Boga, tylko komunistów.

- Marian, bo będę musiał zaraz przypiąć znaczek, ty nic nie rozumiesz. „Nie może złe drzewo wydać dobrych owoców” (Mateusz 6,18). Ty sadziłeś szczypior 1 maja, a tu, mówię ci, ludzie obcy na ulicy zaczynają rozmawiać ze sobą serdecznie, sam widziałem na Dworcu Centralnym dwóch facetów z neseserami siadło... Wiesz, spodnie od garnituru, a oni siedli obok bezdomnego, on coś opowiadał, a oni słuchali i płakali. To nie była jedyna taka grupka, ale akurat tutaj, wiesz, te nesesery, widać, że business class, dlatego zwróciłem uwagę.

- A ty się nie przysiadłeś do żadnego bezdomnego pogadać jak z człowiekiem - wtrącił Piłka.

- No nie, bo ja ten znaczek mam od 2 maja.

- Jezus, Maria, to ty go świadomie przypiąłeś... - Marian Piłka był wstrząśnięty.



- Chciałem tylko spróbować, co się dzieje. Ale mówię ci, ja stałem wtedy na tym dworcu i patrzyłem i potem jeden z tych biznesmenów zabrał tego bezdomnego ze sobą do taksówki, mówię ci, na pewno zabrał go do domu.

- Wiesz co, Kazik - zaczął przewodniczący ZChN-u -ja w cuda wierzę, ale nie w takie.

- Ale ja to widziałem na własne oczy, a od 2 maja, jak mam ten znaczek, też nie mogłem się opanować, mówię ci, co się czuje. Chcesz się uśmiechać do każdego, nagle nikt nie jest ci obcy, nawet taki facet jakiś mijany na chodniku, czujesz, że to twój brat i naprawdę ciekawi cię, co on robi, co czuje, czym się martwi i nie możesz powstrzymać się, zagadujesz, a on, jeśli ma znaczek, odpowiada i nawet nie wiesz, kiedy toniesz w rozmowie z pozornie obcym człowiekiem, który staje się nagle kimś bliskim.

- Może to o to chodziło komunistom - zadumał się Marian Piłka. - Ludzie wystają na chodnikach, gadają ze sobą o bzdurach, a komuniści z tak ogłupiałym narodem będą mogli zrobić, co zechcą.

- Jak to o bzdurach? - obruszył się Kazimierz Kapera.

- Wiesz, jak drobne sprawy potrafią być ważne, niektórzy w ostatnich dniach jakby odblokowali się, mówią o rzeczach, które od lat gryzły ich od środka, nie pozwalały cieszyć się życiem, a teraz wydobyte na powierzchnię duszy spalają się w promieniach słońca, pozostawiając człowieka czystym i lekkim.

- Teraz gadasz jak nawiedzony psychoanalityk. Kapera, nie chcę cię martwić, ale z tobą dobrze nie jest.

- A ja ci mówię, że pod wpływem tych znaczków nasz naród, no w każdym razie ci, co je noszą, to zaczęli tworzyć jakby taką pierwotną chrześcijańską kominie.

- Jak jeszcze ciebie dłużej posłucham, to już całkiem się upewnię, że wkrótce z tej twojej nowej komuny chrześcijańskiej sama komuna zostanie - przewodniczący ZChN-u patrzył na lidera Provivo Antigum Christi z mieszaniną politowania i poselskiej troski o kolegę.

- Nie, ty, Marian, naprawdę nie wiesz, o czym mówisz, może ci go dam na sekundę, przypnij sobie. - Kazimierz Kapera zaczął się schylać po znaczek.

- Apage satanas, Kapera, ani się waż! - Marian Piłka odchylił się, bo cofnąć już się nie mógł: pole manewru ograniczała balustrada tarasu widokowego trzydziestego piętra Pałacu Prezydenckiego.

Kapera wyprostował się.

- Nie chcesz, to nie. Sam przypniesz. Przyjdzie taki dzień... Zobaczysz, pozazdrościsz ludziom tej miłości bliźniego, która w nich się rodzi.

- Szatan kusi miłością bliźniego, a to ciekawa forma pokuszenia - zauważył ironicznie Marian Piłka.

Kapera obruszył się:

- Nie żartuj sobie w ten sposób. Ale o czym my tu mówimy, ja ci nie mówię najważniejszego! Człowieku!!! Wiesz, ile mam dzieci?

- No, sześć, o ile się nie mylę.

- Tak, sześć. I wiesz, mówię ci, po tych iluś latach małżeństwa, a moje naprawdę uważam za udane, ale jakoś tak było, że człowiekowi już brakowało jakiegoś takiego młodzieńczego zapału, żeby się... to znaczy spróbować zatroszczyć o to siódme.

- Spróbować zatroszczyć się... - Marian Piłka patrzył z rosnącym zainteresowaniem na dobijającego sześćdziesiątki kolegę posła.

- Nie patrz tak na mnie. Wiesz, o czym mówię, ludzie... to znaczy małżeństwo w pewnym wieku... o, na przykład, widziałeś, żeby jakaś para po sześćdziesiątce całowała się w parku; patrzyła sobie w oczy na ławce przy księżycu... - Przewodniczący ZChN-u nic nie mówił, więc Kazimierz Kapera kontynuował:

- Jak małżeństwo jest z pewnym stażem, to już ta miłość do żony z wiekiem ewoluuje i potem kocha się żonę już bardziej tak jako bliźniego, a nie tak jak kobietę, wiesz, o czym mówię... Mniej jest tego młodzieńczego zawrotu głowy...

- No, ale to normalne, na wszystko jest czas wtedy... - zaczął Marian Piłka.

- Na wszystko może być czas zawsze! - przerwał mu lider Provivo Anti-gum Christi. - Mówię ci, Marian, na wszystko.

- A to tym cię komuna kupiła, Kazik, że znów masz ochotę?

- Przestań, przestań, spłycasz wszystko. Jeżeli mam na coś ochotę, to jeszcze raz na sześcioro dzieci, no może teraz na pięcioro. Na drużynę piłki nożnej wystarczy. Marian, czy to grzech?

- Nie, skądże. Ja zawsze uważałem, że Polacy powinni być osiemdziesięciomilionowym narodem, ale jeżeli wszyscy teraz pójdą w twoje ślady, to będziemy musieli uderzyć na Białoruś albo zacząć sadzić ryż na każdym trawniku. Kazik, nie przesadzasz? W twoim wieku... Jak królik zupełnie. Czy od tych znaczków wszystkim się tak robi czy tylko tobie?

- Jezus, Maria, patrz, wszyscy się zbierają, chodź! Nie dopchamy się do windy. - Kazimierz Kapera zręcznie zmienił temat, wykorzystując fakt, że istotnie większość obecnych na tarasie postów przestała do siebie wymachiwać rękami, podniesione głosy przycichły, a do drzwi ustawiła się kolejka.

- Tak, rzeczywiście, już jest za dziesięć - Marian Piłka spojrzął na zegarek. - Kazik, ja ci mówię jedno. Wiesz, żeby to z tobą się nie skończyło tak jak z Breżniewem.

- Jak to z Breżniewem?

- No, tak... Na parę dni przed śmiercią Breżniewa aparatczyki patrzą z okien Kremla, a Breżniew chodzi po placu Czerwonym i zbiera kamienie. I wiesz, co się okazało?

- Czekaj... Ale nie, już nie pamiętam.

- Że zamiast do stymulatora serca podłączyli go pod program kosmiczny Łunochodu. Kapera skrzywił się.

- Dokładnie. Kazik, ja ci to przepowiadam. Jak się łapie rybę na wędkę, to ostrze haczyka ukrywa się pod przynętą, a ty już łyknąłeś przynętę, mówię ci, któregoś dnia zrobią pstryk i ja się nie zdziwię, jak cię zobaczę na parkingu przed Pałacem, jak pucujesz Kwaśniewskiemu turbolot flanelową szmatką.

\*\*\*

- Wyłaż, czerwony pająku! - ponad drgającymi głowami posłów wyjątkowo szczelnie wypełniających audytorium sali sejmowej przebił się charakterystyczny głos Leszka Moczulskiego. Istotnie, za pancerną szybą (zabezpieczenie wprowadzone po samowysadzeniu się Korwina-Mikkego) fotel prezydencki był jeszcze pusty, jak również puste były miejsca aktualnych członków rządu, marszałka sejmu oraz miejsce stojące za mównicą trybuny sejmowej.

- Leszek, opanuj się - uspokajał teścia kolega z frakcji KPN-u w ROP-ie, Krzysztof Król.

- Odsuń się, zdrajco, z tym swoim znaczkiem! - Moczulski robił się raz biały, raz czerwony. Nie tylko Moczulski był podekscytowany. W barwach narodowych pulsowała orientacyjnie jedna trzecia posłów opozycji, natomiast na dwóch trzecich twarzy posłów opozycji, licząc procent oczywiście nie od powierzchni, ale od ogólnej liczby twarzy posłów opozycji, tak więc na dwóch trzecich tych twarzy malował się wyraz zadowolenia pomieszany z lekkim zaniepokojeniem pobudliwością kolegów. Naprzemian biało-czerwoni - i ci z PKS-u, i ci z ROP-u, i ci z KPN-u w ROP-ie, i ci z TKZJ-otu nacierali stekami inwektyw to na tych swoich opanowanych kolegów klubowych, to na posłów AWSL-u, to znowu wygrażali pięściami w kierunku nie zapełnionej jeszcze przestrzeni za pancerną szybą. Jednak prawdziwa eksplozja emocji nastąpiła dopiero, kiedy ta przestrzeń za szybą zaczęła się wypełniać. Rozległy się nie spotykane dotąd w polskim parlamencie gwizdy. Papierowe kule odbijały się od pancernej szyby. Odbijały się również od niej skandowane sylaby.

- Hun-ta, hun-ta, hun-ta! - dyrygował Adam Słomka z frakcji KPN-bis w PKS-ie.

- Czer-wo-ni ju-da-sze - zaintonował Marian Krzaklewski.

Za pulpitem mównicy stanął prezydent Aleksander Kwaśniewski i odważnie spojrzął przed siebie. Wrzawa jeszcze wzmogła się i niczym powstająca na oceanie po podziemnym trzęsieniu ziemi gigantyczna fala Tsunami, uderzyła z całą siłą o ekran pancernej szyby. I nagle stało się to, czego hałasująca za sześciuset posłów biało-czerwona mniejszość w liczbie około pięćdziesięciu posłów nie spodziewała się: prezydent chrząknął.

Było ewidentne, że między ostatnim posiedzeniem sejmiku a obecnym demontowano dodatkowe głośniki, bo to chrząknięcie spadło jak grzmot na salę. Tsunami hałasu dobiegającego z audytorium załamała się. Jeszcze jako ostatni wyraz parlamentarnej obstrukcji znowu przebił się głos Leszka Moczulskiego:

- Jeszcze nie cały naród masz w sieci, czerwony pająku!

A potem było już słychać tylko dobiegający zewsząd kwadrofoniczny głos prezydenta:

- W trosce o przyszłość naszej Ojczyzny, my, Naród Polski, wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, świadomi, że człowiek i małpa wywodzą się od wspólnego przodka, wdzięczni tym przodkom za walkę o byt, dzięki której istniejemy, a jednocześnie świadomi obciążeń genetycznych, jakie ta walka wniosła do naszej ludzkiej psychiki, dziś uroczyście odrzucamy prawo naturalne będące prawem dżungli. Wyposażeni w środki techniczne trzeciego tysiąclecia, będące wielkim osiągnięciem polskiej nauki, uwolnieni dzięki tym środkom od zwierzęcych emocji: agresji, chęci rywalizacji, jednostkowego egoizmu, stanowiących dotąd podstawę istnienia tak zwanej gospodarki rynkowej, dziś wspinamy się na wyższy szczebel rozwoju: ku komunalnej gospodarce spontanicznej. Ustanawiamy jednocześnie konstytucję Komuny Polskiego Narodu jako prawo podstawowe dla państwa oparte na uwolnionym czystym rozumie i na czysto ludzkich uczuciach: miłości wzajemnej i chęci współpracy dla wspólnego dobra obywateli KPN.

Prezydent przerwał na moment i znowu podniósł wzrok na salę. Leszek Moczulski nie pulsował już w barwach narodowych. Usłyszawszy nazwę nowego państwa zrobił się na twarzy jednolicie biały.

Pierwszy ocknął się Marian Krzaklewski. Zerwał się z miejsca i rozpaczliwie krzyknął:

- To zamach stanu jest, proszę państwa, nie siedzmy beczynnienie!

Za tym głosem poszły inne:

- Z hieną, z hieną miałeś wspólnego przodka, nie z małpą, krwiopijco!
- Kpina z demokracji!
- Hańba!
- Nie uda się wam!
- Precz z Łukaszenką II!
- Precz z komuną!
- Co to w ogóle jest?!

Na to ostatnie pytanie z rozmieszczonych dookoła poselskiego audytorium potężnych głośników padła grzmiąca odpowiedź:

- Odczytałem państwu prezydencki projekt preambuły i chciałbym...
- Ta buła jest niejadalna! - ryknął Marian Piłka, niemal przekrzykując głośniki.

- Proszę państwa, wychodzimy, niech zostaną sami zdrajcy! - znowu rozległ się głos Mariana Krzaklewskiego. Prawie jedna trzecia posłów opozycji zaczęła się podnosić z miejsca. Przez twarz Zygmunta Wrzodaka przebiegł jakiś złowieszczy skurcz. Przewodniczący frakcji ruchu „URSUS tak! Volkswagen nie!” w PKS-ie zaczął śpiewać pełnym głosem:

*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,  
czerwono-różowe hieny cyjankiem wytrujemy.*

Po chwili ten refren był już na ustach wszystkich wychodzących posłów. Ich śpiew długo dudnił na korytarzu, potem ściany korytarza odbiły rząd sylab trzech słów: „Jeszcze tu wrócimy!” Na koniec gdzieś poza salą sejmową trzasnęły za ostatnim posłem ostatnie drzwi wejściowe do gmachu byłej Sali Kongresowej. Zostało około trzystu posłów. Prezydent Kwaśniewski, który na czas całego incydentu zawiesił swoje wystąpienie, teraz wyteżył wzrok. W świetle silnych lamp jarzeniowych, oświetlających salę sejmową, nawet z ostatnich rzędów do prezydenckich oczu docierały pojedyncze metaliczne błyski. Tak, światełka nadziei migały prawie z każdej klapy, każdej marynarki, każdego posła, który został na sali... Prawie z każdej, bo kłapa na sercu Leszka Moczulskiego była pusta. Pochylony nad teściem Krzysztof Król próbował docucić swojego kolegę klubowego. Tymczasem minister Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE, niedowidząc z powodu dużego dystansu, zinterpretował kontynuowanie obecności przez Leszka Moczulskiego jako świadomy akt woli lidera KPN-u. Leszek Miller nie mógł się powstrzymać i wyraźnie wzruszony taką postawą byłego politycznego wroga, gwałtownie powstał ze swojego miejsca, wybiegł przed pancerną

szybę i szybkim krokiem piał się w górę w kierunku rzędu klubu frakcji KPN-u w ROP-ie. Leszek Moczulski zaczął odzyskiwać przytomność w momencie, gdy minister Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE był już tuż-tuż. Leszek Miller widział już, że z Moczulskim jest coś nie w porządku, ale nadal trwał w przekonaniu, że te psychosomatyczne objawy to emocjonalna reakcja lidera KPN-u związana z podjętą świadomie decyzją solidarnego pozostania z przyszłymi budowniczymi KPN-u - to znaczy Komuny Polskiego Narodu. Minister Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE troskliwie dotknął zimnej ręki swojego byłego adwersarza:

- Leszku, już wszystko dobrze, teraz jesteś z nami - głos Leszka Millera wyraźnie drżał. W tym momencie Moczulski otworzył oczy i spojrzał nimi zupełnie przytomnie:

- Spierdalaj, pacholku! - wychrypiał, potem złapał się za serce i zaczął rzeźić. Krzysztof Król krzyknął:

- Niech ktoś wezwie pogotowie urazówki kardiologicznej, szybko!

Tymczasem Leszek Miller układał już Leszka Moczulskiego na wznak w poprzek trzech foteli poselskich. Kiedy w kilka minut później w drzwiach wejściowych pojawiły się wreszcie białe fartuchy, minister Koordynacji Spraw Wewnętrznych z UE nadal jeszcze wpompowywał metodą usta-usta swój ciepły oddech w sztywniejące zwłoki dawnego przeciwnika politycznego. Krzysztof Król co trzy sekundy mocnym uciskiem w mostek usiłował pobudzić serce teścia do pracy, jednak to serce, które tyle lat biło dla KPN-u, dla KPN-u w wersji prezydenta Kwaśniewskiego bić nie chciało. Kiedy turbolot pogotowia ratunkowego dowiózł je do szpitala na Hożej, może jeszcze tylko dwie lub trzy zastawki nadawały się, by je przeszczepić potrzebującym.

\*\*\*

- Nadmierna pobudliwość to jedna z najcięższych chorób politycznych. Jak widzimy, bywa śmiertelna. Mówię to z bólem, bo zawsze szanowałem opozycję, nawet tak bezkompromisową. Uczujmy odejście kolegi posła minutą ciszy - z głosu prezydenta przebijał głęboki smutek. Wszyscy wstali. Wielu posłów szczerze płakało, paradoksalnie najgłośniejszy szloch dobiegał z lewej strony sali - lewica czuła, że nigdy nie będzie już tak bardzo lewicą, mając po prawej stronie taką ogromną pustkę. Bo nie sposób powiedzieć, że jest się na lewo, jeśli się nie określi, względem czego.

- Niech to smutne wydarzenie nie przesłania nam jednak - kontynuował prezydent - ogromu zadań, które oczyszczony z oszołomów parlament ma do wykonania. Widzę podniesioną dłoń pana Leszka Balcerowicza... Proszę panią marszałek o skierowanie

mikrofonu kierunkowego na pana posła. Co prawda, pytania miały być na końcu, ale w obecnej sytuacji i tak trudno mówić o jakimś porządku obrad.

Pani marszałek Anastazja Potocka (legalizacja zmiany personaliów - styczeń 1999 roku, w maju 2000 roku główna organizatorka wchodzącego w skład AWSL-u ROPKUMSwP - Ruchu Obrony Praw Kobiet Ustawicznie Molestowanych Seksualnie w Pracy, posłanka na sejm od wrześniowych wyborów 2001 roku) spełniła prośbę Aleksandra Kwaśniewskiego. W czasie, gdy Leszek Balcerowicz pytał, kiedy komisja złożona z posłów wszystkich ugrupowań uzyska dostęp do stacji nadawczej w Solcu Kujawskim, lider TKZJ-otu, Lech Wałęsa, który przez cały ten czas, nie powiedziawszy ani jednego słowa, siedział z kamienną twarzą gdzieś tam w bocznym sektorze, teraz poprawił w klapie znaczek z Matką Boską, wstał i prawie nie zauważony, bocznymi drzwiami opuścił posiedzenie.

- Drogi panie Leszku, jeżeli pozwoli pan tak do siebie mówić - prezydent zaczął bardzo kurtuazyjnie - w przemówieniu radiowym i telewizyjnym z 1 maja obiecywałem, że stosowna komisja uzyska pełny dostęp i do stacji nadawczej, i do wszelkich materiałów naukowych Instytutu Telekomunikacji i Biofizyki Mózgu. Jednakże chciałbym, żebyśmy sprawą komisji zajęli się na końcu. W tej chwili, wdzięczny za kredyt zaufania wyrażony państwa obecnością, chcę przedstawić zasadnicze propozycje zmian do konstytucji, jakie rząd i nasza partia, przepraszam, ale to przez moją sympatię dla programu AWSL-u, chcemy poddać choćby jeszcze dziś pod głosowanie. Po pierwsze, chodzi o preambułę, którą już odczytałem. Po drugie, chodzi o nacjonalizację bez odszkodowań wszelkiego obcego kapitału, żeby nikt obcy nie mógł już tuczyć się krwawym potem polskiego robotnika. Po trzecie, chodzi o urzeczywistnienie ideałów wolności, równości i braterstwa.

Braterstwo. W związku z tym trzecim punktem proponujemy gruntowną i natychmiastową reformę mieszkaniową. Nie jest braterstwem to, że jedni mieszkają w kilkupiętrowych luksusowych willach z basenem w ogródku, a inni koczują na dworcach kolejowych. Musimy jeszcze dziś wprowadzić poprawkę do konstytucji gwarantującą obywatelom wolność wyboru miejsca zamieszkania. Powierzchni mieszkaniowej jest dosyć, tylko dostęp do niej był dotąd niesprawiedliwy. Każdy musi mieć prawo wyboru, w którym z już istniejących mieszkań chce mieszkać i z kim. Taki praktyczny wymiar ma rzeczywiste społeczne braterstwo.

Równość obywateli musi być gwarantowana równym dostępem do wszelakich dóbr. Nie może być tak, że rozmaite atrakcyjne i potrzebne każdej rodzinie towary leżą bezużytecznie miesiącami na półkach sklepowych i wystawach, bo są za drogie dla przeciętnego człowieka. Nie może być tak, że w olbrzymich magazynach handlowych stoją

setkami pralki, lodówki, telewizory, a przecież zamiast stać bezużytecznie, mogłyby natychmiast trafiać do tych, którzy tych urządzeń potrzebują w codziennym życiu. Dlatego każdy obywatel deklarujący poprzez założenie wzmacniacza M swoją chęć uczestniczenia w Komunie Polskiego Narodu, powinien mieć prawo do nieodpłatnego poboru produktów ze sklepu zgodnie z regułą: OD KAŻDEGO WEDŁUG JEGO MOŻLIWOŚCI, KAŻDEMU WEDŁUG POTRZEB. To jest prawdziwa równość.

Wolność. Chcielibyśmy przywrócić wolność ograniczoną dotychczas poprzez prawną formę małżeństwa. W związku z powszechnym dostępem do M-wzmacniaczy, których dobroczynnego oddziaływania większość tu obecnych doświadczyła na sobie, w przeciwnym razie, jak sędzę, panie posłanki i panowie posłowie odpięlibyście znaczki zaraz po uruchomieniu nadajnika, tak więc w związku z powszechnym dostępem do M-wzmacniaczy naszym zdaniem prawna forma małżeństwa stała się anachroniczna i krępująca. Dlatego proponujemy anulowanie wszelkich norm prawnych w tym zakresie. Niech żyje wolność!

Małżeństwo może być oczywiście kontynuowane jako jeden z elementów kultu religijnego, co gwarantuje konkordat podpisany przez nas w 2003 roku.

W tym momencie poseł frakcji ZChN-u w PKS-ie, Marek Juruś, nie mógł się już opanować. Różaniec z M-wzmacniaczem mało nie wypadł Markowi Jurusiowi z kieszeni marynarki, kiedy ucieszony podskoczył na swoim fotelu poselskim i na całą salę radośnie wykrzyknął:

- Wspólne żony! Jak Boga kocham!

\*\*\*

Jeździec jest coraz bliżej. Już niemal słyhać chrapliwy oddech potężnego czarnego konia... Jeszcze czterdzieści metrów... Lśniący miecz w uniesionej prawicy... Twarz jeźdźca napięta, oczy płonące gniewem... Dwadzieścia metrów... Z oczu tryska ogień! Rozlewa się na twarz, pierś, ramiona... Smród palonego mięsa, płaty skóry odpadają od twarzy, skręcone żarem ramię dzierżące miecz urywa się i rozpada w łokciu na dwoje. Szyja wybucha gotującą się krwią. Przerażony koń staje dęba. Głowa urywa się i skwiercząc toczy w kierunku moich stóp - dymiący skalp strzępkami odwija się po drodze, odsłaniając osmaloną szarobiałą kość. Wyszczierzona czaszka całuje mój but, a mój mózg swędzi mnie jeszcze od przeżytego lęku. Swędzenie jest nieznośne, schylam się więc po wypalony czerep i grzebień zębów górnej szczęki zanurzam w swoją głowę. Czaszka jeźdźca przenika moją czaszkę jak widelec rozrabiane ciasto na naleśniki, zęby jeźdźca przeczesują zwichrzone strachem neurony mojego mózgu. Swędzenie ustaje... Co za ulga!!!



Co za koszmar, kurwa mać, ja wariuję. Prezydent Kwaśniewski usiadł na łóżku i drżącymi palcami zaczął się macać po złanej potem głowie. Kość potylicy nie ugięła się jednak pod opuszkami palców. Również opukiwanie nie wykazało nic podejrzanego. Mózg wydawał się być solidnie obudowany zupełnie twardą czaszką. Prezydent odetchnął głębiej. Od czego taki sen, może kucharz jest w zмовie z Krzaklewskim i dosypał psylocybów do kolacji, ale nie, bez sensu, jakby był w zмовie, to by dosypał cyjanek, ale z drugiej strony Krzaklewski wierzący, a jest przykazanie: „Nie zabijaj”, a nie ma przykazania: „Nie dosypuj grzybów halucynogennych”... Tak, to mogły być grzyby. - Kwaśniewski poczuł, że serce zaczyna mu dudnić jak oszalałe. Tylko spokojnie, to nie grzyby. Na jawie nie mam halucynacji, wszystko jest w porządku. - Prezydent z trudem przychodził do siebie.

A gdzie Jola?! A w Kudowie, żeby teraz nie narażać... No tak, pamięć działa, wszystko dobrze... A gdzie M--wzmacniacz? - Teraz dopiero prezydent zauważył, że nie ma serduszka pod górą od pidżamy. Serduszko leżało obok lampki nocnej. Prezydent pospiesznie nałożył łańcuszek.

Nie, Krzaklewski by się nie ważył, to w sumie miły facet, tylko trochę narwany. Nie, to nie żadne grzyby, tylko pewnie przez tę cholerną wojnę z Koreą. Może nie trzeba było nacjonalizować Daewoo tak od razu, ale jak nie od razu, to jak... Zaraz, we śnie ten miecz to był samurajski? - Kwaśniewski wołał nie przypominać sobie zbyt dokładnie obrazów ze snu, w kwestii miecza zrobił jednak wyjątek: - Nie, raczej prosty miecz, może trochę zakrzywiony... Bo jeśli samurajski, to znak, że wygramy wojnę. Ta zwęglona głowa u moich stóp... Ale podobno sny tłumaczy się odwrotnie... - Serce prezydenta znowu zakołatało się niespokojnie, jednak już nie tak mocno, bo M-wzmacniacz stabilizował emocje wokół opcji pozytywnej. Ale o czym ja myślę? Sen mara, Bóg... Że też dla ateistów nie ma jakiś cywilizowanych powiedzonek. Co za bzdury, o czym ja myślę... Który to dzisiaj? - Prezydent spojrział na datownik zegarka. - O, szlag! 12 maja, zacznie się wałkowanie reformy rolnej. Znowu teraz przesiedlanie tych rolników z Lepper City... No bo jak już nie ma giełdy... No i ten projekt wiejskich wspólnot gospodarczych. Oj, koledzy z PSL-u w AWSL-u będą się jeżyć...

Podniesione głosy przed drzwiami prezydenckiego apartamentu to była pierwsza i jedyna zapowiedź nadejścia generała Szumskiego. Szef sztabu wszedł, a właściwie wpadł bez pukania z takim impetem, że w pierwszym odruchu prezydent Kwaśniewski zasłonił się kołdrą.

- Panie prezydencie, przepraszam, ale proszę natychmiast się ubrać. Wałęsa zajął Sulejówek i Rembertów. Ma pod kontrolą Muzeum Piłsudskiego i Instytut Telekomunikacji i

Biofizyki Mózgu. Kocoń nie odbiera wideofonu... Mogą go też mieć - wydyszał Henryk Szumski.

Kwaśniewski zerwał się z łóżka i przez sekundę wahał się, czy ściągnąć spodnie od pidżamy przy generale. Na szczęście szef sztabu dyplomatycznie się odwrócił.

- A co z nadajnikiem, mamy jeszcze Solec Kujawski? -zapytał prezydent, naciągając beżowe slipy.

- Na szczęście ośrodek nadawczy jest dobrze obstawiony naszym wojskiem. Mamy nawet działo laserowe do niszczenia w powietrzu bomb lotniczych i rakiet niskiego pułapu. Nie odważyli się uderzyć!

- Naszym wojskiem, a co to znaczy, że Wałęsa ma jakieś cudze czy własne, czy co... - Kwaśniewski, zapinając guziki od koszuli, nie mógł się skupić.

- Nie domyśla się pan? Wierny koleżka z obiadku drawskiego pospieszył z pomocą, to robota Wileckiego.

- Generał Wilecki? Przecież on się ciężko pochorował jeszcze w dziewięćdziesiątym siódmym, jak dostał dymisję.

- No to teraz wyzdrowiał i przywłókł skądś pod Warszawę pułk czołgów magnetycznych.

- Jezus, Maria, jak to skądś?

- No bo teoretycznie wszystkie pułki są na miejscu.

- To pan nie wie, skąd te czołgi?

- Ja ostrzegałem, żeby w wojsku nie rozprowadzać M-wzmacniaczy, zrobił się bałagan i są skutki! Przepraszam, panie prezydencie, ale jeśli jest pan gotowy, to idziemy.

- Tak, ma pan rację, musimy zaraz pojechać na rozmowy do Sulejówka, Wałęsa na pewno da się przekonać, ja zawsze szanowałem go za rozum i pragmatyzm.

Szef sztabu spojrzał jakoś tak dziwnie na prezydenta.

- Ma pan to na szyi? No, oczywiście! - Henryk Szumski bezceremonialnie podszedł do prezydenta i jednym ruchem zerwał mu serduszko.

- Kurwa mać, co pan robi?! To zamach stanu jest czy co?!

- Zamach stanu to robi właśnie Lech Wałęsa, a ja panu ratuję skórę. Nadal chce pan jechać na rozmowy?

- Na jakie rozmowy, oszalał pan?! A nie, to ja, przepraszam... Ciężko się w kilka sekund przestawić. Zaraz... Powiadomiliście Jaruzelskiego? Trzeba go wezwać, niech wprowadzi stan wojenny!

- Panie prezydencie, błagam, chodźmy już do windy, wyjaśnię po drodze. Jaruzelski

przedwczoraj miał wylew i o ile się orientuję, od wczoraj z pielęgniarkami obmyśla plan ucieczki.

- Z Polski czy ze szpitala?

- Nie, ze Świętej Heleny czy z Elby... Coś takiego.

Do windy weszło dwóch funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu.

- Co pan za głupoty opowiada, z jakiej Elby? - Kwaśniewski nie mógł się połapać w relacji szefa sztabu.

- Zaraz jak odzyskał w szpitalu przytomność, to pierwsza rzecz chciał swój paszport... Potem był cyrk na cały oddział neurologii: podarł ten paszport, wrzeszczał, że na zdjęciu był jakiś obcy facet, a potem chciał dzwonić na komórkę do księcia Józefa Poniatowskiego, żeby go natychmiast odebrał ze szpitala, bo się spóźnił pod Waterloo.

- No tak, to na Jaruzelskiego raczej liczyć nie możemy. Przecież Poniatowski nie dożył Waterloo, bo się utopił w czasie bitwy pod Lipskiem. - Kwaśniewski nie skończył ekonomii przez swoje zbyt liczne humanistyczne zainteresowania; jednym z nich była historia.

\*\*\*

Na parkingu przed Pałacem panował nieopisany chaos. Posłowie, niektórzy jeszcze w pidżamach, miotali się w panice koło swoich turbolotów. Z kierunku niemal niewidocznej zza kłębow dymu bramy wyjazdowej dolatywał obrzydliwy swąd palonej gumy. Droga ucieczki była odcięta przez olbrzymią stertę płonących opon. Zza tej ogniowo-dymnej zasłony dolatywały groźne okrzyki niewiadomego pochodzenia oraz jaja pochodzenia kurzego z częstotliwością czterech sztuk na sekundę. Na całym ogrodzonym wysoką siatką parkingu było tylko jedno miejsce wolne od gumowego smrodu. Niczym olbrzymi wentylator łopaty prezydenckiego śmigłowca zasysały czyste powietrze z góry i wpompowywały je pod siebie tworząc niesmrodliwą strefę o promieniu dwudziestu metrów od maszyny.

- Z tej strony, panie prezydencie! - szef sztabu musiał przekrzykiwać ryk silnika.

- A rząd? - zaniepokoił się prezydent, wstępując na aluminiowe schodki.

- Już upchani w środku, nawet pani marszałek Potocka zmieściła się dodatkowo. Tylko minister Kaczmarek gdzie się zgubił - odkrzyknął Henryk Szumski.

- No to mu współczuję - krzyknął prezydent, znikając w mrocznej czeluści kadłuba.

\*\*\*

*Na Cytadeli jest szubienica pod szkłem.*

*O tym wie każda warszawska ulica  
I ja wiem.  
Umierali tam pepesowcy,  
SDKPiL,  
umarli, zgnili –  
został Cel.*

*Władysław Broniewski*

Car Mikołaj I, zlecając w 1832 roku budowę w Warszawie umocnionej twierdzy nazwanej Cytadelą Aleksandrowską, zastanowiłby się dziesięć razy przed podjęciem tej decyzji, gdyby wiedział, że ta budowla mająca symbolizować rosyjską dominację, 167 lat później zostanie zaadaptowana na kwaterę główną Wschodniej Flanki NATO. Widoczne z Wisłostrady grube czerwone ceglane mury majestatycznie wieńczące nadwiślańską skarpe, nie stanowiły obecnie o walorach obronnych tego obiektu. Ta historyczna dekoracja zasłaniała teren, na którym już od 1999 roku, zaraz po wstąpieniu Polski do Paktu, trwały intensywne prace górnicze. W 2003 roku oddana została do użytku ostatnia, dwudziesta kondygnacja, dwieście metrów pod poziomem Wisły, odporna na uderzenie jądrowe o mocy 20 megaton.

Śmigłowiec wylądował dokładnie w centrum białego pola, trzydzieści metrów od pawilonu XI, stanowiącego wylot głównego szybu windowego. Pilot nie wyłączył silnika i natychmiast po wypróżnieniu się z pasażerów śmigłowiec odleciał.

- Ausweiss, bitte - zażądał wartownik strzegący wejścia do windy.

- President Kwaśniewski and the government - wyjaśnił generał Szumski po angielsku.

- Jawohl, Herr General - wartownik zasalutował, a następnie odwrócił się i wystukał właściwy kod na polu cyfrowym numerycznego zamka.

- Czy koniecznie Bundeswehra musi pełnić służbę wartowniczą? - już w windzie prezydent dał wyraz swojemu zdziwieniu.

- Niech się pan nie martwi, panie prezydencie, może nie zwrócił pan uwagi, ale szeregowy, o ile pamiętam z plakietki, Helmut, miał nasz sygnet ze wzmacniaczem. Oni tu wszyscy już byli na przepustce po 30 kwietnia i teraz dadzą się pokroić... - generał Szumski nie zdołał dokończyć.

- Niech mi pan bajek nie opowiada, że za moje bezpieczeństwo... - powiedział

prezydent podniesionym tonem.

- Chciałem powiedzieć: za to, by nadajnik pracował nadal, przerwał mi pan, w każdym razie w tej chwili nasi Niemcy z NATO nie słuchają już rozkazów ani z Brukseli, ani z Berlina, a po służbie szwargoczą tylko o... wie pan o czym... No a o to chyba nam chodziło w podoperacji „Sygnet”. A i oczywiście do siebie za diabła wracać nie chcą, bo na demarkacyjnej linii Odry jest teraz po zachodniej stronie blokada. Union Policaj prędzej przepuści tonę kokainy niż pozwoli komuś wjechać ze wzmacniaczem na teren Unii.

Winda z prezydentem i szefem sztabu osiągnęła minus dwudziesty poziom w momencie, kiedy dwieście metrów wyżej upychanie rządu w dwie pozostałe windy dopiero się zakończyło. Kiedy drzwi się rozsunęły, Aleksander Kwaśniewski zobaczył trzy wyprężone na baczność postacie. Byli to generałowie: Młodziejowski, Bielecki i von Moldtke - głównodowodzący Wschodniej Flanki Paktu

Północnoatlantyckiego. Kwaśniewski z ulgą dostrzegł refleks odbitego światła jarzeniówek na małym złotym krążku opasującym palec wskazujący generała von Moldtke.

Ślubnej obrączki chyba nawet Niemcy nie noszą na palcu wskazującym, to musi być wzmacniacz - upewniał się w duchu prezydent Kwaśniewski, bo w tym momencie pytać Szumskiego już nie wypadało.

- Spoczniej. Dzień dobry panowie, nie róbmy ceregieli - Kwaśniewski starał się wprowadzić luźniejszą atmosferę.

- Guten Morgen, Herr President, sorry bat aj hew wery ardzent kłorel fiz Berlin on łajn - powiedział północnoatlantyckim dialektem Hans von Moldtke, a następnie jako pierwszy uściśnął dłoń prezydenta i oddalił się w kierunku odłożonej słuchawki satelitarnej. Po sekundzie z tamtego kierunku słycać już było tylko:

- Halt mai die Luft an!... Scheiße. Verfluchte Drecksau! Der Schlag soli dich treffen Kapitalistischer Blutsauger.

Prezydent spojrzał pytająco na generałów Młodziejowskiego i Bieleckiego.

- Zdegradowali go do stopnia kaprała za zdradę NATO i popieranie KPN-u - pospieszył z wyjaśnieniami dowódca Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych, a jednocześnie wybitny specjalista w dziedzinie sądowej identyfikacji zwłok, generał Bronisław Młodziejowski.

- Panie prezydencie, jest zła wiadomość... Wilecki właśnie zajął Centrum. Mamy obraz z mikrokamery zainstalowanej na Marriotcie. Czterdzieści czołgów magnetycznych<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Czołg magnetyczny - ciężkozbrojny pojazd bojowy unoszący się w polu magnetycznym Ziemi dzięki zastosowaniu nadprzewodzącej antypoduszki magnetycznej o mocy przyspieszenia pionowego 1120 m/s<sup>2</sup>/kg - (por. turbolot 5-10 m/s<sup>2</sup>/kg).

wisi już przed Pałacem - generał Bielecki zmienił temat na bardziej istotny.

- Dlaczego był tylko mój helikopter? Cholera jasna, dlaczego nie ewakuowaliście posłów z Pałacu? - ton głosu prezydenta zdradzał wewnętrzną irytację.

- Panie prezydencie, nocą był sabotaż na lotnisku w Modlinie, może za dwie-trzy godziny uda się naprawić instalację elektryczną w sześciu, no może nawet w ośmiu Huzarach.

- Co się, do cholery, dzieje, a gdzie nasze czołgi, panie Szumski? Pan miał ubezpieczać militarnie całą naszą ustrojową transformację, a ja widzę, że jest burdel, a nie ubezpieczenie! - Kwaśniewski tracił panowanie nad sobą.

Generał Szumski również podniósł głos:

- Przepraszam, drugi raz to dzisiaj mówię, ale powtórzę i trzeci. Ja ostrzegałem, żeby nie rozprowadzać tych odznak piętnastolecia Trzeciej Rzeczypospolitej! Naszych czołgów nie ma co wyprowadzać, bo Wilecki wystrzela je jak kaczki.

- Co pan pieprzy, przecież dzięki tym odznakom z M--wzmacniaczami wszyscy żołnierze mieli być lojalni.

- I są, zginą za pana, ale jeść mięsa ani strzelać do ludzi nie będą.

- Jakiego mięsa, co pan bredzi... - prezydent był w takim szoku, że już wyraźnie siadały mu nerwy, a repertuar dobrych manier wyczerpywał się. - Jak to? Wojsko odmawia użycia broni w razie potrzeby?

- Czytał pan chyba moje sprawozdanie o protestach w stołówkach - głos generała Szumskiego był stanowczy.

- Nic takiego nie dostałem. O czym pan mówi?

- O tym, że już 1 maja zaczęło się wydłubywanie kielbasy z grochówki.

- Kurwa mać, ja zwariuję, o czym pan mówi?

- O nastrojach w wojsku - jadowicie zimnym tonem wyjaśniał generał Szumski. - 1 maja żołnierze spontanicznie zaczęli sobie uświadamiać, że kielbasa to zmielone z tłuszczem mięśnie zwierząt, które były żywe. I zaczęło się wydłubywanie albo masowe rzyganie.

Prezydent pojął problem, złapał za oparcie stojącego w pobliżu krzesła, przysunął je i usiadł.

- Przepraszam, muszę usiąść. Więc jak się domyślam,

- Czy naprawdę nie mogliście rozładowywać napięcia, na mniejszej liczbie... albo w ogóle symbolicznie, jakieś mniejsze te ptaki rzeźbić...

---

Prędkość maksymalna 230 km/h. Nad samolotami myśliwskimi góruje grubością pancerza oraz możliwością operowania z małą prędkością na niskim pułapie. Idealny do walki w mieście. Uzbrojenie standardowe: działo laserowe o mocy 52 MW. Na wyposażeniu WP od jesieni 2003 roku.

Osłonka zrobił głupią minę.

- Jak to mniejsze, przecież kormoran wiadomo, jaki jest, jakby małego wyrzeźbić, to by tak nie wkurwiał jak normalny i ulgi by nie było.

- No tak, to pewnie dlatego też rzeźbicie całe stada, bo was tu wkurwia cała populacja kormoranów, a nie jakieś pojedyncze sztuki.

Osłonka poczuł się niezbyt pewnie, słysząc słowo „populacja”, ale na wszelki wypadek zaproponował:

- Nie, nie, Jezu... Bo to tak teraz jest, ministrze Marianie, każdy ma jakieś te swoje potrzeby, nie? Jeść przecież trzeba... a jak ja wchodzę albo ktoś do spożywczego, no i wybieram tak jak wedle tej zasady o potrzebach... ale przecież to było mówione w telewizji i prezydent prosił, żeby jak się bierze, to dawać z siebie wedle tych możliwości... A ja byłem rybak, a co teraz... No to jak wyrzeźbię sto kormoranów, to ja wiem, że już więcej nie mogę i sumienie mam czyste, i mogę w spożywczym z podniesionym czołem sięgnąć i po chleb, i po mleko, i jakieś ciasteczka dla dzieciaków, a jak kiedyś dwieście mi się w tydzień udało, to nową lodówkę wziąłem...

Teraz Marian rozumiał cały złożony problem społeczny Kątów Rybackich. Minister MZK mało się nie złapał za głowę, że zasada: „Od każdego według jego możliwości, każdemu wedle potrzeb”, że ta najświętsza zasada komunistycznego ustroju może zaprocentować górą potłuczonych gipsowych kormoranów. Oj, będzie trzeba pogadać z kolegą Leszkiem Millerem, żeby wezwał na dywanik kilku funkcjonariuszy z terenowej komórki PSL-u w Kątach. Ewidentnie opieka psychiatryczna w tej miejscowości kulała na wszystkie cztery kopyta. Marian nie powstrzymał się, żeby nie zapytać rybaka o tę opiekę:

- A rozmawialiście z PSL-em może o tym całym problemie kormoranów?

- A bo to oni mają czas rozmawiać... Rzeźbią teraz, bo mają termin tłuczenia na przyszły tydzień.

Minister Marian Mewa nie miał już więcej pytań.

Za kościołem rządowy konwój skręcił w lewo w piaszczystą drogę biegnącą między domkami kempingowymi. Las porastający wydmy już było widać. Z daleka zdawało się, że na zielonych igłach sosen osadziła się śnieżna szadz.

Szczepan Osłonka domyślił się, o czym teraz дума minister i uprzedził pytanie.

- Tu jeszcze nie gniazdują, za blisko ludzi. Tu to tylko przyleci, nasra i odleci zaraz... to są jeszcze igły na tych sosnach. Zobacz minister za tymi wydmami.

Turboloty wleciały w las. Droga biegnąca sztucznym wąwozem pomiędzy porośniętymi wydmami zakręcała lekko. Pochylające się nad drogą sosny dawały gęsty cień. I

nagle z góry buchnęło światło... Powykręcane kikuty wysuszonych gałęzi nie były w stanie przesłonić jasności lipcowego nieba. Marian Mewa gwałtownie nacisnął pedał dysz hamujących, biały tuman piaszczystego pyłu zakotłował się przed maską, na chwilę przesłaniając widok jak z katastroficznego filmu. Z nagich konarów zwisały stalaktyty jakiejś białej substancji. Również cała ziemia pod tymi „cieniami” drzew była pokryta białą skorupą. Można było pomyśleć, że jakiś trujący biały deszcz zamienił ten las w krainę upiorów.

- O, to ich gniazda - Osłonka pokazał palcem wielkie mniej lub bardziej owalne formy poprzyczepiane gęsto na ogołoconych z igieł gałęziach.

- Ale nie widzę ptaków - zdziwił się Marian Mewa.

- O, ministrze, ja mówiłem, to cwane sukinsyny są. A pan chciałby mieszkać w ubikacji? Kormoran jak człowiek, tyle że wody po sobie nie spuszcza. Tu srały dwa lata temu. Teraz są tam, dwa kilometry w prawo, stąd nie widać... Zaczęły las na Mierzei Wiślanej, stamtąd mają bliżej na ryby do Zalewu Wiślanego. Ale i rybek coraz mniej, i mniej, to może jak wszystko zeżrą, to zdechną z głodu. Ale rybek szkoda... To co, chce pan zobaczyć ptaszki? Tylko to trzeba piechotą...

- Nie, dziękuję - stanowczy ton Mariana Mewy zwiastował, że minister już podjął słuszną decyzję. - Przepraszam, muszę zadzwonić do Warszawy.

Marian Mewa wyjął z kieszeni wideofon i nacisnął pamięć numeru.

- Cześć, Leszek - na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz ministra Komunalizacji Spraw Wewnętrznych.

- ...

- Tak, poniosło mnie do Kątów Rybackich - odpowiedział Marian.

- ...

- Tak, leżę na leżaczku i wypoczywam, zobacz, jak mam tu pięknie... Las, ptaszki śpiewają - Marian odwrócił mikrokamerę wideofonu od swojej twarzy i powiódł jej obiektywem po cmentarzysku drzew.

- ...

- Fajnie, nie? Słuchaj, daj mi tu chłopaków z KKK... No, resztę tych, co ich nie posłałeś do Korei.

- ...

- Tak, mogą być też ci, co wrócili, odstresują się trochę... Mają doświadczenie, a tu też będzie mała wojna... Tak, z lekkim sprzętem.

- ...

Szczepan Osłonka, słysząc nazwę legendarnego Komanda Klubu Kibica złożonego z



nieustraszonych członków dawniej zwalczających się klubów: Legii, Widzewa, Lecha, Lechii, ŁKS-u i Szombierek Bytom - słysząc tę nazwę, stary rybak zbladł. Ci nigdy nie noszący M--wzmacniaczy komandosi stanowili żywą rezerwę agresji mogącej służyć państwu polskiemu wszędzie tam, gdzie potęga defensywnej broni S okazałaby się niewystarczająca.

- ...

- Nie, piły do drewna... Leszek, tu nie chodzi o karczowanie suchego lasu. Trzeba tylko wybić ze czterdzieści tysięcy kormoranów.

- ...

- Tak, dobrze się czuję... Wytłumaczę ci, jak przyjadę...

- ...

- Tak, ja za to odpowiadam.

- ...

- W lesie na Mierzei Wiślanej... Dość wysoko mają gniazda pewnie...

- ...

- Las ma zostać... Tak, Kąty Rybackie też mają zostać... Tak, takie, jak były. Chodzi tylko o kormorany...

- ...

- Leszek, mówię ci wyraźnie... Nie to, że gdzie drwa rąbią, to wióry lecą... Tylko bez takich... Kąty Rybackie zostają. Kormorany aut: wbij im to w te łyse łby.

- ...

- Czym? Masz metody. Postraszyć ich czterdziestoma ośmioma godzinami w komorze S.

- ...

- No to cześć.

Marian Mewa wyłączył wideofon i spojrzał rybakowi w oczy:

- Za trzy dni nie będzie ani jednego. Zamiast tłuc, będziecie mogli poprzyklejać te wasze rzeźby do gałęzi. Na pewno nie będą srały.

Osłonka jakoś się nie ucieszył.

- Może chociaż parkę zostawić, takie dwa żywe to dużo nie nasrają. Bo tak wszystkie, to szkoda. Tyle tu były. Zawsze. I socjalizm zniósł, i wolny rynek, i teraz w komunie by ich tak... to jakoś nie można całkiem.

- Panie Osłonka, ja chyba wrócę do Warszawy, wezmę gipsu i pana sobie wyrzeźbię... I wyrzucę przez okno. Przecież jak parkę się zostawi, to za trzy lata gipsu dla was zabraknie w tym kraju.

- Ministrze Marianie, z parki przez trzy lata dużo się nie wylęgnie... Zostawmy parkę!

- Osłonka błagalnie spojrział na Mariana.

- Panie Osłonka, ja mam inny pomysł - zmiękczone tym spojrzeniem minister MZK znowu chwycił za wideofon.

- Numer do IGK, proszę... Instytut Genetyki Komunalnej. Tak. Dziękuję.

Marian Mewa znowu nacisnął kilka klawiszy.

- Naprzód z komuną. Mewa z tej strony, kto się u was zajmuje drobiowaniem roślin?

- ...

- Profesor Walendziak, tak?

- ...

- To poproszę.

- ...

- W Instytucie Matki i Dziecka jest teraz?

- ...

- Dobrze, nie będę go szukał.

- ...

- To niech pani połączy z zastępcą.

- ...

- Doktor Mędzak? Tak, czekam.

Minister MZK kilka sekund patrzył niewidzącym wzrokiem na wymarły las.

- Przód z komuną. Mewa z tej strony.

- ...

- Tak, z ministerstwa.

- ...

- Tak, Marian Mewa.

- ...

- Tak się składa, że jestem ministrem...

- ...

- Niech pan mnie nie przeprasza, na czterdzieści milionów Polaków ktoś może nie wiedzieć. Dzwonię w dość ważnej sprawie. Czy program drobiowania ziemniaka macie już ukończony?

- ...

- A kiedy...

- ...

- Nie, do działu wieprzowienia kaktusa nie będę dzwonił.

- ...

- Wiem, że skończyli rok temu, ale ja dzwonię w sprawie czarnego kormorana, a to jest chyba bardziej podobne do kury niż do świni.

- ...

- No właśnie. Podstawowe pytanie, macie DNA?

- ...

- Dzwonię z Kątów Rybackich, tu mają problem z za-defekowaniem lasów przez kormorany.

- ...

- Nie zainfekowaniem kormoranów tylko kormorany tu zasrywają cały las.

- ...

- Tak, właśnie, ptasie gówno wypala drzewa.

- ...

- Zgadza się i coś trzeba z tym zrobić. Pytam jeszcze raz, czy macie DNA?

- ...

- Nie, ja po drzewach łąził nie będę.

- ...

- Pióro może być?

- ...

- Ja chcę od pana prostej rzeczy: ma nie srać i nie żreć ryb!

- ...

- Jak to, się nie da?

- ...

- Wymyślcie coś!

- ...

- Ja mam wymyśleć, co ma żreć?

- ...

Marian Mewa spojrział w niebo, jakby stamtąd miała nadejść odpowiedź, ale nie przyszła z nieba - przed wewnętrznym ekranem pamięci minister MZK ujrzał hałdę gipsowego gruzu przed Centrum Rozdawnictwa w Kątach Rybackich, ujrzał też oczyma duszy bezrybne wody Zalewu Wiślanego...

- Niech żrą gips i srają ikrą łososia!!!

\*\*\*

Roman, siedząc na ruinach wieży poniemieckiego stanowiska dowodzenia, próbował rozkoszować się widokiem pustyni oświetlanej promieniami zachodzącego słońca. Okazałe kandelabry dwu-trzymetrowych kaktusów rzucały kilkunastometrowe cienie tnące grubymi krechami purpurową o tej porze powierzchnię piasku. Od strony Chechła pustynia tchnęła już ciszą i spokojem. Jedyne zza krzaczastej zasłony zarośli ciągnących się wzdłuż korytarza Białej Przemszy dobiegał ledwie słyszalny szcęk kombajnów pracujących jeszcze w części pustyni uprawianej przez wspólnotę Błędów.

Znowu dziś Chechło było pierwsze - pomyślał z satysfakcją Roman, lecz ta myśl tylko na moment poprawiła mu humor. Co chwila podświadomość szesnastoletniego młodzieńca wyrzucała mu na powierzchnię świadomości ten sam obraz: Julia, czternastoletnia córka Józefa Ślimaka, podaje Romanowi porcelanowy kubeczek i Roman wciąż i wciąż słyszy jej słodki głos: „Świeżutkie, spróbuj, pewnie dawno nie piłeś...”

Lecz Roman nie chciał myśleć o zawartości tego kubeczka, tak więc ilekroć ten natrętny obraz wracał, Roman jeszcze intensywniej wpatrywał się przed siebie, jakby chciał tym oglądanym piaskiem przysypać „wyrzut z gej-zera podświadomości”. I trzeba przyznać, że prawie się Romanowi ta psychologiczna sztuczka udawała. Bo patrząc na Pustynię Błędowską, można było łatwo zapomnieć o bieżących problemach, wywołując w wyobraźni sceny z opowiadań dziadka Zdzisia. Oto z tej wieży, z której dziś, 15 lipca 2006 roku spogląda Roman, bez mała 66 lat temu w sierpniowy upalny dzień 1940 roku generał Erwin Rommel obserwował manewrującą na pełnym gazie kompanię czołgów Panzer IV. To właśnie wtedy dwa czołgi wypadły z szyku i zakręciwszy się w miejscu znieruchomiały. Wysiadła wentylacja. Od 1941 roku na piaskach Pustyni Błędowskiej szkolili się z kolei dowódcy czołgów przeznaczonych „na wysyłkę” do Afryki Północnej w ramach Afrika Korps. W 1943 roku na Pustyni Błędowskiej niemieckie Pantery i Tygrysy przestrzeliwały nowe działa, ostrząc pazury na bitwę pod Kurskiem, a 17 stycznia 1945 roku w okolicach pustyni pojawił się patrol czerwonoarmistów z działkiem przeciwpancernym zaprzęgniętym w dwa konie. Jeśli chodzi o ten ruski patrol, to dziadek Zdzisio dosyć dobrze, mimo wszystko, zapamiętał część tego radosnego wydarzenia, bo akurat wtedy był u wujka w sąsiedniej miejscowości Klucze i u tegoż wujka osobiście uczestniczył w powitaniu czerwonoarmistów. Jego osobiste uczestnictwo polegało na tym, że korzystając z ogólnego zamieszania, Zdzisio po raz pierwszy w życiu wychylił wzorem wyzwolicieli podwędzoną ze stołu szklankę spirytusu, a kiedy trzy dni później dziadek obudził się w domu w Chechle po otrzymaniu manta od pradziadka, dowiedział się przy okazji, że ci Ruscy, z którymi dziesięcioletni dziadek Zdzisio pił, już nie żyją. Bynajmniej problem nie leżał w tym, że

powitalny spirytus wuja był metylowy. Czerwonoarmiści polegli przez alkohol tylko pośrednio. Traf chciał, że 17 stycznia w okolicę Kluczy zaplątało się również siedem wycofujących się właśnie niemieckich dział szturmowych. Patrol czerwono-armistów, który, będąc w stanie „popowitalnym”, rzucił się do obrony swojego działka, nie miał szans.

Za socjalizmu na Pustyni Błędowskiej był rezerwat przyrody chroniący fatamorgany, ruchome wydmy piaskowe oraz poligon wojskowy. A potem dzięki wzrastającemu uprzemysłowieniu naszego kraju nawiewane ze Śląska żyzne pyły osiadły na piaskach grubą warstwą, sprawiając, że fatamorgany znikły jak fatamorgana, a jałowa pustynia zamieniła się w tętniący życiem karłowaty lasek brzoźek i sosenek. No, może nie cała pustynia. Ocalały kilkuhektarowy spłachetek piaszczystego stepu w ciężkich latach 2001-2004, kiedy Unia Europejska jednym ruchem swojej macki poderżnęła ekonomiczne podstawy bytu rolniczej ludności Chechła, ten piaszczysty spłachetek uratował Chechło od całkowitego wyludnienia. Dwie trzecie rolników nie wytrzymało presji ekonomicznej i w swoich unijnych drzymałowozach opuściło piasek praojców, udając się na niepewną tułaczkę do Lepper City. Jednak jedna trzecia nie poddała się - w tym ojciec Romana, Romuald Madeja i ojciec Julii, Józef Ślimak. Ci desperaci wyprzedali wszystko, co niepotrzebne już było do nieopłacalnej produkcji rolnej: traktory, siewniki, glebogryzarki, brony, grabie, motyki - wszystko. Za uzyskane pieniądze wiosną 2002 udało się im na licytacji odkupić od zbankrutowanego wrocławskiego zoo małe stado wielbłądów. Latem 2002 roku zjeżdżające licznie grupy turystyczne polskich Niemców (którzy dzięki Unii Polski z Europą odzyskali swoje gospodarstwa na Pomorzu i Śląsku) mogły na wielbłądach przemierzać te same pustynne szlaki, które przed sześćdziesięciu laty ich dziadkowie przemierzali na gąsienicach. Z tej ekoturystyki szlakami pamięci, swetrów z wielbłądziej wełny, pamiątkowych łusek po pociskach wykopanych na pustyni - Chechło ledwo-ledwo, ale wyżyło do wiosny 2005 roku. Bo wiosną 2005 roku na Pustynię Błędowską znów wpełzły gąsienice. Przez cały miesiąc oniemiała z podziwu chechłacze patrzyli, jak olbrzymie spychacze oczyszczają pustynię z trawy, lasku i płytkiej gleby pyłowo-przemysłowej. A potem przed kościółkiem w Chechle ukazał się były minister kultury i sztuki, a zarazem aktualny minister rolnictwa komunalnego Zdzisław Podkański wysiadający z czarnego rządowego turbolotu. I wtedy po raz pierwszy z ust ministra poganiacze wielbłądów, byli rolnicy, usłyszeli pamiętne dwa słowa: „wieprzak kolczasty”. A potem minister rozwinął swoją wypowiedź i mieszkańcy Chechła dowiedzieli się, że wieprzak kolczasty to ni mniej, ni więcej tylko *gigantocactus musculus* - wielki kaktus mięsny, będący szczytowym osiągnięciem myśli naukowej pracowników Instytutu Agrogenetyki Komunalnej. Na twarzach rolników odmalował się wtedy taki wyraz podziwu i

zdumienia, że minister Zdzisław Podkański, sam były rolnik, poczuł, że sprawę trzeba wyjaśnić bez uciekania się do naukowej paplaniny:

- Wieprzak kolczasty to skrzyżowanie świni z kaktusem, i tyle. Rośnie najlepiej na jałowej glebie, a wody potrzebuje niewiele. O, popatrzcie, to jest wieprzak z poletka doświadczalnego Instytutu Agrogenetyki Komunalnej. O, przekroję go. Patrzcie, ta wierzchnia zielona warstwa pod wpływem słońca zamienia dwutlenek węgla, co jest w powietrzu, i parę wodną na ten soczysty miąższ, co jest w środku... O, widzicie, ludzie, do złudzenia przypomina polędwicę.

Funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu błyskawicznie rozstawili ogrodowego grilla i każdy niewierny Tomasz miał szansę odkroić sobie z wyhodowanego na poletku doświadczalnym IAK kaktusa gruby plaster steku. Podczas gdy to smakowite roślinne mięso brązowało nad żarem, roztaczając wonie porażające nawet najbardziej zatwardziały sceptycyzm, minister Podkański roztaczał przed rolnikami nowe perspektywy: magnetyczne kombajny do zbioru przyrostów wieprzaka, centrum rozdawnictwa towarów, serduszka M-wzmacniaczy (które do Chechła jeszcze nie dotarły), przyzagrodowe baseny. Warunek był jeden - wspólna uprawa. I wtedy nastąpił zgrzyt. Józef Ślimak wysunął się przed krąg ludzi opiekających steki i kopnął grilla w nogę tak, że cały żar zmieszany z nie dopieczonym kaktusem omal nie spalił ministrowi butów.

- Co chujas owijas bawełną, zanim nam go wsadzisz w dupę! Mów od razu, czerwony kutasie, że kołchoz chcesz założyć, a nie pierdol od rzeczy o kaktusach - te słowa hardego rolnika sparzyły ministra bardziej niż skwierczący płat kaktusa, który przylepił się Zdzisławowi Podkańskiemu do nogawki spodni. Rolników jakby piorun poraził. Słowo „kołchoz” miało magiczną moc. O przyjęciu serduszek M-wzmacniaczy nawet słyszeć nie chcieli. We wsi na temat tych wzmacniaczy już od czerwca 2004 roku krążyły sprzeczne opinie w zależności od tego, czy ktoś słuchał telewizora, czy pirackiej radiostacji ojca Rydzyka.

Po tym jak Józef Ślimak wyrzekł swoje zaklęcie, wszyscy nagle stanęli okoniem:

- Lepiej mieć w rodzinie jednego wielbłąda żywiciela, niż wspólnie udławić się kaktusami - szemrano w tłumie. I nagle zdarzył się cud. Z kościoła wyszedł wszystkim dobrze znany ksiądz proboszcz Janeczek, niosąc na lewym przedramieniu naręczce różańców. Grzecznie przywitał się z ministrem Podkańskim, a potem zwrócił się do zdziwionych tym gestem parafian:

- Moi drodzy, ja się w politykę nie lubię mieszać, ale, najdrożsi, popełniacie chyba duży błąd. Proszę was, żebyśmy wspólnie z Panem Bogiem się zastanowili nad decyzją.

Rozdam wam po różańcu i zapraszam do kościoła. Pana ministra też.

- Z komuchami ksiądz trzyma? Za głupich ksiądz nas ma, w telewizji mówili, że w tych różańcach są nadajniki czy coś.

Ksiądz uniósł wysoko jeden z różańców.

- Popatrzcie moi drodzy, to jest mój różaniec, dostałem go w Kurii w maju zeszłego roku i co, zamieniłem się w diabła?

Parafianom księdza Janeczka zmiękły rysy. Faktycznie, od maja zeszłego roku ksiądz jakby zmienił się - w ogóle przestał przyjmować kartki<sup>2</sup> za pogrzeby czy śluby, a gdy po kolędzie zaszedł, to nic nie wziął, a że w jedynym wioskowym sklepiu komercyjnym wszystko było na kartki, parafianie, chcąc nie chcąc, od momentu, kiedy ksiądz Janeczek zemdlął z głodu w czasie mszy, zaczęli mu przynosić jedzenie.

Byli co prawda tacy, co mówili, że nie z głodu, tylko od tego, że Jagna Ślimakowa przyszła na mszę w krótkiej kiece. Może i była w tym część prawdy, bo od wygłodzenia człowiek robi się przecież nadpobudliwy. A ksiądz przecież też jest człowiekiem. Fakt faktem, że niektóre kobiety w Chechle zwróciły uwagę, że od maja zeszłego roku ksiądz Janeczek jakoś tak dziwnie na nie patrzy, to znaczy nie patrzy na nie, bo widząc którąkolwiek z parafianek przyginał się, jakby go brzuch zabolął, a potem natychmiast uciekał oczyma ku niebiosom i nawet rozmawiając, błędził wzrokiem po chmurach, jakby liczył anioły albo wypatrywał znaku Bożego. Szczególnie często przytrafiało się księdzu takie zachowanie, gdy miał różaniec w ręku. Ale to nieznaczące dziwactwo, które napadło księdza Janeczka od maja 2005 roku było niczym w zestawieniu z jego nową „polityką finansową”. Tak więc ogólnie autorytet księdza znacznie urósł przez ten rok.

Ludzie już chcieli sięgać po różańce, kiedy Ślimak, stając tyłem do księdza, zastąpił im drogę i zaczął bluźnić:

- Co telewizora, kurwa, nie macie, nie widzieliście, co miastowi robią, a i po wsiach, gdzie tę zarazę komuna posiała, jeden drugiemu żonę pierdoli. Ślepi jesteście... Przecież księdza aż skręca, żeby legalnie do waszych bab się dobrać. Po to rozdaje te różańce.

- Jezusie, ludzie, w naszego ksindza djabel wliz! - skrzekliwie wrzasnęła stara Gębalowa.

---

<sup>2</sup> Kartki (Powszechne Świadcstwa Użyteczności) po likwidacji w lipcu 2004 r. rozliczeń pieniężnych tymczasowo wprowadzone bony stanowiące ekwiwalent wykonanej na rzecz KPN-u użytecznej pracy. Nominały: 1; 5; 10; 50 i 100 PSU; 1 PSU = 10 roboczogodzin. PSU uprawnia każdą osobę nie noszącą M-wzmacniacza do wstępu do każdego punktu rozdawnictwa komunalnego lub do tymczasowego sklepu komercyjnego i pobrania towaru w ilości adekwatnej do posiadanych świadectw (Monitor Kom. nr 2/2004). Przydział PSU dla turystów spoza KPN-u regulują odrębne przepisy (Monitor Kom. nr 5/2004).

- Irka, nie wyrzaskuj tutaj. Czego się boisz, próchna to i diabeł nie rżnie - fuknęła na Gębalowa dwudziesto-siedmioletnia stara panna Anusia Fęcak.

- A ty byś piersa kiece zadarła - Bogna Dudniakowa naskoczyła z kolei na Anusię.

Na te babskie sprzeczki nałożyły się i inne głosy: „Żydzi w Izraelu produkowali te różańce”, „Wiarę naszą zniszczyć”, „Ksiądz Janeczek Żyd”, „Komunista”, „Kwaśniewski Żyd”, „Dobrze mówił ojciec Rydzyk w Radiu Wolna Maryja, to Żydzi wszystko”, „Precz z Żydami”, „Zabrać radio Żydom”, „Oddać Program I ojcu Rydzykowi”...

- Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą, co mówią - ksiądz Janeczek zdruzgotany tym widowiskiem wznosił oczy ku niebu. Tłumek uspokoił się nieco. Jeden ksiądz Janeczek, ale w trzech osobach: diabła, Żyda i komunisty, cytujący słowa Jezusa Chrystusa to było trochę za dużo surrealizmu, żeby go nawet bardzo rozwinięty chłopski rozum mógł objąć bez chwili namysłu. Tę chwilę namysłu i ciszy ksiądz Janeczek wykorzystał, żeby przejść do kontrofensywy.

- Moi drodzy, wiecie, gdzie jest wzmacniacz uczuć? O tu, na tym złączeniu - ksiądz pokazał spinający różaniec trójkącik z obrazkiem Jana Pawła II - a krzyżyk z Jezusem jest tu: pięć centymetrów od tego wzmacniacza. Kochani, pomyślcie, czy jeśli ten wzmacniacz byłby mieszkaniem szatana, czy Jezus wytrzymałby długo to towarzystwo? No, pomyślcie sami, czy w Bożej mocy nie jest, by się te wszystkie różańce porozrywały w jednej chwili? A przecież nie rozrywają się... Bo tu żadnego szatana nie ma, tylko urządzenie wymyślone przez mądrych ludzi dla ludzi, by bliźniemu, tak jak chciał Jezus, łatwiej było kochać bliźniego...

- ... i pierdolić cudze żony - Ślimak bezczelnie wpadł księdzu w słowo, a następnie splunął, odwrócił się i łokciami wyrąbał sobie drogę przez całe zbiegowisko.

A propos tych nieszczęsnych żon ksiądz Janeczek już, już chciał powiedzieć, że jest przecież powiedziane w Piśmie: „...nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, lecz będą jak aniołowie Boży w niebie”. (Mateusz 22,30). Nie zdążył. Minister Podkański (który zacichł na kilka minut, nie chcąc się wtrącać w sprawy duszpasterskie), teraz nagle zniecierpliwiał się i przypomniał o swojej obecności:

- Jeśli nie chcecie uprawiać wspólnie Pustyni, to całe środki przesuniemy na Błędów, tam bardzo chętnie wzięli wzmacniacze. Mieli gospodarować do linii Białej Prze-mszy, ale jeśli nie chcecie, to mogą na całości. Poza tym przypominam, że jak tu będą chodziły kombajny do zbioru wieprzaka, to ze względów BHP nie ma mowy o przejazdówkach wielbłądów. Ale oczywiście możecie w Chechle założyć cyrk... Jest pełna wolność w KPN-ie.

Po tych słowach ministra na ludzi jakby Duch Święty zstąpił. Różańce poszły jak świeże bułeczki, serduszka na łańcuszkach, które przywiózł minister też.



Nie minęło półtora roku i Roman mógł z ulubionego punktu widokowego rozkoszować się obrazem pola kaktusów dających już czterysta kwintali z hektara miesięcznie w miesiącach maksymalnych przyrostów letnich i po dwieście kwintali w maju i wrześniu. Tegoroczne plony były już o 45% wyższe od pierwszych plonów zeszłorocznych. Roman w szkole uczęszczał na kółko rolnicze i kilka dni temu uzyskał ocenę bardzo dobrą za komputerową aproksymację terminu, w którym przy zachowaniu obecnego wskaźnika przyrostu przyrostów miesięcznych Chechło będzie w stanie wyżywić całą Unię Europejską cierpiącą na niedobory żywności z powodu choroby szalonych krów, świńskiego pomoru i padaczki kurcząt. Jednak 15 lipca 2006 roku o godzinie 20.33 ta bardzo dobra ocena z kółka rolniczego nie cieszyła już Romana. Zmrok przykrywał pustynię i również jej widok tracił stopniowo moc przeganiania upiornych obrazów rzucanych przez pamięć na ekran świadomości. Roman znowu widzi w rękach swojej ukochanej Julii ten porcelanowy kubeczek i jego koszmarną zawartość - mleko krowie. Roman wiedział, że powinien o tym zameldować w najbliższym posterunku PSL-u (mieszczącym się w sąsiadujących z Chechłem Kluczach). Ale Roman jednocześnie słyszy w wyobraźni to zdanie, które Julia wypowiedziała ufnym, pozbawionym jakiegokolwiek poczucia winy głosem: „Świeżutkie, spróbuj, pewnie dawno nie piłeś”. Przecież skoro jej ojciec, Józef Ślimak, jest zdolny do dręczenia krowy poprzez wymuszanie u zwierzęcia nadmiernej laktacji poza okresem cielenia, to byłby pewnie też zdolny skatować swoją córkę za to, że zdradziła jego sadystyczne praktyki, przynosząc Romanowi kubek mleka. Odkąd we wrześniu 2004 roku w KPN-ie obowiązek szkolny został nareszcie zniesiony, Ślimak przestał posyłać dzieci do szkoły, tak więc Julia, nie chodząc na kółko rolnicze, najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, czym dla krowy jest „sztucznie wywoływana nadmierna laktacja”. Ale Roman wiedział. Widział na Kółku animację komputerową tego koszmaru. Widział, jak we wnętrzu krowiego wymienia komórki puchną, a potem gwałtownie rozrywają się w procesie apoptozy - tłuszcz, szczątki błony, wyciek plazmy komórkowej i rozbite na kawałki jądra - to właśnie mleko. Jeszcze trzy lata temu Roman nieświadomie też pijał krowie mleko od czasu do czasu. Ale obecnie dręczenie zwierząt poza okresem cielenia nie ma najmniejszego sensu, bo przecież najsmaczniejsze i najbogatsze w witaminy mleko otrzymuje się poprzez emulgację pulpy drożdżowej w silosie kontaktowym. Józef Ślimak już rok temu dostał od Psychiatrycznej Służby Ludowej pierwsze ostrzeżenie, po tym jak zaprzął konia, żeby zaorać swoje wąskie, długie, piaszczyste poletko położone po drugiej stronie drogi, patrząc od strony pustyni. Dzięki interwencji PSL-u koń został uwolniony i wypuszczony do lasu. Lecz upór Ślimaka nie miał granic. Hardy chłop najpierw próbował zaprząć wielbłąda, ale kolejna interwencja Psychiatrycznej Służby

Ludowej uświadomiła mu, że jeżeli następnym krokiem będzie zaprzęgnięcie krowy, to następnym krokiem PSL-u będzie skierowanie Ślimaka na elektrowstrząsy aplikowane oczywiście pod narkozą, zgodnie z najwyższymi standardami psychiatrii współczesnej. Ślimak zaprzęgnął więc żonę, która wcześniej podpisała mu papier, że daje się zaprzęgnąć dobrowolnie, a raczej z miłości do męża. PSL był bezradny, bo w KPN-ie wolność jest najważniejsza. Tak więc podczas gdy po pustyni śmigwały nowoczesne kombajny magnetyczne ze znowu polskiego Ursusa, po zagonie Ślimaka dreptała Jagna Ślimakowa, ciągnąc za sobą zrobioną przez męża drewnianą sochę (żelazny pług został przecież sprzedany w celu zakupu wielbłąda). Podczas gdy każdy członek wspólnoty Chechło noszący M-wzmacniacz, miał prawo wejść do centrum rozdawnictwa i zgodnie z komunalnym sumieniem wybrać, co tylko mu potrzebne, Ślimak jeden jedyny musiał płacić kartkami uzyskanymi za dostarczanie do punktu skupu rzepaku, którym obsiał swój areał. Trzeba przyznać, że ze względu na gospodarczą blokadę KPN-u rzepak - niezbędny do produkcji oleju napędowego do turbolotów - miał przyzwoitą cenę stu PSU za kwintal; tak więc na krawędzi nędzy, ale jakoś tam gospodarczy skansen Ślimaka mógł egzystować. Kontrolerów PSL-u, co kwartał wizytujących zagrodę odszczepieńca, dziwiło tylko osobliwe hobby gospodarza. Ślimak od półtora roku hodował trzy świnię i krowę. Zawsze podczas kontroli zwierzęta wyglądały na zadbane, chodziły wolno po podwórku, a na szyjach miały kolorowe kokardy. Nie było się do czego przyczepić. Ślimak rutynowo podpisywał oświadczenie, że uznaje w zwierzętach godnego szacunku brata z innego gatunku oraz że zobowiązuje się do opieki nad hodowanymi zwierzętami bez wymuszania na nich jakichkolwiek świadczeń niezgodnych z ich wolą. No i właśnie dzisiaj rano, 15 lipca 2006 roku Roman widział na własne oczy dowód rzeczowy łamania tych zobowiązań. Ale czy informując PSL o tym nieszczęsnym kubku mleka, nie naraża Julii na fizyczną przemoc ze strony ojca, czy nie naraża zaufania i miłości ukochanej na zagładę? A z drugiej strony dobro krowy, u której pod Ślimakową presją pękają żywe komórki w wymieniu...

Bijąc się z myślami, Roman zeskoczył z wieży i ciągnąc nogę za nogą, powlókł się w kierunku domu. Było już prawie całkiem ciemno i Roman odruchowo wzdrygnął się, wchodząc na główną drogę, kiedy tuż pod samymi nogami przemknął mu jakiś nieregularny kształt. Kształt wyhamował dwadzieścia metrów dalej i obejrzał się. Mózg Romana, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, przypasował kształt do właściwego wzorca i szesnastoletnie serce ze stu osiemdziesięciu uderzeń na minutę zeszło z powrotem na sześćdziesiąt cztery.

- Wrzodak dobry pieseczek, chodź tu, malutki, co ty tam niesiesz, co piesku,

Wrzodaczku, no chodź, nie bój się. - Wrzodak, średniej wielkości prawie już dziesięcioletni kundelek został tak niezbyt ładnie nazwany przez mieszkańców Chechła bynajmniej nie ze względu na dermatologiczne zmiany na skórze. Piesek, mimo że bezpieczny, liszajów żadnych nie miał, za to wyróżniał się spośród innych wioskowych kundli wyjątkowo jazgotliwym szczekiem. Prawie dziesięć lat temu któryś z rolników, słuchając w Radiu Maryja bezpośredniej transmisji z wystąpienia Zygmunta Wrzodaka, nie dosłyszawszy (przez dobiegające zza okna psie ujadanie), jaki cel miały „różowe hieny polityczne z KOR-u, żerując na robotnikach, Kościele i Ojczyźnie”, postanowił uciszyć psa szczekającego głośniejszym niż nastawione na cały regulator Radio Maryja. Otworzył okno i pół Chechła usłyszało stek niewybrednych epitetów, zakończonych odruchowo sformułowaniem: „Spierdalaj stąd, hieno jedna, szczekliwy Wrzodaku ty”. Na psa obelga nie podziałała, dopiero oberwawszy kapciem, świeżo ochrzczony Wrzodak podkułił ogon i ze skowytym podreptał ujadać gdzie indziej.

- Wrzodak, co ty masz w tym pysku, chodź tu, no masz kijek - Roman widział, że pies ma w zębach jakąś torbę.

- Nie ruszaj się, malutki, dobry Wrzodaczek. - Pies stał na środku drogi i ani drgnął, więc Roman powoli, krok za krokiem zbliżał się do niego.

- Wrzodak, aport - Roman zaskoczył psa nagłą komendą i rzuceniem kija, co było zawsze dla Wrzodaka sygnałem do wyśmienitej zabawy. Pies dał się nabrać. Puścił torbę i pomknął w kierunku kija, który upadł w krzaki. Roman spokojnie podszedł do leżącej na drodze torby.

To nie była jednak torba, a ucho od torby nie było uchem plastikowym, tylko skórzanym świńskim uchem sterczącym z rozplątanego na pół świńskiego łba. Zwisające krwawe farfocle świadczyły o tym, że Wrzodak zdążył już się nieco posilić, równa krawędź przepołowionej czaszki świadczyła o użyciu potężnego masarskiego topora. Roman w tym wypadku nie miał już wątpliwości - trzeba koniecznie zawiadomić PSL. Zanim Wrzodak wrócił, niosąc kij w spienionym pysku, Roman, tłumiąc mdłości, złapał za wymamlane przez psa ucho dowodu rzeczowego i ruszył szybkim krokiem w kierunku Chechła. Jeśli to świnia Ślimaka, to wstrząsy elektryczne go nie miną... Wczoraj wydojona krowa, dzisiaj niewinna świnia, a jutro... - Roman nawet w myślach nie śmiał wypowiedzieć imienia swojej ukochanej.

\*\*\*

- ... czym jest człowiek? - wybitny ideolog postewolu-cjonizmu komunalnego, profesor Marek Hehłak (nominacja profesorska 16 stycznia 2005 roku) rozejrzał się po licznie

zgrupowanych w sali Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego słuchaczach, jakby szukał wśród nich geniusza zdolnego jednym zdaniem odpowiedzieć na to pytanie. Sala jednak tylko pokaszływała wyczekująco. Również obiektyw kamery telewizji komunalnej, rejestrującej cały cykl wykładów, nie miał zdania na temat człowieczeństwa człowieka. Profesor odwiesił głos - Arystoteles ujął to tak „Dwunogie zwierzę o nagiej skórze i płaskich paznokciach”. Ale już współcześni zarzucali Arystotelesowi, że do tej definicji pasuje również oskubany kogut z rozklepanymi młotkiem pazurami. Przepraszam państwa, jeśli coś w tej filozoficznej anegdocie przekręciłem lub dodałem, ale nie jestem filozofem, tylko socjobiologiem... Skoro nie tak łatwo zdefiniować, czym jest człowiek, może łatwiej ustalić, czym nie jest.

Czy człowiek jest istotą posiadającą ogon?

Czy człowiek jest istotą posiadającą gęste futro?

Czy człowiek jest istotą posiadającą skrzela?

Czy człowiek jest istotą wyposażoną w oczy umieszczone po bokach głowy?

Głupie pytania prawda? Aż się chce wykrzyknąć w moim kierunku: „Kretynie, oczywiście, że nie!” To prawda, że nie, ale nieprawda, że oczywiście, ponieważ istotą posiadającą oczy po bokach głowy, długi ogon, gęste futro i zawiązki rybich skrzel, taką istotą jest płód ludzki, proszę Państwa. Wszyscy przecież znamy prawo biogenetyczne sformułowane przez wielkiego XIX-wiecznego biologa i filozofa niemieckiego, Ernesta Haeckla... - Marek Hehłak znów rzucił okiem na salę, tym razem jakby w poszukiwaniu przeczących gestów. - Wszyscy znamy to prawo - kontynuował Profesor - że rozwój zarodkowy jest skróconym powtórzeniem rozwoju rodowego, czyli trwającego nierzadko miliony lat procesu ewolucyjnego. Przyjrzyjmy się więc, jak bardzo niehumaniczny jest człowiek poczęty w pierwszym okresie swojego rozwoju po szczęśliwym wydarzeniu owego poczęcia. Otóż w pierwszych tygodniach naszego bytu mamy ogon, który dopiero później kurczy się aż do tej wymazywalnej pozostałości, którą jest kość ogonowa. Kiedy u ludzkiego zarodka pojawiają się oczy, to są one położone po bokach głowy, co odpowiada wcześniejszym, zwierzęcym szczeblom rozwoju. Dopiero później w okresie embrionalnym oczy wędrują ku przodowi, aby umożliwić charakterystyczne dla prymatów wyższych, a szczególnie dla człowieka, nakładanie się na siebie obu pól widzenia, co jest niezbędnym warunkiem widzenia przestrzennego. Mniej więcej w czwartym miesiącu każdy ludzki zarodek wykształca najprawdziwsze gęste futro, które dopiero przed właściwym terminem przyjścia na świat zanika. Oto dowody, jak wiele zwierzęcia jest nadal zapisane w naszych genach i jak wiele tych zbędnych już zapisów musimy na drodze swojego rozwoju odrzucić, aby nie

zatrzymać się na poziomie żadnego ze zwierzątek, jakim bywamy w łonie matki, aby wznieść się ponad rybę, płaza i małpę ku człowieczeństwu, którym obdarzy nas dopiero kontakt z innymi ludźmi po naszym narodzeniu. Zapamiętajmy to zdanie: Aby stać się człowiekiem, musimy odrzucić to, co jest w nas zwierzęcym przeżytkiem.

Oto pierwsze prawo postępu w ewolucji: Forma wyższa odrzuca zbędne cechy, które posiada jeszcze forma niższa. A oto drugie prawo postępu: Forma wyższa używa niektórych „odziedziczonych” po formie niższej struktur w nowy sposób lub ku innym celom.

Wspomniałem już, że płód ludzki posiada skrzela, a raczej ich zawiązki. Istotnie w pewnym okresie rozwoju ludzkiego zarodka embrionalne skrzela są wyraźnie zaznaczone, a nawet otoczone charakterystyczną siatką naczyń krwionośnych, których zadaniem u mieszkańca mórz jest odbieranie tlenu z wody omywającej skrzela.

Zgodnie z pierwszym prawem postępu boczne ustawienie oczu, gęste futro i ogon odrzuciliśmy jako zbędne. A skrzela to czknięcie genów, w którym to czknięciu odbija się wspomnienie o naszych praprapradziadkach pływających swobodnie w praprapramorzu? Skrzela też odrzucamy? Nie całkiem; skrzeli, zgodnie z drugim prawem postępu, używamy w nowy sposób. Słyszają mnie państwo dobrze? No właśnie... Nasz przewód słuchowy, który łączy błonę bębenkową z wolnym powietrzem, jest przebudowanym przez trwający setki milionów lat proces selekcyjny otworem skrzelowym. Co więcej, jak wiemy z doświadczenia, jazda kolejką wysokogórską wymaga przełykania śliny, żeby ciśnienie po obu stronach błony bębenkowej się wyrównało. Tak, bo jama naszego gardła jest połączona z uchem środkowym; pierwotnie wszystko to tworzyło powiązany ze sobą znacznie szerszy kanał, przez który woda wpływająca w rybią paszczę przechodziła obok siatki naczyń krwionośnych skrzeli, a ta siatka, że tak się wyrażę, wyłapywała tlen rozpuszczony w wodzie, która po odtlenieniu wypływała po obu stronach czaszki. Kiedy niektóre ryby zaczęły wpełzać na ląd, w tym środowisku skrzela nie były przydatne, natomiast przez miliony lat jakaś tam przypadkowa wrażliwość tych skrzelowych okolic na drgania powietrza została wzmocniona w procesie eliminacji osobników, które najslabiej wyczuwały drgania powietrza, czyli dźwięki wytwarzane przez skradającego się zza pleców drapieżcę. To oczywiście duże uproszczenie, gdyż kiedy ryby zaczynały wychodzić na ląd, na tymże lądzie jeszcze żadnych drapieżców nie było, więc w tym okresie prawdopodobnie proces selekcyjny dotyczył raczej zdolności usłyszenia we właściwym momencie bzyku nadlatującej przekąski: owada. Rybopłazy niemuzykalne, głuche na smakowite piękno „lotu trzmiela” relatywnie częściej padały z głodu. Otwór słuchowy dziedziczymy po tych, które się najadały w porę. Natomiast płuca, jak

wiemy, powstały w wyniku wykorzystania rybiego pęcherza pławnego. Tak więc, w prostackim uproszczeniu, proszę państwa, słyszymy skrzelami, a oddychamy pęcherzem pławnym zgodnie z drugim prawem postępu ewolucji, przypomnę, forma wyższa używa niektórych odziedziczonych po formie niższej struktur w nowy sposób lub ku innym celom. A co mówi Lenin. Już w 1937 roku w swoim wielkim dziele, odnalezionym, jak wiemy, dopiero w roku 1995 w Poroninie Lenin pisał: „Akt seksualny, będący swoistym nośnikiem więziotwórczym, winien stać się powszechnie dostępnym doznaniem tworzącym gęstą sieć wzajemnie się zazębiających związków emocjonalnych umożliwiającą kształtowanie się zintegrowanej tkanki komunistycznego społeczeństwa. Jednak erotyczna ewolucja nie będzie możliwa bez przewyciężenia seksualnego egoizmu par rozrodczych zwanych monogamiczną rodziną. W walce z tym egoizmem wygrać może tylko radziecka nauka i technika.” Widzę, że niektórzy notują: *Nowaja erotyczieskaja politika sowietskij własti*, rozdział IV, wersy 25-30.

Widzę jakiś niepokój na państwa twarzach. Nie widzą państwo związku między ewolucją skrzeli a dziełem Lenina. Otóż jest taki związek, bo zarówno ewolucja biologiczna, jak i społeczna podlegają tym samym prawom. Dziś gdy 92% obywateli KPN-u nosi M-wzmacniacze, możliwy jest następny krok w ewolucji ludzkiego społeczeństwa. Pierwsze prawo postępu mówi, że wyższa forma odrzuca balast przeżytków dziedziczonych po formach pierwotniej-szych. Aby stać się bardziej człowiekiem, trzeba odrzucić to, co zwierzęce. Zwierzęce było istnienie związku między aktem seksualnym a prokreacją. Forma społeczeństwa złożonego z par rodzicielskich zainteresowanych przede wszystkim sobą i tym, co wynika z mieszania ich materiału genetycznego, ta przestarzała forma umacniająca egoizm własnych genów, ta forma przeżyła się. Powtarzam raz jeszcze, zgodnie z pierwszym prawem postępu w ewolucji musimy odrzucić związek między aktem seksualnym a prokreacją. W komunistycznym państwie kreacja nowego człowieka nie może być ewolucyjnym toto-łotkiem. Akt seksualny musi być raz na zawsze oddzielony od procesu powstawania nowego człowieka. Natomiast zgodnie z drugim prawem postępu w ewolucji tę odziedziczoną po przodkach zdolność do miłosnego zespolenia, tę więziotwórczą energię wytwarzającą się w tym akcie musimy, zgodnie z testamentem Lenina, wykorzystywać nie do prokreacji, ale do cementowania tkanki społecznej całą siecią połączeń. Nie może być tak, że jedni pławią się w rodzinnym szczęściu, a inni, wyrzuceni poza obszar tego szczęścia, pędzą smutne życie w samotności. To, co istniało przed wprowadzeniem M-wzmacniaczy, to nie był spójny wielokomórkowy organizm społeczny, ale luźne zbiorowisko pojedynczych lub posklejanych parami kulek glonów. Ktoś zapyta, po co rozdzielać tak naturalne połączenie: dwoje ludzi + miłosne zespolenie = dzieci.

Spójrzmy więc na inne naturalne połączenie, na które na razie nic poradzić nie możemy. Jest faktem, że „Inter faeces et urinam nascimur” (rodzimy się pomiędzy odchodami a moczem). Niestety w naturalnym przecież procesie ewolucyjnym, będącym nawarstwianiem się korzystnych przypadków, funkcje wydalnicze zostały przypadkowo połączone z rozrodczymi w tym samym systemie narządów. Tu zacytuję wybitnego polskiego pisarza noblistę Stanisława Lema: „Wszelako ten oszczędnościowy sposób złączenia w jednym miejscu i kanale funkcji tak diametralnych, jak usuwanie z organizmu nieczystości i uprawianie miłości, musiał się stać zgubą dla budującego kulturę rozumu. Ponieważ stroni się od własnych wydaliny, ten powszechny wstręt należało jakoś przezwyciężyć i ewolucja posłużyła się wybiegiem tyleż prostym, co cynicznym, czyniąc miejsca „naturaliter” obrzydliwe, magnesem, dzięki dostępnej w nich rozkoszy. Było to naszym seksualnym nieszczęściem, które zmusiło do rozpaczliwych wykrętów filozofię i religię.” To upokarzające ludzką godność naturalne połączenie, mimo że naturalne, nie jest ani najlepsze, ani jedyne możliwe. Wyobraźmy sobie akt seksualny polegający na wdychaniu przez kobietę pyłku plemników prószących się na przykład z wąsów mężczyzny spełniających w takim wypadku rolę kwiatowych pręcików... Jaki z tego wszystkiego wniosek? Rozwiązanie „biologicznie naturalne” nie znaczy „najlepsze” i dlatego wracając do meritum mojego wykładu, rozdzielenie seksu i płodzenia będzie krokiem do góry na ewolucyjnej drabinie rozwoju społecznego. Dziękuję państwu.

Na zakończenie mam prośbę do pań obecnych na wykładzie. Proszę już się nie wpisywać na rezerwową listę kopulacyjną, bo obawiam się, że w tym miesiącu nie zrealizuję nawet grafika listy podstawowej. Kocham was wszystkie, ale, do cholery, ten cykl wykładów rejestruje telewizja komunalna i chociaż przez godzinę wieczorem muszę się przygotowywać do wykładów... Dlatego naprawdę mi przykro. Obiecuję, że w przyszłym miesiącu, jak będę luźniejszy, to nadrobię zaległości.

\*\*\*

Szkolny automagbus zaparkował na trzecim poziomie parkingu przed Instytutem Matki i Dziecka w Warszawie przy ul. Kasprzaka 17a. Niecierpliwa gromada piętnastolatków z IX klasy szkoły podstawowej imienia Grzegorza Kołodki wyprysnęła ze środka pojazdu jak wypchnięta sprężonym powietrzem. Ta niecierpliwość była w pełni usprawiedliwiona. To właśnie dzisiaj ta młodzież, przygotowująca się do mającego się odbyć za rok uroczystego wręczenia M-wzmacniaczy, zobaczy na własne oczy, skąd się biorą dzieci. Pan Arkadiusz - nauczyciel przysposobienia do życia w komunie - starając się utrzymać swoje pisklęta w

zasięgu wzroku i głosu, poprowadził je w kierunku ruchomego chodnika łączącego trzeci poziom parkingu z holem głównym Instytutu. W holu przewodnik już czekał. Pan Arkadiusz zamienił z nim kilka słów, po czym przewodnik, starając się przekrzyczeć rozgadane towarzystwo nastolatków, rozpoczął wykonywanie swoich obowiązków:

- Moi kochani, naprzód z komuną. Nazywam się Paweł Wydymin i pokażę wam dzisiaj największe osiągnięcie nauki polskiej. Przejdziemy teraz do drugiego skrzydła Instytutu Matki i Dziecka. W tym skrzydle, dobudowanym do Instytutu pod koniec 2005 roku, mieści się Wytwórnia Nasienia Państwowego. Proszę, o, ten długi korytarz prowadzi do hali produkcyjnej.

Młodzież spontanicznie zwróciła uwagę na wiszące na samym początku korytarza plakaty mobilizujące do społecznej aktywności:

NAUCZYCIELU - CZY WYKONAŁEŚ  
TYGODNIOWY PLAN SPERMODAWSTWA?

HUTNIKU - KROPLA TWOJEJ SURÓWKI  
CENNIJSZA OD STALI!

Inne hasła z plakatów utrzymane były w podobnym tonie.

- Moi kochani, jeżeli obejrzelście już plakaty, to przejdźmy dalej. Jak wiecie z lekcji przysposobienia do życia w komunie, najważniejsza zasada we wspólnocie brzmi: „Od każdego według jego możliwości, każdemu według jego potrzeb”. Spójrzcie, proszę, na te portrety i rozważcie sobie w waszych młodych serduszkach jakie możliwości tkwią w każdym z was. - Przewodnik skierował wzrok młodzieży na portrety przodowników wiszące w dalszej części korytarza. Młodzież w skupieniu patrzyła na uśmiechnięte twarze przodujących robotników, rolników, a nawet polityków - takich jak na przykład Marek Juruś, któremu w przerwach pomiędzy kolejnymi sesjami obrad Rady Federacji Województw (wybierana w miejsce sejmu od 2005 roku) udaje się uzyskiwać do trzech litrów spermy tygodniowo. Na uwagę zasługiwała również postać wybitnego robotnika. Albin Siwak - mimo że już na emeryturze - nadal wnosił aktywny wkład w akcję spermodawstwa, systematycznie przekraczając 120% normy krajowej w miesięcznym rozliczeniu. Jednak największe wrażenie zrobiła na młodzieży wisząca na samym końcu korytarza nad drzwiami wejściowymi do hali produkcyjnej pośmiertna maska bohatera KPN-u, Antoniego Dąbka, latarnika z Rozewia, który przez pół roku oddawał do zlewni w Jastrzębiej Górze od pięciu do sześciu litrów



tygodniowo, aż w końcu 14 maja 2005 roku z wycieńczenia poślizgnął się i spadł z czterystu trzydziestu pięciu schodów latarni.

Przewodnik przyłożył kciuk do czytnika umieszczonego w zamku drzwi wejściowych na halę. Linie papilarne zostały rozpoznane i drzwi rozsunęły się z sykiem. Młodzież z zapartym tchem przekraczała te wrota Sezamu. Większość dziewięcioklasistów zdawała sobie sprawę, że to w tej hali gromadzi się skarby pozyskane na terenie całego kraju. Już w VIII klasie po przeczytaniu obowiązkowej lektury dla chłopców *I ty zostaniesz spermodawcą* (Wanda Papis, Wydawnictwo Edukacji Komunalnej ZNAK, I wyd. 2004 rok; II wyd. 2005 rok) uczniowie stawali się świadomi, że „Bogactwem narodu cenniejszym od bogactw naturalnych ukrytych w ziemi są ukryte w genach zasoby takie, jak: inteligencja, talent, pracowitość... Państwo powinno czuwać nad efektywną eksploatacją i racjonalnym wykorzystaniem tych zasobów. Niedopuszczalna staje się samowolna lekkomyślna dystrybucja tego, co jest własnością całej wspólnoty KPN, gdyż wynikiem samowolnej rabunkowej eksploatacji tych zasobów dla celów pokątnej chałupniczej prokreacji, może być łączenie genów talentu z genami lenistwa - co w efekcie powoduje przejście genu określonej umiejętności z formy czynnej w utajoną - a narodzony fenotyp poczętego pokątnie obywatela sumarycznie przejawiać będzie cechy pasożytnicze...”

W hali produkcyjnej było ciepło i parno, prawie jak w maglu, tylko że unoszący się w powietrzu zapach nie był zapachem maglowanej bielizny.

Kierownik produkcji, Eugeniusz Ciupak, przywitał wycieczkę, a następnie, uściskawszy dłonie przewodnika i nauczyciela, poprosił całą grupę o przejście w kierunku olbrzymich zbiorników stojących po prawej stronie hali produkcyjnej.

- W tych silosach po prawej stronie - zaczął kierownik - przechowujemy zamrożone w ciekłym azocie nasienie dostarczane do wytwórni ze zlewni mieszczących się na terenie całego kraju. Ten pierwszy, mniejszy, to „Pracownicy umysłowi”, ten drugi „Fizyczni”. O, a ta duża maszyna to wirówka - kierownik wskazał na stojącą w centrum sali płaską komorę obrotową o średnicy około siedmiu metrów. Komora w tej chwili nie wirowała, słychać było tylko dobiegający ze środka bulgoczący dźwięk podobny do tego, jaki wydaje pralka automatyczna nabierająca wodę. Kierownik zmuszony był przekrzykiwać to bulgotanie maszyny: - Jakby to obrazowo powiedzieć! Plemniki to jakby taka załadowana byle jak ciężarówka przewożąca połowę części do bardzo skomplikowanej maszyny. Część z tych części to zwykłe buble: geny wadliwe, lub niskiej jakości. W wirówce następuje rozładunek. Puste plemniki czekają sobie tutaj, w tym zbiorniku, wyładowane nici DNA idą do sekwencera... O, sekwencer to jest właśnie to urządzenie. Tutaj DNA jest cięte na geny, które

tym węzem przepływają do weryfikatora. Weryfikator odrzuca buble. A to jest składarka... - kierownik pokazał coś w rodzaju dużej cysterny na mleko oplecionej przez przezroczyste lub nieprzezroczyste, cienkie i grube węże umocowane na wystających z „cysterny” rurkowatych „czułkach” zaworów. - Tutaj, zgodnie z ogólnym wzorcem, nic DNA jest składana na nowo. Oczywiście, cały czas działa też efektor rozrzutu losowego... No, chodzi o to, żeby dzieci były jak najróżniejsze. A tu już... O, przepraszam, najpierw jest sortownik plemników, żeby odrzucić te, co mają słaby napęd, znaczy te ogonki. O, a tu już następuje ponowny załadunek DNA do plemnika, a tu konfekcjonujemy porcje do pojedynczych zaplemnień. Tak, rzeczywiście to wygląda jak porcja szamponu w folii, ale jest przecież etykieta odpowiednia. Te zgrzewki po zamrożeniu są rozwożone do lokalnych ośrodków „Chcę być mamą”. A odpady produkcyjne... no, jest tego dużo, to prawda, stąd tak nam zależy na jak najszerszym rozpropagowaniu akcji spermodawstwa. Ale u nas nic się nie marnuje: w następnym skrzydle wytwarzamy klej stolarski. Uprzedzę pytanie, tak, to rzeczywiście jest dopiero połowiczny sukces. Ze względu na trudności organizacyjne nie prowadzi się na skalę masową pobrań, selekcji i wszczepiania jajeczek do macic. Wdrażany jest tylko niewielki program pilotażowy, w którym ochotniczo uczestniczy tysiąc łódzkich włókniarek, ale na razie nic więcej nie mogę powiedzieć. Natomiast chętnie odpowiem na wszelkie pytania dotyczące pozysku i obróbki spermy. Proszę bardzo, są jakieś pytania?

Delikatna pajęczyna podśmiechujków i szeptów towarzyszących procesowi zwiedzania, nie milknąca nawet w trakcie, gdy przewodnik, a potem kierownik coś wyjaśniali, zerwała się jak wymieciona szczotka. Młodzież stała cicho jak na pogrzebie i znowu słyhać było tylko bulgotanie wirówki napełniającej się nasieniem.

- Czy tym klejem stolarskim to można kleić modele samolotów? - Stasio Kopek, zapalony modelarz zebrał w sobie odwagę i wyrwał się z pierwszym pytaniem.

Gruchnął śmiech i atmosfera rozładowała się nieco.

Podczas gdy Eugeniusz Ciupak wyjaśniał parametry i zastosowanie kleju produkowanego z materiałów odpadowych wytwórni, Andrzejek Kuciński częściowo schowany za silosem, kujnął swojego kolegę Pawełka Mączka długopisem w zebro.

- No co, głąbie, teraz spytaj o to klonowanie. Maczek wyprężył się z bólu i wytrąciwszy Andrzejkowi długopis z ręki syknął:

- Spierdalaj, kretynie, sam się spytaj.

- Co, cykasz się teraz. No spytaj, cykorze, czy to prawda, co Ojciec bredził w Radiu Wolna Maryja. - (W szkole łapanie audycji z pirackiej radiostacji stało się rodzajem sportu, przy czym wśród radioamatorów wyłoniły się dwie frakcje, wierzących i niewierzących w

rewelacje objawiane przez radiowego pirata).

- Od ojca Rydzyka to ty się odpiardol. Odważny jesteś. To chodź. No chodź osiem pięter niżej, to zobaczysz, że Kwas się kazał sklonować...

- No to już - Kuciński dał się podpuścić. - Prowadź wodzu. - Paweł Maczek zmieszał się nieco, gdyż blef obrócił się przeciwko niemu. Teraz jednak nie mógł się już wycofać.

- Chcesz iść, proszę, o tu jest wyjście ewakuacyjne. -Faktycznie za silosem znajdowały się wąskie drzwi oznaczone zielonym kwadratem. - Tylko ciekawe, co powiesz, jak nas ktoś zaczepi.

- Że szukamy kibla, głąbie, no chodź, cykorze, najwyżej nas złapią i puszczą na taśmę do ekstrakcji z nieboszczyków materiału do przeszczepów. No chodź, będzie ekstra: robomed najpierw zawsze wycina oczy, to nie będziesz widział, jak ci się dobierze do płuc i wątroby.

Istotnie w innym skrzydle Instytutu, jak w większości naukowych placówek medycznych, była taka taśma. Teraz dopiero Maczek poczuł, że całe stado mrówek urządziło sobie zawody Grand Prix na dwupasmowej autostradzie kręgosłupa. Jednak nogi jak zahipnotyzowane prowadziły już Pawła śladem odważniejszego kolegi, który właśnie zniknął za uchylonymi drzwiami wyjścia ewakuacyjnego. Dziesięciometrowy pękaty silos z napisem: „Fizyczni” skutecznie zasłonił brawurową ucieczkę z wycieczki.

Mijając kolejne piętra, schodzili w dół po metalowych stopniach głucho dudniących przy każdym kroku. Nie spotkali nikogo, najwyraźniej nikt z pracowników wytwórni nie odchudzał się, spacerując po schodach awaryjnych, mogąc korzystać ze sprawnego systemu windowego. Osiem pięter poniżej poziomu produkcyjnego piętnastoletni śmiałkowie stanęli przed drzwiami z hartowanej stali. Seledynowo jarzył się umieszczony na wysokości zamka czytnik linii papilarnych.

- No i co teraz, głąbie, gównu zobaczymy, a nie klony Kwaśniewskiego. A w ogóle po jaki chuj miałby się klonować, kretynie? - Andrzejek był rozczarowany brakiem rozstrzygnięcia sporu.

- Żeby obsadzić sobą cały rząd i Radę Federacji Województw, debilu - odpowiedział Pawełek, cytując fragmenty ostatniej audycji ojca Rydzyka.

- Wierzysz w to...? Wiesz co, ty jesteś taki głąb, że jak ci dadzą M-wzmacniacz, to sobie kutasa przetrącisz o kaloryfer, bo będziesz celował w zeberka... Wracamy, kretynie. Nic tu nie zobaczymy.

\*\*\*

Sześć dni później.

Jasnoblękitny stożek płonącego w tlenie acetyleny odbijał się w ośmiu źrenicach czterech par oczu, których wzrok utkwiony był w jednym punkcie - miejscu, skąd spływały ciężkie łzy stopionego metalu. Tymi łzami pancerne drzwi opłakiwały czytnik linii papilarnych, stanowiący obecnie centrum czegoś w rodzaju owalnego stalowego opłatka sterującego z płaszczyzny drzwi jak odchylony dekiel mięsnej konserwy.

- Chyba wystarczy - szepnęły usta zakryte dzianiną anilanowej kominiarki. Dłoń osłonięta rękawicą spawalniczą odsunęła palnik. Światło latarki zajrzało w ciemną niszę rozbebeszonego zamka. Głowa w kominiarce nachyliła się w kierunku wyrwy dymiącej jeszcze smrodem spalonego tworzywa izolacji elektrycznej.

- Trzeba przeciąć te kable i połączyć na krótko.

- Ale które z którymi, przecież to będzie kilkadziesiąt kombinacji?

- Do rana nie zdążymy...

- Księżo Andrzeju, Pan Bóg jest z nami, on otwiera pancerne skoble do serc grzeszników.

- A w razie czego mamy palnik, można spróbować wyciąć cały zamek.

- Księżo Stefanie, w razie jakiego czego?!

- Zaraz, tu nie trzeba łączyć żadnych kabli, można tym: „Pukajcie, a będzie wam otworzone”. - Elektroniczny rygiel, puknięty trzy razy młotkiem, szczęknął, odblokowując drzwi, które, lekko popchnięte, uchyliły się bezszelestnie.

- Jezus, Maria, a więc to tutaj trzymają te dzieci. Cztery snopy światła latarek wycinały z mroku fragmenty laboratoryjnej rzeczywistości - setki zakorkowanych probówek, stojących rzędami w stojakach z perforowanego tworzywa, szklane kolby połączone ze sobą płataniną rurek, mnóstwo elektronicznej aparatury w większości wyłączonej, jednak kilka urządzeń promieniowało słabym światłem diod kontrolnych, na innych żółtawo podświetlone ciekłokrystaliczne ekrany, wypełnione rządkami cyfr i krzywymi liniami pulsujących wykresów, informowały o aktualnych parametrach procesów monitorowanych w laboratorium.

- Księżo Zygmuncie, to chyba to - jedna z postaci w czarnym kombinezonie zatrzymała się w rogu laboratorium. Stożek światła ogarnął cztery pękate baniaki przypominające butle gazowe, rozwożone po wsiach, do których nie dotarła żadna nitka gazociągu.

- Tak, rzeczywiście... Boże, tak dręczyć dzieciątka w płynnym azocie.

- Co za bestialstwo.

- To jest za ciężkie, ja sam nie udźwignę tej butli.

- Nie damy rady zabrać wszystkich czterech.

- Księżę Andrzeju, te trzy są chyba puste.

- Jak to?

- Te są ciepłe, a tylko ta jest zimna. O, tylko tu się rosa osadza.

- Rzeczywiście dzieciątka muszą być tutaj, trzeba odłączyć agregat.

- Ostrożnie! Tu jest zawór.

- Ile mamy czasu?

- Pół godziny, zanim temperatura wzrośnie powyżej krytycznej.

- Księżę Zygmuncie, my już z księdzem Tadkiem odłączymy to do końca, we dwóch damy radę z tą butlą.

- Dobrze, to ja idę na górę oczyścić to szatańskie gniazdo z onanistycznej zgnilizny.

- Niech Bóg księdza prowadzi.

- Księżę Zygmuncie, ja też pójdę, będę księdza osłaniał. Dwie postacie opuściły laboratorium i bezszelestnie wspięły się szybem schodów awaryjnych osiem pięter wyżej, aż na poziom głównej hali produkcyjnej. Przez wąską szparę drzwi ewakuacyjnych ze środka hali w mrok awaryjnej klatki schodowej przesączał się cienki promień światła.

- Ktoś jest w tej hali.

- Nie, tam zawsze pali się światło. Te czerwone diabły tutaj nie pracują na nocną zmianę, a strażnik zajrzy dopiero za godzinę.

- To pewne?

- Tak, sprzątaczką Helena Trojanowa jest naszym informatorem, sprawdzałem ją w komputerze. Od pięciu lat nie opuściła żadnego majowego, na rezurekcji nie była tylko trzy lata temu, ale skontrolowaliśmy jej kartę w przychodni rejonowej: miała przez tydzień ostrą puchlinę kolan, pasterki w ciągu dziesięciu lat opuściła dwie -w jednym przypadku grypa, w drugim nie udało się ustalić, ale chyba musimy zaryzykować.

- Tak, trzeba ufać ludziom... Księżę Andrzeju, proszę już iść i zabezpieczyć wyjście na parking. Przy wejściu do hali produkcyjnej został tylko jeden osobnik w czarnym kombinezonie. W świetle sączącym się przez szparę w drzwiach mignął zdejmowany plecak. Cicho stuknęło małe metalowe pudełko. Drżąca dłoń w czarnej rękawiczce manipulowała chwilę przy rozłożonym na podłodze pudełku, potem rozległ się trzask zamykanego wieczka. Dłoń sięgnęła do plecaka po drugie pudełko. Głowa w kominiarce pochyliła się nad pudełkiem. Ciche szcęknięcie otwieranego zatrzasku pokrywy. Dwie małe krople słonego potu, który zebrał się nad powiekami jedna po drugiej bezdźwięcznie pomknęły w kierunku środka ziemi. Jedną z nich zatrzymało szkieleto okrywające tarczę

mechanizmu zegarowego, druga siłą napięcia powierzchniowego przylepiła się do niebieskiego kabelka centymetr ponad parą blaszek miedzianego styku. Czarna rękawiczka ostrożnie starła wilgoć ze szkiełka. Mechanizm zegarowy został ustawiony na 3.10 rano. Znów trzask zamykanego wieczka. Cichy szept do siebie spod kominiarki: „Pół godziny wystarczy”. Trzymając na lewym przedramieniu oba pudełka, zamachowiec sięgnął prawą ręką do kieszeni kombinezonu po kauczukowy odlew kciuka. Linie papilarne sprzątaczkę zostały rozpoznane, a nocna blokada drzwi awaryjnych zdjęta. Zamachowiec cicho wślizgnął się na halę. Rozległ się stłumiony żeliwny jęk - niczym trącony dzwon cicho dźwięczał silos, do którego przywarło pierwsze pudełko. Zbudzona delikatną wibracją tego metalicznego jęku słona kropla leniwie wyruszyła w swoją ostatnią drogę po niebieskim kabelku. Zamachowiec, trzymając drugie pudełko, zrobił trzy kroki w kierunku kolejnego zbiornika.

Wybuch nie był duży, gdyż ilość materiału wybuchowego została tak obliczona, aby kierunkowa eksplozja tylko przebiła blachę zbiornika, nie niszcząc budynku. Podmuch rzucił księdzem Zygmuntem o silos z napisem: „Umysłowi”. Kominiarka na szczęście skutecznie zamortyzowała uderzenie głowy o metal. Ksiądz błyskawicznie oprzytomniał i nie zwracając już uwagi na ciśnięty gdzieś pod ścianę pojemnik z drugą bombą, rzucił się w kierunku drzwi awaryjnych. Jednak przed drzwiami była już olbrzymia kałuża gęstej białawej cieczy bluzgającej z wyrwy w silosie. Ksiądz Zygmunt próbował przeskoczyć spernę, jednak noga po skoku wylądowała o dziesięć centymetrów za blisko. Lodowate kleszcze chwyciły podeszwę buta jak imadło. Zmrożone do  $-180^{\circ}\text{C}$  nasienie trzymane w silosie pod niskim ciśnieniem zachowywało jeszcze pewną płynność. Jednak pod normalnym ciśnieniem krzepło w kilka sekund, zamieniając się w twardą lodową bryłę.

Ksiądz Zygmunt, jak podcięty zwałił się na podłogę. Nie zdążył jednak nawet sięgnąć w kierunku sznurówki, kiedy pierwszy język lodowatej lawy liznął kombinezon. Ameba robotniczo-chłopskiego ejakulatu karzącą macką komunalnej sprawiedliwości objęła marnotrawnego syna, by go ukołysać do wiekuistego snu.

Kiedy minutę później targający zdobyczną butlę do wyjścia księża Stefan i Tadeusz zajrzeli po drodze do hali produkcyjnej, z lodowej bezkształtnej bryły sterczały już tylko dwa palce rozczapierzone w kształt litery V. Moment zadumy nad tym tragicznym obrazem został brutalnie przerwany przez syrenę alarmową, która - najwyraźniej na skutek jakiejś awarii - włączyła się z opóźnieniem - dopiero półtorej minuty po wybuchu.

\*\*\*

*Poza pamiętnym dniem, kiedy wywieźliśmy z Huty na taczkach te krwawe pijawki*

*koncernu Lucchini, drugim najszczęśliwszym dniem mojego życia był ten, kiedy moja willa wypełniła się radosnym gwarem wprowadzających się robotników, ich dzieci i byłego bezrobotnego, pana Henryka. Jakże wstyd mi teraz, że jeszcze jako kierownik linii wytopu w moim prawie pustym domu mieszkałem tylko z żoną i dwójką dzieci. Teraz, gdy promienie M otworzyły moje serce na problemy innych ludzi, czuję to szczęście, przeżywam to pierwotne poczucie bezpieczeństwa i wspólnoty, jakie daje wspólne sypianie w szesnaścioro w sypialni, kiedy wszyscy przytuleni do siebie synchronizują oddechy w jeden równoczesny wdech i potem wydech, jakby to nie szesnaście istot, ale jedna potężna trzydziestodwureczna istota odpoczywała przed kolejnym twórczym dniem. Czując tę jedność, naprawdę nie zwracam uwagi na to, że pan Henryk, który wcześniej sypiał sam na Dworcu Centralnym trochę chrapie, patrzę też przez palce na to, że zupa wylewa mi się z talerza, kiedy moi bracia robotnicy kochają się z moją żoną na stole w czasie obiadu. W końcu trzeba uszanować wszelkie konsekwencje dekretu urzeczywistniającego odwieczne marzenie ludzkości, marzenie, za którego realizację rzesze komunistów i proletariuszy wszystkich krajów oddały życie - wspólne żony. Zresztą ja też bardzo lubię pobaraszkować z żoną suwnicowego Stefana, a i Jadzia brygadzysty Włodka jest niczego sobie. Tylko ja to robię z Jadzią i Helenką pod prysznicem i ani Włodkowi, ani Stefanowi zupy nie rozlewam. Droga redakcjo, poradź, jak delikatnie zwrócić im uwagę, a jednocześnie nie urazić robotniczej dumy moich podwładnych z zakładu.*

*Andrzej Czerwiński  
Dyrektor Generalny Huty Warszawa*

Prezydent Kwaśniewski z radością w sercu odłożył „Życie Komunalne” do zasobnika z prasą. Oto jeszcze jeden sygnał, że mimo pewnych mających tu i ówdzie miejsce drobnych nieporozumień, generalnie proces wdrażania strategii mieszkaniowej dla Polski na lata 2005-2010 przebiega pomyślnie. Piękna była w liście dyrektora ta metafora o trzydziestodwurecznej istocie - myślał prezydent. - To jak powrót do korzeni, do najgłębszych komunalnych tradycji naszych przodków, którym samobójczy pęd do społecznej dezintegracji, pragnienie odizolowania się od innych we własnym pokoju był zupełnie obcy i którzy śpiąc wspólnie w jaskiniach, ogrzewali się wzajemnie i iskali z czułością, czerpiąc zapewne z tego wspólnego ciepła i z tej wymiany higienicznych świadczeń takie poczucie bezpieczeństwa i więzi, jakie dziś dyrektor Huty Warszawa odkrywa na nowo... Prezydent czuł, że takie odkrycia dokonują się obecnie w dziesiątkach tysięcy polskich domów, tylko

może nie wszyscy potrafią wyrazić swoje uczucia z wrażliwością równą dyrektorowi Czerwińskiemu i nie wszyscy piszą listy na ten temat...

Prezydent przebiegł palcami po innych tytułach mieszczących się w zasobniku:

„Wspólna Filipinka”. To można zostawić na jutro - zdecydował prezydent.

„Blaski i cienie życia w sześciokątach”, dwutygodnik. A to coś nowego... - wyciągając czasopismo z zasobnika, Aleksander Kwaśniewski przez kilka sekund trwał w przekonaniu, że za chwilę dowie się czegoś o nowych formach architektury wnętrz, jednak już po otwarciu pierwszej strony otrząsnął się z tego złudzenia, a następnie dość długo i uważnie studiował zawartość „Blasków i cieni”. Zdecydowanie było to czasopismo dla zaawansowanych, którzy przetrenowali już wszystkie konfiguracje w trójkątach, czworokątach i pięciokątach. Dotarłszy do rozkładówki, Aleksander Kwaśniewski zaczął przekręcać czasopismo do góry nogami, na bok i na ukos, a mimo to nadal nie był pewien, czy w pełni rozumie zawiłą geometrię całego układu.

Cholera, szewc bez butów... Chyba zostałem w tyle za znaczną częścią społeczeństwa - prezydent poczuł lekkie zaniepokojenie. - Ale kiedy ma człowiek trenować? A to obrady Rady Federacji Województw, a to się trzeba po nocach przygotowywać do wystąpień na forum NSKC PZPEr (od aut. - Niezależny Samorządny Komitet Centralny PZPEr), a na urlopie ledwie się jakiś trójkącik zarysuje, już trzeba z powrotem do Warszawy.

Żeby się bardziej nie frustrować i nie zaburzać pracy jelit, Aleksander Kwaśniewski odłożył dwutygodnik na swoje miejsce.

„Powszechny Tygodnik Komunalny”. Eeee, to PAX wydaje, cholernie długie mają artykuły.

„Imperium Spółdzielcy”. Ciekawe, ale nie na dzisiaj.

Aleksander Kwaśniewski już sięgał po „Twój Czerwony Styl”, kiedy jego uwagę przykuł „Miś Komunalny”. Na okładce tego zabawnego pisemka dla dzieci dwa niedźwiedzie podawały sobie łapy. Jeden niedźwiadek z obrazka - ten po lewej stronie - był pulchnutki i uśmiechnięty, a drugi - ten z prawej - chudy, wyleniały i skrzywiony. Z niedźwiedzich mordek wydobywały się „dymki” następującej treści: „Cześć, jestem miś komunalny z KPN-u”; „Hełoł, a ja jestem grizzly z USA. Proszę o azyl!”

Prezydent wybuchnął śmiechem.

Nagle jednak ten serdeczny, odprężający śmiech urwał się, gdyż Aleksander Kwaśniewski dostrzegł za „Misiem Komunalnym” winietę „Trybuny Ludu”. Prezydent Kwaśniewski z niechęcią sięgnął po to poważne pismo polityczne, chwilę kartkował, a potem ze wstrętem odłożył z powrotem do pojemnika. Obsługa prasowa toalety zdecydowanie coraz



gorzej pełniła swoje zadanie. To skandal, że do prezydenckiej oazy ciszy, spokoju i odprężenia mógł trafić tak denerwujący artykuł opublikowany na łamach „Trybuny”. Już sam tytuł tego artykułu mógł człowieka wyprowadzić z równowagi. „Wejdą? Nie wejdą?” - oczywiście w środku kolejny raz wałkowano sprawę tego, pozał się Boże, wydarzenia politycznego, jakim było kwietniowe spotkanie na Wyspie Wielkanocnej prezydenta USA, tego cholernego republikanina Arnolda Schwarzeneggera, z Borysem Jelcynem.

Dobrana para, nie ma co - myślał Aleksander Kwaśniewski. - Ten pierwszy, nędzny aktorzyna, tak zaimponował Amerykanom swoimi muskularni, że zmienili nawet konstytucję, by on, nie urodzony przecież w Stanach, mógł kandydować na najwyższy urząd, i teraz najwyraźniej stara się prześcignąć w antykomunizmie swojego koleżkę po fachu, świętej pamięci dziadka Reagana. Borys Jelcyn to z kolei chodzące życie po życiu. Kiedy u schyłku drugiej kadencji pradziadkowi Jelcynowi podłatanie w czasie pierwszej operacji serce znowu zaczęło odmawiać posłuszeństwa, wydawało się, że duet kościotrupów - śmierć polityczna i śmierć biologiczna - gra już prezydentowi

Rosji marsza osetką na kosach. Już wydawało się, że jednak robota Oleksego, Zacharskiego i Nóżki nie pójdzie na marne i słynny w całym UOP-ie dewolaj „Fast killer” z niewielkim ośmioletnim opóźnieniem odbije się Jelcynowi śmiertelną cholesterolową czkawką. Jednak kolejny raz, niestety, geniusze rosyjskiej chirurgii dokonali cudu. Jelcyn z sercem przeszczepionym od trzyletniego orangutana odzyskał siły, wygrał wybory po raz trzeci, no i teraz knują ze Schwarzeneggerem jak spełnić: „I'll be back” obiecane 17 września 1993 roku przez ostatniego żołnierza rosyjskiego opuszczającego bazę w Polsce. Dobrze chociaż, że „Trybuna Ludu” nie zamieściła tego cholernego zdjęcia, które w kwietniu 2006 roku pojawiło się w brukowcach całego świata. Aleksandra Kwaśniewskiego jeszcze dziś na samo wspomnienie tego zdjęcia coś trzęsło w środku: Jelcyn z pewną siebie gębą ścisną rękę Schwarzeneggera. W tle słynne, porzucane kamienne wielkanocne kolosy. I ten irytujący podpis pod zdjęciem: „W 1944 roku sześć miesięcy czekaliśmy na was na linii Wisły. Mam nadzieję, że teraz się to nie powtórzy.” Od kwietnia minęły już cztery miesiące, ale jakoś Jelcynowe „teraz” nie nadchodziło. Rosyjska flota stacjonująca koło Kaliningradu nie przejawiała żadnej aktywności, również krążące po Bałtyku amerykańskie lotniskowce trzymały się z dala od polskiego wybrzeża. Najwyraźniej pokazane przez agencje całego świata w sierpniu 2004 roku scenki z południowokoreańskiego lotniskowca, trafionego z ustawionej na Westerplatte baterii dział S dalekiego zasięgu, widok rozneglizowanych żółtoskórych pilotów próbujących gwałcić swoje samoloty z drabinek poprzystawianych do dysz wylotowych silnika, wykrzywione z wycieńczenia twarze marynarzy bez ustanku

pracujących ręką w celu złożenia Neptunowi dość niecodziennej ofiary... te obrazki zapadły w świadomość strategów ze Wschodu i Zachodu planujących zbrojną interwencję w KPN-ie. Jak długo jednak te scenki ze zwycięstwa KPN-u w „Wojnie o Daewoo” utrzymają swoją odstrasżającą moc? To właśnie pytanie gnębiło Aleksandra Kwaśniewskiego po nocach. Przed tym pytaniem na pół godziny dziennie prezydent zamykał się w toalecie. Jak widać, nieskutecznie, skoro „Trybuna” i tam go dopadła.

Na szczęście w Instytucie Matki i Dziecka szykujemy Jelcynowi nową niespodziankę - pomyślał prezydent i ta myśl przywróciła mu dobry humor.

Niestety z jasnego nieba czasem spada grom.

- Olek, jesteś tam? Dziś w nocy SIERP (od aut. - Służby Interwencyjne Episkopatu Rzeczypospolitej Podziemnej) zakosił nam dziewiętnaście zarodków Lenina. Poza tym jeden silos ze spermą wyleciał w powietrze - dramatyczny ton głosu ministra komunalizacji spraw wewnętrznych sprawił, że prezydenckie kiszki błyskawicznie dokończyły swoją powinność. W innych okolicznościach Aleksander Kwaśniewski zdjąłby serduszko M-wzmacniacza i urządził Leszkowi Millerowi dziką awanturę. Jednak tak hiobowa wiadomość usprawiedliwiała tę bezprecedensową ingerencję w najświętszy krąg prezydenckiej prywatności. Czyżby dziesięć lat pracy nad wyklonowaniem Lenina z owych czterech komórek jego odbyticy cudownie odnalezionych w żywicznej kropli z muzealnego kibla w Nowym Targu w 1995 roku, czyżby te dziesięć lat pracy wiernych polskiej lewicy naukowców miało teraz pójść na marne... U progu sukcesu? Aleksander Kwaśniewski krzyknął przez drzwi:

- Jezus, Maria, wszystkie zarodki zabrali, a co z „zaawansowanym”? Żyje, porwali go? Mów, do cholery.

- Zarodki wzięli wszystkie, ale o „zaawansowanym” chyba nic nie wiedzieli, bo nawet nie zajrzeli do sąsiedniego sektora laboratorium.

- Bogu dzięki - Aleksander Kwaśniewski odetchnął z ulgą i spuścił wodę - Leszek, skąd wiecie, że to SIERP?

- Co? - Leszek Miller nie dosłyszał pytania z powodu szumu wody wirującej w rurze odpływowej muszli.

- Skąd wiecie, że to SIERP? - powtórzył Aleksander Kwaśniewski.

- Zostawili nam jednego hibernatusa zamrożonego w spermie.

- Co? - Kwaśniewski wreszcie wyszedł z toalety.

- Hibernatusa! Najprawdopodobniej było zwarcie w mechanizmie zegarowym bomby, bo wybuchła jakieś trzy sekundy po przyczepieniu do zbiornika, no i niejakiego Zygmunta

Kapryśka załała sperma, minus sto osiemdziesiąt stopni, trochę go ścięło i już drugiej bomby nie zdążył podłożyć.

- Który silos ocalał?

- Umysłowy, cała produkcja ZWNP z niego teraz leci. Znowu będą braki na rynku... To narzekanie na wąski asortyment, że genzestawów do hydraulika czy glazurnika nigdzie dostać nie można.

- Przesadzasz, Leszek, każda matka chce mieć mądre dziecko...

- Ale nie mądrzejsze od siebie. Zastanów się Olek. Co ty myślisz, że taka po zawodówce ekonomicznej wybierze spermę z zestawem genów astrofizyka? W życiu... Taka siłą zedrze prezerwatywę z jakiegoś pierwszego z brzegu operatora koparki, no, ewentualnie z kierownika stoiska w Centrum Rozdawnictwa, ale to maksimum... Mówię ci! Przez ten cholerny wybuch cała akcja agitacyjna, cała seria wykładów tego naszego profesorka Hehłaka o rozdzieleniu seksu od prokreacji... wszystko szlag może trafić na jakieś pół roku. Zanim Rafako zrobi nowy silos... Potem znowu to przekonywanie rolników do akcji spermodawstwa... Same problemy, kurwa mać.

- Leszek nie histeryzuj. Pytałem cię, skąd wiecie, że to robota SIERP-u?

- Ten Zygmunt Kaprysek to ksiądz, na szczęście był już notowany. SDRP legitymowała go 13 grudnia 2004 roku. Rozrzucał antykomunalne ulotki. „Precz z poligamią” i inne takie bzdury. Dostał wtedy dożylnie hydroxyzynę i wydawało się, że się uspokoi, a tu teraz taki numer.

- Ale to nie żaden dowód, że był w SIERP-ie...

- Kominiarka, pas ze sprzętem wspinaczkowym, czarny kombinezon; znamy już ten krój, materiał też ten sam. Pół roku temu ci, co ich złapaliśmy, jak montowali Wolną Maryję na wieżowcu, byli w takich samych uniformach. Zresztą przecież ten nasz zimny Kaprysek to nie MacGyver, sam bomby nie zrobił. To nie była przerobiona na zakrystii kadzielnica, tylko profesjonalny zestaw...

- Dobra, mniejsza o to... Powiedz mi, Leszek, po jaką cholere im zarodki Lenina.

- Oni chyba myślą, że to twoje klony, Olek.

- O Jezu...

- No tak, przecież dostałeś raport, jakie bzdury ten Rydzyk opowiada.

- Kurwa mać... Usmażą je na patelni albo dadzą kotu...

- Nie, no, Olek, daj spokój, przecież to fanatycy obrony życia między poczęciem a narodzeniem. Takiego dorosłego heretyka jak ty, to by pewnie ci inkwizytorzy z ERP-u (od aut. - ERP, Episkopat Rzeczypospolitej Podziemnej, nieformalny odłam EP zrzeszający

reakcyjną grupę biskupów nie noszących M-wzmacniaczy) podsmażyli na stosie. Ale o nasze Leninki możemy być spokojni, póki mają centymetr długości. Dla ERP-u ich człowieczeństwo jest ważniejsze niż ich leninizm, a raczej kwasizm przy założeniu, że myślą, że to twój genetyczny pomiot.

- Tylko gdzie one są, do cholery. Ten jeden zaawansowany, co nam został, to za mało na skuteczny desant. A czas ucieka. Czort znajet, czy ten alzheimer Jelcyn za pół roku nie dojdzie do wniosku, że jest Stalinem albo, co gorsza, carycą Katarzyną. Do tego jeszcze Zacharski mi mówił, że Ruscy za siedem-osiem miesięcy też będą mieli broń S. Rewolucja musi być najdalej w październiku.

- Olek, nie martw się, te komórki z odbyticy oryginału są już zużyte, ale pewnie można pobrać od „zaawansowanego” i wyhodować nowe zarodki...

- Teraz to mówisz... No to zadzwoń do Instytutu i niech, kurwa, tak zrobią. Sklonujcie ze czterdzieści... nie, zróbcie na zapas setkę i trzeba te rezerwowe zarodki porzucić po różnych laboratoriach, to może się wszystkim Leninom naraz SIERP nie dobierze do dupy. A w ogóle to „zaawansowany” miał być już gotowy do zrzutu koło Piotrogradu... Właśnie... przeszedł już kurs spadochronowy?

Minister komunalizacji spraw wewnętrznych uciekł wzrokiem w bok.

- No, tego kursu jeszcze nie, ale już jest gotowy prawie...

\*\*\*

- Nu, skazy: matuszka Rossija...

- Gu, go, go, cyca, cyca - wybulgotał Lenin, a następnie ukręcił lalce głowę i nim prowadząca przesłuchanie Barbara Labuda zdążyła się uchylić, plastikowy pocisk trafił precyzyjnie za lekko rozchylony kołnierzyk bluzki osłaniającej atrybuty pani inspektor.

- No, widzi pani, po co były te historie, że nic nie umie - powiedział flegmatycznie pielęgniarz, nomen omen pan Włodek.

Starszy inspektor GLEMP (Generalnej Ligi Edukacyjnej Matki Polki) Barbara Labuda, wykonując ręką istic prestidigitatorskie manipulacje, usiłowała złapać któryś z trzech łaskoczących ją po piersiach złotych kosmyków, których Lenin nie zdążył jeszcze wyskubać. Wreszcie ta sztuka się udała i na wpół łysa główka Barbie wynurzyła się z powrotem z przytulnego zakątka na światło dzienne. Lenin z wyraźnym zainteresowaniem śledził całą tę sprawną akcję poszukiwawczą przeprowadzoną w trójkącie bermudzkim dekołtu.

- On jest głodny, dlatego się tak gapi, poza tym lubi blondyny, innym w ogóle nie daje

się karmić - wyjaśnił pielęgniarz.

- Jak to, karmić, przecież to go karmi... - Barbara Labuda wskazała na ciągnący się za Leninem wąż dozownika sterydów anabolicznych ginący w specjalnie przewidzianym oczku kaczuszki wprasowanej w białą bawełnianą koszulkę na wysokości pępka przyszłego rewolucjonisty.

- Eee tam, to swoją drogą, ale tu z góry schodzą laborantki. Tam kilka z nich nie chciało iść na macierzyński. Swoje bobasy karmią w pracy, to i nad tym biedakiem się litują, jak mają nadwyżkę pokarmu. Ale tak jak mówię, wybredny jest, ssie tylko blondyny.

Barbara Labuda z mieszanymi uczuciami w sercu patrzyła na łysego człowieczka o twarzy trzydziestolatka pełzającego po podłodze w popielatych spodniach od dresu rozepchanych na pupie olbrzymią pieluchą.

- Już widzę, na co pani patrzy, ale on na tych sterydach i mleku bardzo rzadziuchne kupska rżnie. Nawet nie bardzo śmierdzące... Ja tam obrzydliwy nie jestem, ale jak trzeba przewinać, to wołam laborantki. Nawet chętnie przychodzą, bo... już wszędzie dosyć przystojny jest. Chce pani zobaczyć?

- Pan chyba zgłupiał. Nie przyszłam tu zaglądać mu pod pieluchę. Bardziej mnie szokuje to, co on ma teraz w głowie, a raczej czego nie ma. Niech pan się przestanie głupio uśmiechać. Kwaśniewski chce go za dwa miesiące zrzucić do Rosji, a przecież on jest całkiem niedorozwinięty.

- Kwaśniewski?

- Niech pan słucha, co mówię, ten wasz tu Lenin jest niedorozwinięty, a nie Kwaśniewski.

- A co pani chce od niego, trzy miesiące ma dopiero, a i tak duży urósł, sześćdziesiąt pięć kilo prawie, sterydy robią swoje. Dostaje jeszcze dożylnie coś takie, co go od razu postarza, ale nazwy nie pamiętam, lekarz dyżurny będzie wiedział.

- Mnie nie interesuje, co go postarza, tylko czego go żeście nauczyli poza rzucaniem zabawkami do celu.

- G..gy..gy, łysi skurwisiniu, ce cyca, cyca - Lenin zorientował się, że to o nim jest mowa.

- Już, już, pani Helenka zaraz zejdzie i cię nakarmi - pielęgniarz z czułością pochylił się nad Leninem. - Widzi pani, głupi nie jest, już mówi, czego chce.

- To pan go kłąć uczy? I w ogóle czemu pan dziecko, znaczy tego tu, w błąd wprowadza, pan nie jest łysy i pan toleruje, że on tak głupio do pana...

- A nie, to on o sobie tak mówi. Bo to nie ja, to minister Miller był tu ze trzy razy i

zawsze wołał na niego „łysy skurwysynu” czy jakoś tak - pan Włodek nieco plątał się w zeznaniach, ale generalnie wydawało się, że mówi prawdę.

- No to jest skandal, ja Millera opieprzę zdrowo. Rano do mnie dzwoni, żeby jak najszybciej organizować to przedstawienie w Teatrze Wielkim... Aktorzy od dwóch tygodni wkuwają po rosyjsku rewolucyjne dialogi, Hans Kloss-Mikulski mało zawału nie dostał, bo wmówił sobie, że nie podoła roli ojca, że za duża odpowiedzialność, losy

Polski, duperele tam takie... Figura histeryzuje, że jest za stara na Nadieżdę Krupską, a Miller tu przyłazi i demoralizuje bezbronnego człowieka swoimi tekstami - Barbara Labuda była wyraźnie poruszona faktem, że minister komunalizacji spraw wewnętrznych swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem może zburzyć szansę powodzenia całego monumentalnego programu edukacyjnego mającego na celu przyspieszone „nasączenie” mózgu Lenina jego leninowską tożsamością poprzez odegranie przed klonem kontekstu sytuacyjnego kluczowych wydarzeń z życiorysu oryginału klona.

- A w ogóle dlaczego rozmawiacie z nim po polsku, potem za szpiega go wezmą.

- Ja po rusku ledwie dukam, a ostatnią nauczycielkę rosyjskiego... zanim doszedłem... to zgwałcił tak trochę... silny jest dosyć... no i teraz żadna nowa nie chce przyjść, bo się boją, że głupi, to udusi przy okazji albo co... A on nie dusi wcale.

Barbarę Labudę tak zatkało, że słuchała flegmatycznych opowieści pana Włodka jak skamieniała i tylko szeroko otwarte ze zdumienia oczy pani inspektor co i raz dyskretnie zerknęły to na raczkującego Lenina, to na drzwi wyjściowe.

Wreszcie inspektor GLEMP odzyskała mowę:

- Jak to, trochę zgwałcił?! Pan bredzi coś, przecież on chodzić nie umie. Trzy miesiące ma, to skąd by się tego nauczył... To przecież nie tylko nagi instynkt.

- W zasadzie ma pani rację, trochę się poduczył. No bo te laborantki tak go karmią... w swobodnych, że tak powiem pozycjach, nie żebym podglądał, o nie... bo zawsze jest: „Wyjdź, Włodziu!” Tylko raz za wcześnie wszedłem, ale, daję słowo, to się zaczęło, jak już wyglądał na dwudziestolatka.

Barbarze Labudzie opadły ręce.

\*\*\*

Ksiądz prałat Jankowski wpatrywał się w wielkie akwarium z wielką uwagą:

- Te sześć to są zupełnie inne, to jakieś Żydy, pływają

osobno... O, o, teraz w kółko zygzakami pływają... Zupełnie ta ich trasa się wpisuje w gwiazdę Dawida.

- Jego eminencja ma chyba obsesję z tą gwiazdą, zygzakami pływają, bo mają dużo miejsca - profesor Bogumiła Boba (była posłanka ZChN-u, lekarz, naukowiec, autorka wielu artykułów do miesięcznika „Życie prenatalne w domu i w zagrodzie”) nie dała się zasugerować.

- Pani Bogumiło, niech się pani prześpi, trzy doby pani czuwa nad nimi. Przemęczyła się pani... To normalne, że w takim stanie nie widzi pani tej gwiazdy, a na Żydkach to ja się znam. To są Żydy, przynajmniej te sześć.

- Przepraszam, eminencjo, ale ja też w tym pływaniu żadnej gwiazdy nie widzę, a spałem normalnie przez ostatnią noc - po stronie profesor Boby stanął Jan Łopuszański (do lutego 1993 roku przewodniczący Rady Naczelnej ZChN-u, w latach 2003-2004 jako działacz Proviso Antigum Christi staje się jednym z czołowych obok Kazimierza Kapery propagatorów wolnego seksu, a więc seksu pozbawionego wszelkich ograniczeń, jakie wynikają ze stosowania prezerwatyw, autor wielu haseł propagandowych, m.in.: „Nie daj się nabić w gumę”; „Prezerwatywa ogranicza twoją płodność”; „Prezerwatywa - tamą na rzece życia” czy „Pozwól życiu wytrysnąć”; styczeń 2005 roku inicjator powstania podziemnej organizacji ZChP -Zjednoczenia Chrześcijan Prenatalnych).

Ksiądz prałat wzruszył ramionami i znowu odwrócił się w kierunku akwarium.

- Niech eminencja nie macha nad nimi ręką. Ta złota bransoleta się zsunie i jeszcze trafi któreś maleństwo, poza tym woda płodowa się zanieczyści... Bogumiła Boba z niepokojem obserwowała eksperymenty księdza Jankowskiego.

- Chciałem sprawdzić, czy one reagują na to, co się dzieje na zewnątrz.

- Nic nie trzeba sprawdzać. Reagują, zwłaszcza w porze karmienia. Właśnie, coś się klerycy spóźniają, to może sam zacznę - Jan Łopuszański spojrzął na zegarek.

- Dobrze, właściwie już można, tylko Janeczku dobrze zdezynfekuj rękę, nadmanganian jest w tej żółtej misce. -

Bogumiła Boba nadzorowała medyczny wymiar całego przedsięwzięcia.

- Najpierw przetrzeć? - Jan Łopuszański zawahał się.

- Oj, Janeczku, robiłeś to wczoraj. Oczywiście, najpierw przetrzyj - Bogumiła Boba zdziwiła się, że kolega z ZChP nie pamięta elementarnych spraw.

Jan Łopuszański wziął gruboziarnisty papier ścierny i przetarł lewe przedramię aż na огоłoczonej z wierzchnich warstw skórze pojawiły się czerwone przebarwienia i delikatne kropelki krwi.

- Już, już starczy. Dezynfekuj, ale szybko, żeby nie zaczął się robić strupek - głos pani profesor zdradzał duże emocjonalne zaangażowanie.

Jan Łopuszański na sekundę zanurzył lewe przedramię w żółtej plastikowej misce z roztworem nadmanganianu potasu, potem wytarł skórę podanym kawałkiem jałowej waty celulozowej, a następnie delikatnym ruchem zanurzył przedramię w akwarium z zarodkami.

- O Jezuu, ale wystartowały... O i te trzynaście też, ale Żydki są pierwsze - ekscytował się ksiądz Jankowski.

- Naprawdę niech już eminencja przestanie, one są wszystkie takie same, tylko te sześć pierwsze odmarzły z azotu, to żywsze są trochę - Bogumiła Boba miała już nieco dosyć komentarzy księdza prałata.

- A ss... ss... - syknął Jan Łopuszański krzywiąc się nieco.

- O Jezuu, nie mogę patrzeć, jak się przysysają tymi farfocłami niczym pijawki - ksiądz prałat Jankowski z odrazą odwrócił wzrok od akwarium.

- To nie żadne farfocle, tylko łożyska. Jego eminencja też miał takie w ich wieku. Muszą przecież jakoś pobierać substancje odżywcze i czyścić krew. Do ścianki macicy też by się tak przyssały, a to nie powód, żeby ludziom ubliżać od pijawek - Bogumiła Boba wytrwale broniła godności poczętych.

- Ja im nie ubliżam... tylko te ogonki mają i te oczy po bokach, to się wierzyć nie chce, że każdy tak wyglądał. Mogłyby od razu wyglądać jak mali ludzie, ale widać Pan Bóg chciał pokazać człowiekowi, że jest lichym robakiem - zadumał się ksiądz prałat.

- Ciekawe, czy to rzeczywiście klony Kwaśniewskiego - Jan Łopuszański spróbował zająć się rozmową, żeby nie patrzeć cały czas na swoją rękę.

- Ksiądz Andrzej z SIERP-u mówił, że tak twierdziła sprzątaczką z Instytutu - Bogumiła Boba powtórzyła poufną informację.

- Może to jednak plotki - Jan Łopuszański był nieco sceptyczny.

- Ja w to wierzę, ci czerwoni kanibale nie mają skrupułów, to bardzo możliwe, że nasz prezydencik kazał, żeby mu hodowano części zamienne... Dobrze, że się udało te dziewiętnastoro dzieciaków wyrwać z paszczy smoka.

- A jeżeli one będą takie same jak Kwaśniewski... to znaczy kiedyś... że z charakteru też takie będą - powiedział Jan Łopuszański z obawą w głosie.

- Te sześć żydowatych to może i Kwaśniewski, ale że te trzynaście też, to nie uwierzę, inne są, zresztą człowiek to przecież nie tylko ciało; ufajmy, że Bóg każdemu z nich dał inną duszę.

- Nareszcie eminencja, choć głupio, za przeproszeniem zaczął, to mądrze skończył. Rzeczywiście, musimy wierzyć, że każde z nich ma inną duszę - w głosie Bogumiły Boby czuć było głęboką wiarę w mądrość boskich praw rządzących kreacją dusz.



- Nie bójcie się tych, którzy klonują ciało. Duszy sklonować nie mogą - powiedział nagle ksiądz prałat natchnionym głosem.

- Niech będzie pochwalony.

- Niech będzie pochwalony.

- Niech będzie pochwalony, przepraszamy, ale SDRP szło za nami do samej Świętej Brygidy, musieliśmy minąć kościół i dopiero zawróciliśmy, jak się odczepili.

Klerycy karmiący dopiero teraz weszli do podziemi. Byli spóźnieni dziesięć minut.

- Nic się nie stało, już są po pierwszym śniadaniu - profesor Bogumiła Boba uspokoiła zdyszanych chłopców. Jan Łopuszański lekko potrząsnął ręką, a następnie, uważając, żeby nie wyciągnąć żadnego zarodka nad powierzchnię wody płodowej, wyjął przedramię z akwarium.

Na skórze widać było wyraźnie dziewiętnaście czerwonych plamek.

Klerycy sięgnęli po papier ścierny.

Pół godziny później nakarmione zarodki przyssały się do gąbki przez którą „brzęczyk” pompował banieczki powietrza do wody płodowej, a klerycy poszli na Anioł Pański.

- Ja też muszę już iść. O wpół do jest zebranie Rady Naczelnej ZChP, wreszcie trzeba rozpatrzeć te podania o wszczep domaciczny - Jan Łopuszański jeszcze raz przetarł rękę roztworem nadmanganianu potasu i podniósł się z krzesła.

- Nie rozdzielajmy ich, przecież one są jakby rodzeństwem. To zbiorowe podanie dziewiętnastu siostr z Niepokalanego Poczęcia to moim zdaniem najlepsze rozwiązanie - Bogumiła Boba była pełna troski o prenatalny byt ludzi z akwarium.

- Bogumiła, ja cię rozumiem, też bym tak wolał dla nich, ale dziewiętnastoraczki w klasztorze Niepokalanego Poczęcia... od razu będzie afera. W SDRP nie są sami głupcy - Jan Łopuszański nie podzielał zdania koleżanki partyjnej.

- A jakby te nasze Kwasiorki schować w tłumie - oczy księdza prałata dziwnie rozblęły.

- Nie rozumiem, co eminencja ma na myśli - głos Bogumiły Boby rozbrzmiał nutą znaku zapytania.

- Tam u tych Niepokalanek jest ze dwieście siostr, z czego ze sto nie ma czterdziestki. Jakby wszystkie te młode jednocześnie zaszły w ciążę, to kto by tam potem wypatrywał, ile dzieciaków jest do siebie podobnych.

- Eminencja się zastanowił chociaż chwilę nad tym swoim pomysłem? - Bogumiłę Bobę zatkało.

- A nad czym tu się zastanawiać, dobro tej poczętej dziewiętnastki jest najważniejsze.

- I dlatego eminencja proponuje, żeby począc jeszcze osiemdziesiąt parę, to może

eminencja jeszcze ma pomysł, jak je począć.

- No jak to, jak... naturalnie! - ksiądz Jankowski był pełen entuzjazmu.

- Eminencjo, przecież to klasztor. Przecież śluby czystości...

- No to co, załatwi się w ERP-ie dyspensę. Przecież nie będziemy stosować komunistycznych metod. Widziała pani te zgrzewki i te ohydne aplikatory, co rozdają w tych melinach zboczonego poczęcia „Chcę być mamą”, czy jak tam się te punkty nasienne nazywają.

Bogumiła Boba skrzywiła się z odrazą.

- No widzi pani, tylko po Bożemu można to zrobić.

- Ale skąd weźmiemy tylu tatusiów?

- Dlaczego zaraz tylu, jakby sprawę rozłożyć na tydzień, to i trzech by sobie poradziło.

Bogumiła Boba spojrzała z niedowierzaniem na księdza prałata.

- No, ja osobiście nie wiem, ale podobno tyle można bez uszczerbku dla zdrowia - ksiądz Jankowski nieco się zaczerwienił. - Dobrze, zresztą co my tu skórę na niedźwiedziu... Jutro o dziesiątej rano pojedę załatwić tę dyspensę, no i siostry by trzeba te pozostałe trochę zaagitować do całej sprawy. O, a propos tej agitacji, panie Janeczku, pan jest doświadczony ojciec, już siódemkę pan ma, to może pan by dał jakiś wkład... w materii... tego, o czym my tu teraz.

Jan Łopuszański aż się cofnął ze zdumienia.

- Ja?

- No tak, pan osobiście i niech pan na radzie ZChP zrobi mały wywiad, pewnie będą jacyś ochotnicy do pomocy. Aha, warto jeszcze zadzwonić do tego Kapery, chociaż nie, on już chyba dał z siebie wszystko, jedenaścioro ma, jak słyszałem, a poza tym to Judasz, M-wzmacniacz nosi.

- Mogę poszukać chętnych, ale nic nie obiecuję - Jan Łopuszański nie był do końca przekonany do całego pomysłu.

- Szukajcie, a znajdziecie. O właśnie, Jezus, Maria, zapomniałem na śmierć, znalazłem śliczną komódkę do sypialni, czarny orzech, cacko, XK wiek i na dwunastą byłem umówiony z antykwariuszem... Nie zdążę... Wiem, pani Bogumiło, pani już ledwo na oczy patrzy, ale muszę lecieć. Przyślę księdza Julka, zmieni panią.

- Ja też już muszę - dodał Jan Łopuszański i razem z księdzem prałatem wyszli.

Bogumiła Boba została sama z dziewiętnastoma płodami na głowie. Trzecia doba czuwania zawieszła na umęczonych rozwarciem powiekach pani profesor kolejne ciężarki ołowiu. Ksiądz Julek jakoś nie przychodził.

- No cio, maluśkie śtraśnie jesteśmy... Dziu, dziu, dziu... ale nie będziemy takie jak ten zły tatuś prezydent, a w ziasiadzie to on jest dla was bracisiek, ale taki be, jak Kainek, a my będziemy cacy Abelki, dobie... - żeby nie zasnąć, Bogumiła Boba starała się wytłumaczyć ludziom z akwariu subtelną różnicę w pokrewieństwie wynikającą z odmienności między procesami płodzenia a klonowania. Klony jednak nie zainteresowały się problemem swojego pochodzenia i wisząc na naprężonych strunach pępownin, oddawały się rozkoszy masażu bąbelkowego w strumieniach mknących do góry banieczek powietrza pompowanych przez brzęczyk.

- Aaa, aaa, były sobie kotki dwa... - zaczęła profesor Bogumiła Boba, lecz śpiewanie zarodkom kołysanki przekroczyło granice wytrzymałości tej dzielnej kobiety na zmęczenie. Siła ciężenia ołowianych ciężarków powiek zwyciężyła żelazną siłę woli. Bogumiła Boba zasnęła, a dwiętnastu ludzi niemal jednocześnie odessało swoje łóżyska od gąbki. Jednocentymetrowe embriony, machając ogonkami, podpłynęły do szyby i spojrzały swoimi dużymi mądrymi oczyma w kierunku, skąd dopiero co dobiegała tak przyjemna wibracja.

\*\*\*

- Tak, proszę państwa, Ireneusz Sekuła wysuwa się na prowadzenie i ma już zdecydowaną przewagę dwustu metrów nad tandemem Art-B, Bogusławem Bagsikiem i Andrzejem Gąsiorowskim. Niestety mam również smutną wiadomość. Pół godziny temu ze łzami w oczach wycofał się ze współzawodnictwa Lech Grobelny cierpiący już od trzech dni na postępującą puchlinę obu łokotek wywołaną nierównościami asfaltu. Przypominam, słuchają państwo sprawozdania z XXVI etapu Wyścigu Spokoju Sumienia. Do Sanktuarium Rewolucji w Poroninie zostało nam jeszcze tylko sto dwadzieścia kilometrów. Łączymy się ze studiem w Warszawie.

- Z Warszawy wita państwa Andrzej Olejniczak. Cała nasza redakcja Komunii Sportowej drży z niepokoju, czy Ireneuszowi Sekule uda się zachować uzyskaną przewagę. Co o tym sądzisz, Henryku? Proszę państwa, znowu oddajemy głos naszemu niestrudzonemu sprawozdawcy Henrykowi Sytnerowi, który gdzieś tam na trasie sekunduje zmaganiom naszych zawodników... Henryku, słyszysz nas?

- Tak, słyszę bardzo dobrze. Myślę, że koszulkę lidera XXVI etapu były prezes GUC ma już w kieszeni, ale jeśli chodzi o cały wyścig, to sądzę, że decydujący będzie ostatni etap z Nowego Targu do Poronina, na którym to odcinku, przypominam, zgodnie z regulaminem wyścigu, zawodnicy muszą zdjąć z kolan skórzane ochraniacze... Moim zdaniem na tych ostatnich kilometrach decydująca będzie odporność na ból, gdyż nawierzchnia jest tam

wyjątkowo szorstka, a jeszcze dodatkowo górale zapowiadają posypywanie jezdni suszonym grochem i żużlem. Ważna jest także waga zawodnika, możliwe, że ostatnie słowo będzie należało do Bogusława Bagsika, który znacznie zeszczupłał, zanim go objęła amnestia komunalna, ale nie przesądzajmy wypadków, bo, proszę państwa, tak, w pięknym stylu... Ireneusz Sekuła finiszuje. Już-już obsługa techniczna podnosi go z kolan i sadza na wózek. Tymczasem trwa jeszcze zacięta walka o drugie miejsce. Andrzej Gąsiorowski wyraźnie przyspiesza... Najwyraźniej treningi pod drzwiami izraelskiego Urzędu do Spraw Ekstradycji, mimo że na obcej ziemi zakończone porażką, w kraju mogą przynieść temu zawodnikowi srebrny medal...

Marian Mewa ze zniecierpliwieniem zmienił program.

- Wodowanie przez Nową Stocznnię Gdańską pierwszego tysiąca dłubanek zamówionych przez Stany Zjednoczone Plemion Dorzecza Amazonii. Twarda postawa ministra gospodarki komunalnej w negocjacjach z Indianami zaowocowała niezwykle korzystnym kontraktem. Pierwsze dostawy naturalnego amazońskiego kauczuku spodziewane są jeszcze pod koniec października bieżącego roku, co pozwoli już w listopadzie na zwiększenie produkcji wysokiej jakości ekologicznych prezerwatyw nawet o sto dwadzieścia milionów sztuk miesięcznie, co w rocznym zestawieniu może zaowocować dwudziestoprocentowym wskaźnikiem wzrostu w stosunku do roku ubiegłego... Teraz minister Kaczmarek unosi butelkę szampana i rozlewa go stoczniowcom do kieliszków... Teraz każdy stoczniowiec podchodzi do swojej dłubanki... Tak, co za wspaniały widok. Setki kieliszków pękają jak bańki mydlane. Słyszą państwo ten dźwięk jakby tysiąca dzwoneczków... Teraz każdy stoczniowiec nadaje dłubance imię swojej ulubionej konkubiny. Przypominam, że tradycja takiego uroczystego, zbiorowego chrztu narodziła się już półtora roku temu, kiedy dzięki inicjatywie gospodarczej Polskiej Zjednoczonej Partii Erotycznej, ten niewydajny twór pseudoekonomiczny, jakim była Stocznia Gdańska, przekształcono w nową stocznnię, będącą nowoczesną montownią kajaków i jednostek specjalistycznych. Jak wiemy, dzięki tym przekształceniom zamówienia posypały się z całego świata, no, może nie licząc Unii Europejskiej, która nadal stara się bojkotować nasze produkty, ale na szczęście chociażby bratni naród Eskimosów Ludowej Republiki Grenlandzkiej jest stałym odbiorcą kajaków polarnych, a to oczywiście jest wynikiem sprawnej polityki zagranicznej | ministra Niemena. Przypominam, że KPN była pierwszym krajem, który już w lipcu 2001 roku uznał niepodległość LRG wywalczoną przez Eskimosów po długiej, sześciomiesięcznej prawie walce z duńskim kolonializmem. Przypominać nie muszę, że ta narodowowyzwoleńcza walka, prowadzona w warunkach nocy polarnej, mogła zakończyć się sukcesem tylko dzięki

dostarczeniu powstańcom znakomitych polskich noktowizorów przez lodołamacz „Kołodko”. Ta internacjonalistyczna pomoc wyrastająca z polskiej tradycji...

Kurwa, nic nie ma w tym radiu... Może chociaż na RMF-ie puszcza jakąś muzykę - minister zarządzania krajobrazem Marian Mewa miał już powyżej uszu wiadomości sportowych i propagandy sukcesu.

- Z Filharmonii Narodowej Disco Polo imienia Aleksandra Kwaśniewskiego nadamy teraz uroczysty koncert z okazji...

Nie, no, kurwa, RMF też już ochujał, zaraz, gdzie ten, kurwa Rydzik nadaje... 76 FM? Nie, chyba 120 FM -Marian Mewa bezskutecznie przeszukiwał pasmo. - Chociaż ten się teraz, kurwa, stara, a to technokolędę puści, a to litanię na podkładzie rapowym... Chce przekabacić młodzież komunalną na swoją stronę, to się podlizuje. Kurwa, zaraz, no tak, o tej porze to go już nie ma... Tylko między ósmą a dziewiątą wieczorem. Kurwa mać... - Marian Mewa wyłączył radio. Eksperymentów z telewizorem wolał nawet nie zaczynać. Albo będzie jakiś dramat psychologiczny, w którym Bogusław Linda jako brygadzysta, którego brygada nie wykonała dobrowolnego zobowiązania przekroczenia normy, będzie się półtorej godziny zastanawiał czy odnieść wideo do Centrum Rozdawnictwa, albo będzie ten babski serial, którego wartka akcja trzyma widza w nieustannym napięciu, kiedy rozmyślania głównej bohaterki, Izabelli Scorupco, dotyczące egzystencjalnego pytania, czy bez M-wzmacniacza by ją ktoś w ogóle kochał, doprowadzą ją do obłędu już teraz czy sześćdziesiąt odcinków później. Telenowełe dla mężczyzn też Marianowi Mewie nie odpowiadały. Mdlify szefa MZK dylematy telewizyjnych idoli, te głębokie dialogi Zamachowskiego z Pazura, czy więcej szczęścia można osiągnąć w stałym związku z pięcioma ukochanymi, czy też lepiej mieć coraz to nową ukochaną co tydzień. Dramatów i rozterek miłosnych Marian Mewa nie musiał szukać w telewizorze. Prawdziwy życiowy dylemat miał we własnej głowie. Co robić z dwuosobowym skierowaniem na rejs śródziemnomorski? Marian nie bez przyczyny w ten dzisiejszy sierpniowy wieczór przerzuca kanały radiowe. Marian po prostu rozpaczliwie poszukuje jakiegoś bodźca, który zagłuszyłby samobójcze podszepty płynące z chorego mózgu: „Zadzwoń do niej. Zadzwoń do Żanety. Może już nie spotyka się z tym kierowcą. A nawet jeśli - to teraz masz atut w ręku.”

Istotnie - wycieczka zagraniczna to nie było coś, co można sobie wziąć z Centrum Rozdawnictwa Towarów w oparciu li tylko o krytyczną samoocenę. Z wycieczką zagraniczną wiązał się przecież przydział dewiz - a wobec unijnej blokady gospodarczej i restrykcji handlowych, nałożonych na KPN przez amerykańskich imperialistów, zasób dewiz, jakimi dysponowało młode państwo, był bardzo ograniczony. Tak więc podstawowym warunkiem

uzyskania skierowania na wybraną wycieczkę było zebranie stu dowodów spontanicznego społecznego uznania. A Marian miał ich obecnie dokładnie dwieście dwadzieścia pięć. Dwadzieścia dwa zbierał przez pół roku, wiadomo, ludzie zawsze są krytycznie nastawieni do pracy ministerstwa, aż tu nagle przedwczoraj, bach! - gruba koperta z Kątów Rybackich, a w niej dwieście trzy elegancko wypełnione urzędowe blankiety spontanicznych dowodów. I jakie sympatyczne uzasadnienia: „Kochanemu ministrowi za zwycięstwo w walce z ptasim gównem”, „Kormoranom nie, ministrowi tak”, „Lepszy minister Marian niż cztery wagony gipsu” itd.

Boże, czy napełniony tym farszem społecznego uznania mam się dać zeżreć tej modliszce na środku Morza Śródziemnego - Marian Mewa wbił oczy w sufit. Tak - odpowiedział diabeł, który opętał Marianowi Mewie przysadkę mózgową, a płaty czołowe polechtane nagłym wyrzutem hormonów roztoczyły przed oczyma duszy Mariana cudowną fatamorganę - Księżyc w pełni, rozsypujący srebrne gwiazdy po delikatnie rozchybotanej powierzchni morza... Na horyzoncie niczym stada świetlików błyskają przylepione do zboczy Lazurowego Wybrzeża miasta Monte Carlo, Nicea, Cannes... Na pokładzie statku wycieczkowego tylko Marian i Żaneta... Inni pasażerowie dawno już śpią... „Marian, jestem bardzo szczęśliwa, że mnie zabrałeś na ten rejs...” - Dwie małe kropelki drżą w kąciakach powiek Żanety. - „Dopiero, jak jestem tutaj, przez ten dystans... ja dopiero stąd widzę, że takie życie, jakie prowadziłam, nie miało sensu. Ta dziecinna miłość do Krzaklewskiego, to bezsensowne małżeństwo na siłę... Żeby o nim zapomnieć. Potem ta ohydna sprawa rozwodowa trzy lata temu. I teraz... Wiesz, jak żyłam: z kwiatka na kwiatek... A ty przez te wszystkie lata mnie kochałeś.” - Lśniące księżycowym blaskiem strumyczki pomknęły dolinami dzielącymi jej perkaty nosk od policzków. - „Niepotrzebne mi to!” - Żaneta ciska za burtę serduszko M-wzmacniacza. - „Chcę tylko ciebie”. Marian przygarnia ramieniem jej kochaną główkę do swej piersi. Marian chwyta za słuchawkę. Jest 21.56. Pierwszy sygnał, drugi, trzeci... Każdy kolejny odmierzony dwoma uderzeniami serca więcej niż poprzedni.

- Słucham...

- To ja. Dobry wieczór - Marian starał się maskować drżenie głosu.

- Wiesz, która jest godzina? Ja ci dwadzieścia razy chyba mówiłam, żebyś nie dzwonił po dziesiątej.

- Jest za trzy.

- No i co z tego, wiesz, o której ja muszę wstać do biura?

- Przecież nie musisz, człowiek ma teraz prawo sam...

- Wiesz co, nie wkurzaj mnie, to wam się tak w ministerstwie może wydaje. Ty sobie

rano możesz poleżeć, a moje koleżanki już wpół do siódmej przyjeżdżają, bo potrzebna im nowa pralka.

- Aha, ponieważ twoje koleżanki wmówiły sobie, że to niezgodne z komunalnym sumieniem wziąć pralkę, jak się pracę zaczyna normalnie, to ty dla towarzystwa musisz jak te idiotki...

- Słuchaj, jeśli jeszcze raz coś powiesz na temat moich koleżanek, to rzucę słuchawkę.

- Żaneta, czy my zawsze musimy się kłócić...

- Ja się z tobą nie kłócę. To ty dzwonisz do mnie po nocy i znowu czegoś chcesz.

- Żaneta, ja nic nie chcę od ciebie... Chciałem tylko...

- Wiem, chciałeś sobie ze mną porozmawiać. A czy jak brałeś słuchawkę do ręki, to się zastanowiłeś, czyja mam ochotę z tobą rozmawiać. Zawsze mi chcesz coś narzucić. Dzwonisz i myślisz, że zmusisz mnie do rozmowy.

- Do niczego nie chcę cię zmusić. Przecież żeby się dowiedzieć na przykład, że nie chcesz rozmawiać, to muszę najpierw zadzwonić.

- Nie, ja wiem, ty myślisz, że ja siedzę przy telefonie i cała drżąca czekam, aż raczysz zadzwonić. No to jesteś w błędzie. Ja mam w tej chwili poważniejsze problemy, niż to, czy zadzwonisz, ale moje problemy cię oczywiście nic nie obchodzą.

- Żaneto... Przecież... Jak to mnie nie obchodzą... Co się stało?

- Nie wpięprzaj się w moje sprawy.

- Wiesz co, Żaneta, jeszcze chwilę z tobą porozmawiam i albo nie wytrzymam i mnie zaraz trafi udar mózgu, albo wytrzymam i pierwsza rzecz po skończeniu tej naszej pogawędki to pójde sprawdzic, czy umiem też wyginać łyżki wzrokiem i spać na potłuczonym szkle.

- Tak, dokładnie, zamiast mnie denerwować po nocy, idź się lepiej prześpij na szkle albo na gwoździach - słyhać było, że Żanecie powoli poprawia się humor. Marian Mewa postanowił więc delikatnie puknąć w żelazo, skoro się nieco ociepliło.

- Nie dzwonię, żeby cię denerwować, tylko mam dla ciebie niespodziankę.

- A nie mogłeś mi jej objawić o jakiejś bardziej przyzwoitej porze?

- Może najpierw posłuchasz, co to za niespodzianka, a potem się zastanowisz, czy wypada marudzić nad godziną, o której dzwonię.

- No, co tam wymyśliłeś, Marianku, jak cię znam, to już powinnam się bać.

- Dziś rano załatwiłem dwuosobowe skierowanie na rejs śródziemnomorski, wiesz, przedwczoraj dostałem dwieście trzy dowody i od razu pomyślałem o tobie.

Z drugiej strony łączy zapadła cisza. Marian promieniał - udało mu się zrobić wrażenie.

Wreszcie po trzydziestu długich sekundach światłowodowa linia telefoniczna znów zapulsowała sekwencją impulsów.

- Wiesz co, Marian, przyjaźnimy się tyle lat, ale takiego świństwa to się po tobie nie spodziewałam. Wyobraziłeś sobie, że mnie kupisz za te swoje dwieście parę dowodów... No to się mylisz. Ja nie jestem na sprzedaż. Wiesz, co sobie zrób z tym skierowaniem... - prawie krzyczała. Marianowi przemknęło przez głowę, że to, co mówił minutę temu o udarze mózgu, zostało wypowiedziane w złą godzinę. Słuchając dobiegającej ze słuchawki paranoicznej interpretacji Marianowych dobrych intencji, Marian czuł, że tętno rośnie mu do poziomu alarmowego 150 uderzeń na minutę, a ciśnienie dochodzi już do granicy 200/120. Marian miał szczerą ochotę obniżyć sobie to ciśnienie wypowiedzią typu: „Zamknij się, kurwo!” jednak ostatekiem siły woli powstrzymał się i ryzykując wylew krwi do nabrzmiątych pólkul, stalowym nieludzko beznamiętnym głosem powiedział:

- Byłem pewien, że zawsze chciałaś zobaczyć Lazurowe Wybrzeże, Gibraltar, byłem pewien, że się ucieszysz. No cóż, myliłem się. My się nigdy nie dogadamy. Na tej przyjaźni nie można się oprzeć jak na zakażonej gangreną nodze, no to trzeba ją uciąć. - Wreszcie wymyślona miesiąc temu metafora przydała się w praktyce.

- Tak właśnie, obraż się teraz i nie odzywaj pół roku, bo znowu byłeś czegoś pewien, co ja bym chciała... Założyłeś sobie, że muszę się ucieszyć. Przykro mi, że cię rozczarowałam. Właśnie byłam w Rzymie i okolicach tydzień temu i z Morzem Śródziemnym i z całym wyjazdem mam teraz takie przykre skojarzenia, że wołałabym zapomnieć i nie mam tam na razie ochoty wracać. Ale tobie to oczywiście nie mogło przyjść do głowy, bo ty myślisz tylko o sobie.

- Nie jestem telepatą, skąd miałem wiedzieć, że masz teraz uraz do Morza Śródziemnego.

- Jakbyś częściej się odzywał, to byś wiedział.

- Przypominam, że to ty ostatnio wyszłaś ode mnie obrażona, trzaskając drzwiami, no to nie chciałem się narzucać.

- Bo się wpieprzałeś w moje sprawy dotyczące tego pana, o którym nie chciałabym teraz rozmawiać.

Serce Mariana, które w ciągu kilkunastu ostatnich sekund zaczęło już wracać do w miarę normalnego rytmu, teraz znów ruszyło do ciśnieniowej ofensywy. Marian natychmiast skojarzył, że Żaneta puściła farbę o swoim Waldusiu - kierowcy. Marian postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

- Nie powiesz mi, że to Formuła I Łomianki-Warszawa zabrał cię na tę wycieczkę do



Rzymu.

Marian wiedział, że to ryzykowna hipoteza. Używając tak pogardliwego określenia na ukochanego Waldusia, prowokował rozstrzygnięcie:

Żaneta rzuci słuchawkę - hipoteza fałszywa, Walduś nadal jest królem.

Nie rzuci słuchawki - Walduś jest trafiony, zatopiony.

Nie rzuciła, natomiast po drugiej stronie linii znowu zapanowała cisza.

- Możemy o tym nie rozmawiać? - wykrztusiła wreszcie. Marian nie umiał jednak powstrzymać ciekawości.

- Chcesz mi powiedzieć, że Formuła I też miał dwieście dowodów uznania i zafundował ci wycieczkę do Włoch?

Marian w ogóle nie brał pod uwagę wariantu, że w Głównym Biurze Monitoringu Stosunków Międzyludzkich Żaneta mogła na swoim stanowisku starszej rejestratorki poczyć pozasystemowych zebrać chociaż sto dowodów uznania od zawstydzonych przyszłych matek zgłaszających wypadek zapłodnienia nasieniem innym niż państwowe z wytwórni.

- Słuchaj, ja cię o coś proszę - znowu podniosła ton głosu - a ty znowu masz to gdzieś i potem czepiasz się a to mojego charakteru, a to tonu głosu. Prosiłam nie rozmawiajmy o tym, o czym nie chcę teraz, ale jak tak jesteś ciekaw, proszę: tak, Waldek zebrał trzysta dowodów uznania od pasażerów z Łomianek za punktualną jazdę. Zadowolony jesteś z odpowiedzi? Jeszcze coś musisz wiedzieć?

Tym razem Marian musiał jej w duchu przyznać rację, sam się prosił o ten kubek wody na głowę - trzysta dowodów za punktualną jazdę, podczas gdy on, minister MZK, projektując siatkę wież widokowych, nadzorując wycinkę lasu towarzyszącą tworzeniu urokliwych połonin na beskidzkich szczytach, czuwając nad realizacją projektu zawracania Wisły do Kanału Elbląskiego w celu upustynnienia Żuław pod uprawę wieprzaka - odwalając cały ten kawał roboty, Marian zebrał przez pół roku zaledwie dwadzieścia dwa dowody. Ludzie są niewdzięczni, no może oprócz rzeźbiarzy z Kątów Rybackich. Marianowi wreszcie odechciało się pytać o Waldusia. Co było, to było. Jeszcze raz spróbował wrócić do meritum:

- Żaneta, słuchaj, dobrze, to nic mi teraz nie odpowiadaj, ale po prostu przemysł jeszcze to wszystko, ten statek, nie bój się, do Rzymu nawet się nie zbliży. Jedyne włoski port to będzie jeden dzień na Capri, tam są cudowne grotty, do których wpływa się łódką, a w ogóle to słuchaj: trasa biegnie przez Bosfor, wiesz, koło Sztambułu, potem Morze Egejskie... Bo cały ten rejs to się zaczyna na Morzu Czarnym, chyba do Morza Czarnego nie masz urazu... Wyłączylibyśmy z Warny, wiesz, z Bułgarii, bo ten statek jest bułgarski czarterowany przez MTZ (od aut. -Ministerstwo Turystyki Zagranicznej).

- Bułgaria to jeden syf. W życiu tam nie pojedę. A do tych dziur na Capri za żadne skarby żadną łódką nie wpłynę.

- Aha, no to cześć - Marian rzucił słuchawkę. Nawet sam był zdziwiony swoją reakcją. W czasie tej całej rozmowy mężnie zniósł przecież gorsze momenty, a teraz tak nagle stracił cierpliwość. Minister zarządzania krajobrazem nie był z siebie zadowolony. Cholera, Walduś poszedł w odstawkę, a ja jak głupi baran rzuca słuchawkę, zamiast zareagować jakoś elastycznie - mówiło jedno „ja” Mariana Mewy, gotowe wywinąć Marianową skórę na lewą stronę, jeśli by tylko był cień szansy, że taka drastyczna operacja podniesie atrakcyjność Mariana w oczach Żanety.

Durniu, przecież ona jest jak ta podłączona do prądu metalowa psia miska z żarciem w laboratorium Pawiowa. Ślinisz się do niej, a co próbujesz polizać, to cię prąd wali w pysk. No to już masz nerwicę serca. Przez nią M-wzmacniacza nie możesz nosić. Przez nią normalnymi babami nie możesz się zainteresować. Chcesz sfiksować do reszty... - wołało drugie „ja”, przerażone postawą pierwszego.

Ale przecież w tej kobiecie, w głębi jej duszy jest wiele dobrego, ta jej opryskliwość to powierzchowna sprawa...

Tak, tak, czyli pełna witamin sałatka jarzynowa... delikatnie po wierzchu przyprawiona kwasem pruskim -w najlepszym wypadku można się zrzygać, w gorszym otruć - ironizowało drugie „ja”.

Opanuj się, obecną sytuację trzeba wykorzystać. Walduś poległ, ale jutro może być trzech nowych. Boże, może już się jakiś zmiennik pojawił - drętwiało z niepokoju pierwsze „ja”.

No i chuj... Człowieku, to już przestała być miłość, to jest chore opętanie. Przecież nawet jak pozwoli ci się zbliżyć do siebie, to tygodnia z nią nie wytrzymasz - drugie „ja” znowu próbowało okiełznać pierwsze. Pierwsze „ja” było jednak niestrudzone w swoim uporze.

No i chuj, niechby choć tydzień, niechby choć jedną noc, Hillary też zdobywał Mount Everest nie po to, żeby na nim zamieszkać, przecież szturmowanie tak niedostępnej góry też wiąże się z cholernymi nieprzyjemnościami, a potem taki Hillary pewnie i pół godziny nie wysiedział na czubku, bo musiał zwiewać, żeby go zdobyta ukochana góra nie wykończyła. Tak, noc na samym szczycie to byłaby zgroza. Właśnie, noc na szczycie... że też o tym wcześniej nie pomyślałem. - Marian drugi raz tego wieczoru sięgnął po słuchawkę telefonu. Wiedział, że ryzykuje: była już 22.10.

- Dobry wieczór - starał się mówić jednym tchem, żeby nie doszła do głosu i nie

zaczęła go opieprzać. - Skoro do morza masz uraz, a wyjazd za moje dowody naruszałby twoje poczucie godności i niezależności, to z własnej nieprzymuszonej woli wybierz się ze mną na szczyt Kasprowego Wierchu. Takiego widoku, jaki stamtąd jest nocą, jeszcze nie widziałaś...

- Bomba - w jej głosie słycać było wyraźną ulgę, chyba jednak tym razem ucieszyła się trochę, że mimo wszystko znowu zadzwonił. Marian czuł, że choć trochę musi jej zależeć na utrzymywaniu tej znajomości. I kamień by się w końcu przywiązał do kropli, która go drąży.

- Bomba - powtórzyła - ale nie moglibyśmy jechać nad Zalew Zegrzyński?

\*\*\*

Bogumiła Boba widząc tak wielkiego ptaka, rozchyliła nogi. Jej piersi falowały z podniecenia. Łabędź był nie mniej podekscytowany, majestatycznie machał skrzydłami z taką siłą, że włosy łonowe Bogumiły niczym łany dojrzałego zboża kołysały się w podmuchach boskiego wiatru. Bogumiła Boba wiedziała, że to sam bóg Zeus zstąpił na Ziemię wynagrodzić ją za niestrudzoną walkę z aborcją i genetyką. Zeus pieszczotliwie dziobnął działaczkę ZChP w sutek. Bogumiła wyprężyła się z rozkoszy. W tym momencie nie chciała myśleć, co powie na to wszystko jej mąż - król Sparty Tyndareos - przecież on nosi M-wzmacniacz... musi zrozumieć... Boski łabędź był coraz bliżej jej pulsującego łona... Przymknęła oczy... Ekstaza wdarła się w nią z całym impetem. Ciepła fala uniesienia zalała jej brzuch i poprzez rurę rdzenia kręgowego trysnęła pienistą przyjemnością aż pod sklepienie czaszki. Bogumiła Boba znów otworzyła oczy, aby przez nie wypuścić z mózgu sprężony nadmiar radości życia... W tej sekundzie trzewiami działaczki ZChP targnął bolesny skurcz przerażenia. Z łabędziego torsu sterczała już nie jedna, ale dziewiętnaście łabędzich szyj, a na każdej z nich kołysała się w upojeniu wielka niby-ludzka głowa, całkiem łysa, jeśli nie liczyć dwóch małych rożków na każdym czole... I te potworne twarze... wszystkie identyczne... i te dziewiętnaście par oczu wpatrzonych w Bogumiłę z pożądaniem i zarazem jakby z wyrzutem... Boże, te twarze, ten wzrok... To już nie Zeus... To wielogłowa hydra Lenin! Bogumiła Boba obudziła się z krzykiem i spadła z krzesła. Ksiądz Julek natychmiast rzucił się na pomoc. Na szczęście upadek nie był groźny, a nawet wręcz przeciwnie. Nie mający nic wspólnego z łabędziem ból w pośladkach pomógł ofierze uświadomić sobie, że nie jest już Ledą - żoną mitologicznego Tyndareosa, tylko działaczką Zjednoczenia Chrześcijan Prenatalnych.

- Nareszcie ksiądz jest, chyba zasnęłam - powiedziała Bogumiła Boba już całkiem

przytomnie.

- Tak, dwanaście godzin pani spała, nawet wodę już zdążyłem zmienić.

- Co ksiądz zrobił?! - Bogumiła Boba natychmiast zapomniała o bólu w pośladkach i ze zgrozą spojrzała na akwarium. Na szczęście żaden embriion nie pływał brzuchem do góry, jednak różnicę doświadczona lekarka dostrzegła od razu.

Ksiądz Julek, widząc przerażony wzrok działaczki ZChP, natychmiast zaczął się tłumaczyć jęśliwym głosem:

- Przecież nic się nie stało... Tylko im te farfocelki poodpadały, ale to chyba nie szkodzi...

- Nie żadne farfocelki. Czy ksiądz wie w ogóle, co to jest łożysko?!

- No wie pani, tak ogólnie o tych narządach rozrodczych to ja tylko w katolickich podręcznikach czytałem, ale zaraz sobie przypomnę, o, wiem: „Łožysko należy do źródła życia u każdego mężczyzny. Znajduje się ono na zewnątrz ciała w zakończeniu tułowia oraz częściowo wewnątrz ciała...” - przymknąwszy oczy ksiądz Julek recytował stosowny fragment szkolnego podręcznika *Wzrastam w mądrości* autorstwa Wandy Papis.

- Łožysko to nie jest narząd rozrodczy, tylko taki ukrwiony płatek na końcu pępownicy, a w ogóle to w podręczniku to nie było, że łożysko, tylko tam było: „Plemniki należą do źródła życia u każdego mężczyzny...” Coś ksiądz wie, że dzwonią, ale w którym kościele... No tak, no tak... przecież księdza nawet podczas żadnego karmienia nie było tutaj... Ksiądz po prostu nie wie, co to jest łożysko i takie są skutki... Przecież te maleństwa mają po osiem tygodni. Jak je teraz będziemy karmić?! Boże drogi, wszystkie potraciły pępownicy i łożyska! A w ogóle to czego im ksiądz nalał do tego akwarium?

- Jak to czego? Wody święconej, ale oligoceńska była, jak Boga kocham. No i dosłownie odrobinę tej destylowanej, co ksiądz prałat w kanistrze trzyma do chłodnicy w tym pamiątkowym mercedesie. Ale teraz turbolotem metalikiem jeździ, to myślałem, że można wziąć tę wodę.

- Jezu, Jezu, wody destylowanej od mercedesa... Przecież do wody płodowej potrzebna jest i żelatyna, i... zresztą ksiądz i tak nie zapamięta. Wie ksiądz, co ksiądz zrobił? Ksiądz tą wodą destylowaną podpisał wyrok śmierci na dziewiętnaścioro niewiniątek... Boże, jak one w ogóle jeszcze teraz oddychają?

Bogumiła Boba, targnięta niepokojem, niemal przywarła nosem do zewnętrznej szyby akwarium.

- Boże jedyny, to niemożliwe, przecież, Matko Boska, to niemożliwe!!! - łyzy wzruszenia popłynęły strumieniem z oczu pani Bogumiły.

- Księżę Julku, pani Bogumiło, chodźcie zobaczyć dosłownie na sekundę... Komódka jest prima sort. Idealnie pasuje i do zegara, i do kredensu, i do stołu w jadalni. Idealnie ten sam odcień: ciemny orzech... Co tak na mnie patrzycie? Z Żydkami coś nie w porządku? - ksiądz prałat wpadł do podziemia cały zaaferowany swoją nową zdobyczą i dopiero widząc groźne iskierki w oczach działaczki ZChP, nieco zmiętygował swoją ekscytację meblem.

- Jak jego eminencja może w takiej chwili o tej swojej komodzie? Nasze dzieciaczki właśnie omal się nie podusiły przez księdza Julka. Wodę zmienił na destylowaną.

- Tylko trochę, święconej było więcej - ksiądz Julek próbował się bronić.

- Niech już ksiądz nic nie mówi - Bogumiła Boba spojrzała na księdza Julka karcącym wzrokiem, a potem znowu skierowała oczy w kierunku prałata. - Nasze dzieciaki potraciły łóżyska i podusiłyby się, przecież one jeszcze płuc nie mają, ale chyba stał się cud, niech eminencja sam zobaczy.

Ksiądz prałat z głupią miną podszedł do akwarium i uważnie zlustrował dziewiętnaście pływających rześko zarodków.

- O Jezuu, im się coś rusza na gardle! O, z obu stron, ale takie małe, ledwie widzę. One przecież wodę wsysają i tamtędy wypuszczają.

- Ja ja... ko były lekarz oddziału embriologii ogólnej sędzę, że im się otworzyły łuki skrzelowe i czerpią tlen z wody, ale dotąd w literaturze medycznej żaden taki przypadek nie został opisany - Bogumiła Boba, jękając się nieco z przejęcia, rzuciła na szalę cały swój autorytet naukowy.

- Skrzela?! No i bardzo dobrze... Widać Pan Bóg uznał, że jeden Kwaśniewski wystarczy, żeby pokarać ten grzeszny naród, a dziewiętnastu więcej, to już by była niesprawiedliwa plaga egipska - najwyraźniej ksiądz Henryk zapomniał o swojej niedawnej wypowiedzi na temat nieklonowalności duszy Kwaśniewskiego. - Bardzo dobrze, no to mamy stadko rybek, ciekawe, czy szybko urosną. Po grecku albo w galarecie taka rybka... - prałat Jankowski przymrużył oczy, a wargi mu zwilgotniały.

- Niech eminencja milczy, ja nie mogę słuchać nawet, to są ludzie, a nie żadne ryby - Bogumiła Boba ze zgrozą patrzyła na prałata.

- Ludzie ze skrzelami, jednak za krótko pani spała... Ksiądz Julek chętnie tu przypilnuje, już się teraz nauczył. Wszystko będzie dobrze, może już pani iść do...

- Nigdzie nie pójde, a ksiądz Julek niech się trzyma dwa metry od tych dzieci i eminencja też.

- A jak je pani ma zamiar teraz karmić? - zapytał ksiądz prałat z ironią w głosie.

- Może by mleka granulowanego trochę nasypać, ale...

- zaczęła Bogumiła Boba niepewnym głosem.

- To się w tym akwariium zrobi zupa mleczna z rybami, paskudztwo - skrzywił się prałat Jankowski, już w latach osiemdziesiątych poprzedniego wieku słynny ze swojego wybrednego smaku.

- Wie pani co? Akurat na tym, co tu mamy - ksiądz Henryk tym razem dyplomatycznie ominął słowo: „ryby”

- to ja się chyba znam trochę lepiej. Jak pani chce, to niech je pani dalej pilnuje, a ja idę na górę, zaraz się ministranta pośle po suszone dafnie, ja trzasnę ze trzy zdrowaśki za te dziewiętnaście ośmiotygodniowych duszyczek, co je Pan Bóg zabrał z powrotem, i wszystko będzie bardzo dobrze.

Bogumiła Boba nie miała już siły prowadzić z prałatem teologicznych dysput na temat, czy dusza i skrzela się wykluczają, czy mogą się uzupełniać w doczesnym życiu prenatalnym. Ciężko opadła na krzesło i pełen wiary wzrok skierowała ku swoim kochanym maleństwom. One przecież rozumiały jej myśli bez słów. „A jak dorośniemy, to im pokazemy” - pomyślała, czule wpatrując się w zarodki.

Ksiądz Julek dyskretnie ulotnił się śladem eminencji Henryka Jankowskiego. Drzwi nie domknął specjalnie, żeby zbyt głośnym trzaśnięciem nie zwrócić znowu na siebie uwagi. Zwabiony światłem sączącym się przez szparę, rudy Maciek bezszelestnie wśliznął się do podziemia. Nie zauważony zbiegł po schodkach i ukrywając się za pudłem po żelatynie, leniwie zaczął lizać łapę, uważając jednocześnie by zaostrzone o dach kościoła pazurki nie pocięły mu ślicznego różowiułtkiego języczka.

\*\*\*

Dzień zapowiadał się pięknie. Wczorajsza prognoza pogody nie była najlepsza i Marian jeszcze wieczorem zastanawiał się, czy nie odwołać całej wyprawy, ale kiedy rano promienie słońca prześwitujące przez dziurki w firance urządziły sobie na kołdrze Mariana orgię mrugających kropek, Marian zerwał się i natychmiast zadzwonił do Żanety, aby podzielić się z nią swoim wycieczkowym entuzjazmem.

- Dzień dobry, co się wylegujesz, wstawaj! Ja umyję turbolot, ty zrób pyszne kanapeczki i jedziemy - żartobliwie zakomenderował, opierając się na założeniu, że wysiłek związany z myciem turbolotu sprawiedliwie równoważy się z potencjalnym wysiłkiem niezbędnym do zrobienia paru kanapek. Założenie to okazało się błędne.

- Nie będziesz mną dyrygował od samego rana. Wiesz dobrze, że nienawidzę robić kanapek. Jak ci była potrzebna kuchta na wycieczkę, to trzeba było zaproponować ten wyjazd

którejś panience z rządowej stołówki - odpowiedział głos obdarzony niezwykle przyspieszeniem pozwalającym osiągnąć ton maksymalnej irytacji w dwie sekundy od punktu startowego, w którym był jeszcze zaspany.

Marian miał jednak zbyt dobry humor, żeby wziąć poranne zrzęczenie Żanety za zły omen. W końcu przedwczoraj odniósł sukces. Jednak zgodziła się spędzić noc w schronisku na Kasprowym. Tak więc teraz się wycofać, to jak odstąpić od ataku szczytowego na Mount Everest tylko dlatego, że jakiś oderwany od skalnej ściany kamyczek trafił w głowę. Skoro nie zabiło, to idzie się dalej.

Minister zarządzania krajobrazem sam zrobił kanapki z serkiem sojowym, sam umył turbolot (zgodnie z Kodeksem Honorowym władz naczelnych Wspólnoty KPN-u nie wypadało o taką usługę prosić funkcjonariuszy ochrony), następnie, trochę niezgodnie z regulaminem, zwolnił borowców i bez obstawy pojechał po Żanetę. Była już w znacznie lepszym nastroju. Pozwoliła się pocałować w oba policzki, potem wsiedli do turbolotu i przekomarzając się wesoło, ani zauważyli, jak syrena 2005, zostawiając po prawej stronie Hutę Warszawa, minęła granice miasta. Na horyzoncie ukazała się ściana lasu Puszczy Kampinoskiej, a wysoko ponad poziom wyznaczony przez czubki najwyższych drzew wzbijała się szara monumentalna ściana Giewontu. Kasprowy Wierch zasnuty niebieskawą mgiełką widać było bardziej z lewej strony i nieco z tyłu.

- To mój projekt, a dzieło robotników z całego kraju - powiedział Marian Mewa z dumą. - Giewont jeszcze trochę nie skończony, widzisz tę siateczkę rusztowań, ale oddamy we wrześniu. O, może na twoje urodziny...

- Oglądam dziennik, więc nie musisz powtarzać. Strasznie trzęsie w tej syrenie, i te dysze hamujące wyją, jak zarzynana gęś... Turboloty forda są jednak stabilniejsze i cichsze.

Marianowi opadły ręce. Jednak po sekundzie opanował się i ponownie chwycił kierownicę turbolotu. Kurwa mać, mogę jednym podpisem zasadzić las na dachu Domów Centrum Warszawskiego Rozdawnictwa, a nie mogę zrobić nic, żeby zaimponować tej kobiecie - pomyślał sfrustrowany minister zarządzania krajobrazem. W turbolocie zapadła niezręczna cisza. Minęli puszczańską osadę Truskaw, dalej droga dojazdowa do Centrum Olimpijskiego wchodziła w tunel pod porośniętą lasem wydumą Ćwikowej Góry i cmentarzem w Palmirach.

„Obiecuję wam, że za dziesięć lat pod Giewontem odbędzie się olimpiada” ślubował Aleksander Kwaśniewski w 1996 roku pod Wielką Krokwią podczas Pucharu Świata w lotach narciarskich w Zakopanem. Wielu wątpiło w prawdomówność pana prezydenta. Zaraz po utworzeniu KPN-u w ideę olimpiady zimowej w Polsce zwątpił nawet sam prezydent. Z

jednej strony murem przeciw olimpiadzie w Tatrach stanął ROP (powołany we wrześniu 2004 roku spontaniczny góralski Ruch Ochrony Przyrody), z drugiej strony mur swoim sportowcom postawiła Unia Europejska i Stany Zjednoczone. Chęć udziału w igrzyskach wyraziła tylko Korea Północna, grupa średniej klasy skoczków z Arabii Saudyjskiej oraz stosunkowo mocna ekipa narciarzy z Tanzanii chcących sprawdzić swoje umiejętności w gigancie po trasie innej niż ta wytyczona pomiędzy głazami wulkanicznymi w szczytowych partiach Kilimandżaro. Wydawało się, że obiecaniej przez Aleksandra Kwaśniewskiego olimpiady nie ma zrobić ani gdzie, ani dla kogo. I wtedy zdarzył się cud Boski. W Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych świński pomór, choroba wściekłych krów - obie te zarazy rozszalały się na całego. Minister Czesław Niemen natychmiast wykorzystał tę sytuację. Czterodniowe obrady w Genewie zakończyły się pełnym sukcesem polskiej dyplomacji. Minister komunalizacji spraw zagranicznych, opierając się na swoim doświadczeniu i autorytecie zdobytym w czasie licznych tournée, zaprezentował przy stole negocjacyjnym szeroki wachlarz swojej kompetencji. Czesław Niemen, ten wielki syn polskiego narodu, słusznie postąpił śladem Ignacego Paderewskiego, jednym krokiem przechodząc w czerwcu 2004 roku z estrady na scenę polityczną. Bruksela, Waszyngton i MKO1 dały się przekupić kontraktem na dostawę miliona sadzonek wieprzaka kolczastego w terminie do 2008 roku. Sportowcy zza żelaznej kurtyny uzyskali przepustkę na wyjazd do Polski i tym samym szansę zobaczenia na własne oczy sukcesów realnego komunizmu. MKO1 wymógł jednak jedno ograniczenie - zakaz wmontowywania M-wzmacniaczy w medale olimpijskie.

Po tym genewskim zjeździe z lipca 2005 roku wydawało się, że zwycięstwo idei olimpijskiej jest pewne, a opór ROP-u da się jakoś załagodzić, zwłaszcza że za olimpiadą opowiedział się również burmistrz Zakopanego, Adam Bachleda-Curuś. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. 22 lipca 2005 roku dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego, Wojciech Gąsienica-Byrcyn, na znak protestu przykuł się kajdankami do niedźwiedzia. Ogłupiałe zwierzę przez trzy dni - niczym Achilles pokonanego Hektora wokół murów Troi - włożyło wokół Murowańca na Hali Gąsienicowej zwłoki dyrektora z odgryzioną głową. Trzeciego dnia udało się wreszcie zsynchronizować trzy elementy: sztucer miotający strzykawki ze środkiem usypiającym,

weterynarza i ślusarza. Niedźwiedź na wpół najedzony, na wpół wystraszony wrócił do swojego matecznika, natomiast bezgłowy dyrektor zgromadził wokół siebie kilkutyśieczną manifestację przeciwników olimpiady odprowadzających go na cmentarz. Po tym spektakularnym wyczynie Wojciecha Gąsienicy nawet prezydent Kwaśniewski nie odważył



się reanimować w zakopiańczykach ducha sportowego. Również Adam Bachleda-Curuś przycichł jakoś, a niektórzy górale gadali, że się burmistrzowi Zakopanego nocą ukazało na Krupówkach bezgłowe widmo. Klęska całego olimpijskiego przedsięwzięcia wydawała się nieuchronna. Na szczęście 1 sierpnia 2005 roku do gabinetu prezydenta Kwaśniewskiego wkroczył Marian Mewa z rulonem mapy Puszczy Kampinoskiej w skali 1:10.000 pod pachą i ze śmiałą ideą w głowie. Szef MZK wskazał palcem położony poza granicą chronionej strefy KPN-u (Kampinoskiego Parku Narodowego) bezleśny obszar klinowato wcinający się w puszcze od północy. 15 sierpnia największe cementownie w kraju - Góraźdże, Wierzbica, Ożarów i Strzelce Opolskie pracowały już pełną parą, wyrabiając 250% normy dziennej. Olimpiada miała być pod Giewontem, więc będzie.

Żaneta przerwała milczenie w tunelu.

- Możesz jechać szybciej? Wnętrze takiej rury mnie denerwuje.

- A co, masz klaustrofobię? - zapytał Marian przekornie, zwalniając nacisk na pedał akceleratora.

- Czy możesz jechać szybciej, przecież cię proszę.

- Niestety nie da się, jest pod górkę, a przecież to tylko polski turbolot, a nie ford - Marian prawie puścił gaz, tak więc syrena sunęła już tylko rozpędem, a światełko prędkościomierza przesunęło się w okolice czterdziestki.

- Słuchaj, bo zaraz...

- Zaraz co? Wsiądziesz? - droczył się Marian.

- No to zawracaj.

- Gdzie, tutaj? - zemsta za niesprawiedliwą krytykę syreny 2005 była słodka. Niemen, który w Genewie bywał wożony i fiastą T, i mercedesem, zdecydowanie twierdzi, że komfort jazdy syreną jest znacznie wyższy. Minister zarządzania krajobrazem polegał na opinii kolegi i dlatego Marian Mewa nie mógł traktować niedawnych uwag Żanety inaczej niż jako stek snobistycznych bzdur. A że dysze hamujące trochę popiskują, tak jest przecież w każdym turbolocie, w fordzie też.

Żaneta zagryzła usta - nie wiadomo czy z tunelowego lęku, czy ze złości, a Marian odczekał minutę i dopiero przed samym wylotem z tunelu nacisnął pedał tak mocno, że przyspieszenie dosłownie wcisnęło Żanetę w fotel. Aż do samego parkingu w wiosce olimpijskiej nie wyrażała już żadnych krytycznych opinii pod adresem pojazdu Mariana. Ścisłej rzecz ujmując, to nic innego też nie wyrażała, gdyż nie odezwała się ani słowem aż do momentu, gdy turbolot się zatrzymał.

- Zadowolony jesteś? No to ja wracam do Warszawy - zagaiła ponownie rozmowę na

parkingu. Marian zrozumiał, że nieco przeholował.

- Żaneta, daj spokój, przecież nie możemy się kłócić o byle gównno.

- Dla ciebie to oczywiście byle gównno, że ja się od rana źle czuję. Bo ty sobie musisz w tunelu urządzić moim kosztem zabawę, żebym ja się czuła jeszcze gorzej, a tobie żeby było wesoło.

- Żaneto, skąd mam wiedzieć, że się źle czujesz od rana, przecież nic mi nie powiedziałaś.

- Bo ja się nie roztkliwiam nad sobą, tak jak ty do wszystkich swoich znajomych: a to, że ci serce, a to psychoanalitik...

Cholera, skąd ona wie o psychoanalitiku, przecież jej nie mówiłem - pomyślał Marian i puściwszy jej kąśliwe uwagi mimo uszu, starał się wyrazić troskę:

- Żaneta, przestań się wkurzać, tylko powiedz, co ci jest, przecież tak poważnie, to możemy w każdej chwili zawrócić, wiesz, to będzie ze dwie godziny podejścia najmarniej, na siłę to nie ma sensu...

- Już ci mówiłam, ja się nad sobą nie roztkliwiam. Naparłeś się na ten Kasprowy Wierch, tak sobie zaplanowałam ten weekend, to teraz wchodźmy.

Marian był kompletnie zdezorientowany. Jak na wewnątrznie cierpiącą, to Żaneta miała stanowczo za rzeński głos. Marian miał jednak chwilowo dosyć wgłębiania się w psychologię kobiety, tak więc bez pytania przepakował zawartość jej plecaka do swojego i wzdłuż słupów nieczynnej jeszcze kolejki na Kasprowy ruszyli do góry. Po dziesięciu minutach można już było ogarnąć wzrokiem całą rozścielającą się u stóp mozaikę gontów podhalańskich, kryjących dachy kompleksu hotelowego wioski olimpijskiej, ochrzczonej przez warszawiaków Nadwiślańskim Zakopanem. W hotelach trwały obecnie prace wykończeniowe mające się zakończyć we wrześniu. Chodziły jednak słuchy, że glazurnicy i posadzkarze mieli apetyt na termin 31 sierpnia 2006 roku - drugą rocznicę utworzenia PZPER-u.

- Dlaczego rozwiodłaś się z tym Mirkiem trzy lata temu? Nie chciał mieć dzieci czy co, że cztery lata przecież byliście ze sobą? - Marian chciał stworzyć bardziej intymną atmosferę przechodząc na tematy osobiste.

- Czy rozgrzebywanie moich bolesnych spraw to twój ulubiony temat do rozmowy?

- Nie, sorry, przepraszam. A o czym chcesz rozmawiać? W turbolocie zacząłem o tych górach tu, o budowie, to mówiłaś, żebym się nie powtarzał, bo oglądasz dziennik - Marian czuł, że popełnił *faux-pas*, pytając o rozwód, ale z drugiej strony wkurzał go ten jej introwertyzm, to ciągle robienie wielkich sekretów ze wszystkiego, tak jakby przyjaźń nie

równała się otwartości.

- O budowie, o liczbie robotników, o tonach cementu, które wpakowaliście w tę górę rzeczywiście też nie chcę rozmawiać... Ale przecież jest tyle innych tematów, choćby ten las, przyroda, no nie wiem co...

- Las jest sztuczny, to krzyżówka kosodrzewiny z bambusem, dlatego tej wiosny sadzone drzewa mają już po dziesięć metrów... - Żaneta skrzywiła się.

- Sama chciałaś o przyrodzie, ale widzę, że praktyczne efekty inżynierii genetycznej cię brzydzą... Nie wszystko tu jest sztuczne, wilki, które przyłazą z Puszczy Kampinoskiej są całkiem naturalne i bardzo się dobrze czują w tym lesie, nawet pod schronisko na Kasprowym zaczynają podchodzić. Tydzień temu kierowniczką schroniska, pani Jadzia, jak tu byłem z wizytacją, mówiła, że słyszała, jak wyją gdzieś blisko.

To był strzał w dziesiątkę. Żaneta przyspieszyła kroku.

- Spokojnie, nie bój się, do wieczora dużo czasu, a one żerują tylko nocą.

- Ja się nie boję, tylko się męczę, jak tak się wlecemy noga za nogą. Muszę iść swoim tempem.

- Proszę cię bardzo - odpowiedział Marian na takie dictum, czując w ramionach dodatkowy śpiwór i inne jej bambetle, które niósł w plecaku.

- Jest tam jakiś bar w tym schronisku? - zapytała retorycznie i nie czekając na odpowiedź, dodała: - To tam poczekam, cześć.

I w ten sposób Marian dowiedział się dwóch nowych rzeczy o prawdziwych kobietach:

- a) jeżeli prawdziwa kobieta od rana się źle czuje, to znaczy, że rozsadza ją nadmiar energii;
- b) jeżeli prawdziwa kobieta, będąc w lesie z najdroższym, przestraszy się dzikich zwierząt, to pospiesznie oddali się od swojego towarzysza, aby odwrócić od niego uwagę bestii czających się w krzakach i skupić ją na sobie.

Marian był wściekły. Zawsze wydawało mu się, że górskie wycieczki sprzyjają integracji, że łatwiej znosi się trud wspinaczki, idąc obok siebie, żartując, śpiewając nawet. Oczywiście z tą kobietą musiało być odwrotnie.

Już jak powiedziała: „A nie moglibyśmy jechać nad Zalew Zegrzyński?”, trzeba było jej odpowiedzieć: „No to sobie jedź!”. Przecież dobrze wiedziała, czym jest -dla ciebie ta budowa. W końcu do kogo, jak nie do ciebie, ministra zarządzania krajobrazem powinna mieć zaufanie w kwestii piękna krajobrazu właśnie. Nad Zalewem Zegrzyńskim była z tysiąc razy, a panoramy Warszawy z Kasprowego jeszcze nie widziała. Gdybyś z nią pojechał do Rzymu,

gdzie ona była, a ty nie, to przecież dałbyś się jej prowadzić po tym Wiecznym Mieście za rękę jak dobrej wróżce, szanowałbyś jej kompetencje wynikające ze znajomości miejsca. A ona ma cię w dupie i twoje kompetencje tamże. Sama sobie poszła na szczyt... Co masz do powiedzenia na temat tych gór, też słuchać nie chciała - bo dziennik ogląda, ze szklanego pudełka wie lepiej... A twoje skierowanie na rejs śródziemnomorski musiałeś oddać Millerowi, żeby się nie zmarnowało, ciekawe kiedy on uzbiera choć ze sto dowodów uznania i ci odda... - zamiast głosu Żanety Marian musiał więc, samotnie podchodząc, słuchać wewnętrznego głosu swojego drugiego „ja”.

Pierwsze „ja” też coś tam pitołiło: Ale przecież jednak przyjechała tu z tobą. Nie poddawaj się teraz. Mount Everest jest nadal do zdobycia. Jest ciężko, ale ten oblodzony szczyt czeka na ciebie tam, w górze, żebyś go ogrzał i dobrał się do nagiej skały, przecież dziś będzie pełnia, doskonała pogoda do nocnego ataku.

Ale kurwa nawet kanapek zrobić nie chciała, oj, Marianku, w te twoje Himalaje chyba nadciąga monsun, a wieczorem będą grzmoty w blasku błyskawic, a nie atak szczytowy w blasku księżyca - proroczy głos drugiego ja miał przewagę w tej wewnętrznej dyskusji. Poza tym miał argumenty: istotnie zła prognoza pogody zaczynała się sprawdzać z kilkugodzinnym opóźnieniem. Słońce, które tak pięknie upstrzyło Marianowi kołdrę dziś rano, teraz schowało się za nadciągające z zachodu chmury, zostawiając ministra MZK sam na sam z górą, z której na pewno nie będzie widoku i z kobietą, z której zapewne nie będzie pożytku. Kiedy o 16.00 Marian wreszcie doczłapał się do schroniska, mleczna zawiesina zgodnie ze 156. prawem Murphy’ego szczelnie opatuliła wierzchołek wznoszący się prawie dziewięćset metrów ponad poziom Niziny Mazowieckiej.

- Prześliczna jest ta panorama ze schroniska - Żaneta podniosła wzrok znad pustego talerza po bigosie, kiwnęła nosem w kierunku okna, a następnie przeniosła drwiący wzrok na Mariana, który, dysząc ciężko, pojawił się w drzwiach jadalni.

- Ale bigos znakomity, dla ciebie też wzięłam, ale najwyraźniej lubisz zimny. Coś ty te bambusy liczył po drodze?

Marian nie miał siły się odgryźć, gdyż cała jego uwaga pochłonięta była łączeniem hemoglobiny z tlenem.

- Życzę ci smacznego. Gdzie wepchałeś mój ręcznik? -wstała od stołu i zaczęła grzebać w plecaku, który Marian z dużą ulgą zdjął z obolałych ramion.

- Głębiej już się tego nie dało - wywlokła reklamówkę ze swoimi rzeczami - a śpiwory niepotrzebnie niosłeś, tu już mają pościel... To do zobaczenia, ja idę do sauny. Masz szczęście, że już działa. Aha, wybrałam dwunastkę na parterze.

Marian z rezygnacją zaczął dziubać widelcem zimny bigos.

- Minister Marian, o Jezu, naprzód z komuną, nie poznałam pana zupełnie... - kierowniczką schroniska wyszła z zaplecza KBS-u (od aut. - Komunalny Bufet Schroniskowy).

- Przez wieki wieków, pani Jadziu, trochę jestem padnięty.

- Pan nie je tego zimnego paskudztwa. Zaraz panu dam ciepły.

- Nie, nie.

- Nie „nie, nie”, tylko: „tak”, dopiero bym oczami świeciła, że otrułam ministra zimnym bigosem, a tak na marginesie, ta pana ukochana za troskliwa nie jest.

- Pani Jadziu, niech już pani lepiej nic nie mówi.

- Jedno jeszcze panu powiem. Piętnaście minut mi tu wybrzydzała, ganiała mnie po piętrach i w końcu wie pan, który pokój wybrała? Ta dwunastka na parterze to pokój z piętrowymi łózkami dla dzieci.

- A co, za krótkie? - zaniepokoił się Marian.

- Nie, tylko za wąskie - pani Jadzia porozumiewawczo mrugnęła okiem, a następnie z talerzem zimnego bigosu zniknęła na zapleczu.

Mariana ogarnęła czarna rozpacz. Czuł, że ten pokój to celowe posunięcie Żanety.

- Niech pan się nie załamuje... - pani Jadzia była chyba telepatką, gdyż przebywając na zapleczu, nie mogła widzieć wyrazu twarzy Mariana. - Jakby co, jestem w jedyńce - dokończył serdeczny głos wydobywający się zza nie domkniętych drzwi do kuchni.

- Pani Jadziu, dziękuję za pani poświęcenie.

- To nie byłoby poświęcenie, to by była przyjemność, panie ministrze.

Marianowi było szczerze przykro, że nie może nosić tego cholernego M-wzmacniacza, a niestety bez M-wzmacniacza przelecenie tej sympatycznej, lecz trochę różniącej się od Wenus z Milo kobitki dla ministra MZK przyjemnością by nie było. Niestety, wspomniana przed chwilą różnica nie polegała li tylko na tym, że pani Jadzia miała ręce, a Wenus z Milo nie.

Marian spróbował oddalić rozmowę od śliskiej tematyki.

- Co tu takie pustki, pani Jadziu, przecież rano było piękne słońce.

- Wczorajszej prognozy pan nie oglądał, ludzie wierzą w to, co się mówi w telewizji.

- Ja nie. W końcu sam tam czasem występuję - zażartował Marian.

Przez chwilę słychać było tylko dochodzący z zaplecza brzęk łyżki mieszającej bigos w garnku.

- To sama jedna pani miała być tu w nocy? Gdzie reszta obsługi schroniska?

Odpowiedzi Marian nie dosłyszał, gdyż drzwi wejściowe do jadalni rozwarły się z trzaskiem.

- Salem alejkum, Faraonie! Jak Boga kocham, prędzej bym się tu dzisiaj zamachowców z SIERP-u spodziewał - krzyknął radośnie Marian na powitanie kolejnego turysty.

- Nie wywołuj wilka z lasu, naprzód z komuną, stary dziadu, jak tu wlałeś? - ministra budownictwa komunalnego Stefana Liroya nigdy nie opuszczał dobry humor.

Stefan Liroy - kielczanin, idol młodzieży, autor między innymi sympatycznego przeboju *Scyzoryk*, którym wyrył się w 1995 roku w sercach bywalców dyskotek całego kraju, niejednokrotnie w nieformalnych rozmowach z Marianem mawiał, że na ministra zgłosił się „dla jajec”.

Już prowadzone w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych przez koalicję SLD-PSL doświadczenia dowiodły, że najlepiej na stanowisku w danym resorcie sprawdza się człowiek z otwartą głową spoza branży. Każde dziecko słyszało przecież o rewolucyjnych osiągnięciach rolnika Zdzisława Podkańskiego jako ministra kultury. Również dokonania Waldemara Pawlaka, który przejął pałeczkę od Zdzisława Podkańskiego są powszechnie znane - od choćby radykalna reforma tego skostniałego, wyalienowanego z kultury masowej tworu, jakim była Filharmonia Narodowa. Wspólnota KPN-u z tych udanych doświadczeń czerpała pełną garścią. W okresie przejściowym zdarzały się jeszcze wyjątki, w 2004 roku, jak pamiętamy, Zdzisław Podkański, ustępując na Krakowskim Przedmieściu miejsca Waldemarowi Pawlakowi, przeszedł na krótko do resortu rolnictwa, ale już wiosną 2006 roku tę scenę narodowego wyżywienia przejął Kazimierz Dejmek - niezapomniany dyrektor Teatru Narodowego i to właśnie dzięki wprowadzonym przez niego nowym układom choreograficznym ruchu kombajnów udało się podnieść dzienną normę zbioru wieprzaka o 35,7 kwintala z hektara. Oto wymowny dowód, co daje świeże spojrzenie niespecjalisty.

Specjalistyczne studia kształcą sprawnych wykonawców - wyciskają w mózgu ograniczoną sieć ścieżek, którymi myśl może się poruszać, na przykład magister inżynier zna wskaźniki wytrzymałości materiałów, prawa fizyczne rządzące odkształcaniem się stali i w związku z tym magister inżynier jest przekonany, że wie, co jest możliwe, a co nie. I dlatego prawdziwego geniusza i wizjonera, który wymyśli niemożliwe i każe je zrealizować wykształconym w danej dziedzinie specjalistom, takiego twórcy kreatora należy szukać przede wszystkim wśród ludzi aktywnych działających poza tą dziedziną ewentualnie pomiędzy „wywalonymi” studentami danej branży, których mózg zdołał się jeszcze oprzeć procesom deformacji, albo pomiędzy tymi, których duch szybuje daleko wyżej ponad

poziomem formalnego wykształcenia. Taki był Liroy - minister podobnie jak Marian Mewa, Dejmek czy Czesław Niemen wzięty do rządu „z ulicy”, a ściślej rzecz ujmując, z ogólnokomunalnego konkursu dla wszystkich chętnych. Liroy, jak to już było wspomniane, wziął udział „dla jajec” i „dla jajec” zwyciężył. Jako minister budownictwa komunalnego stanął przed szansą realizacji swoich niesamowitych pomysłów, które nadesłał na konkurs. Rekonstrukcja regionalnej drewnianej zabudowy wsi polskiej po uprzednim usunięciu murowanych elementów architektonicznych kontrastujących z naturalnym krajobrazem rolniczym - ten projekt w sierpniu 2006 roku był na półmetku. Natomiast prezent dla rodzimych Kielc -wzniesiona w centrum Wieża Millimetrowa (łac. *mille* = tysiąc) w kształcie ostrza scyzoryka była już gotowa. Bywalcy komunalnej kawiarenki znajdującej się na wysokości dziewięciuset dziewięćdziesięciu metrów twierdzą, że w pogodne dni z okien „Scyzoryka” widać nie tylko Łysą Górę, ale i Tatry odległe o dwieście kilometrów.

Marian Mewa szczerze zaprzyjaźnił się z Liroyem w czasie wspólnej realizacji kompleksu olimpijskiego. Liroy okazał się niezastąpiony, zwłaszcza w kontaktach z ludźmi tej budowy, kiedy trzeba było przetłumaczyć harmonogram robót z inżynierskiego żargonu na ludzki język robotników. Właśnie dzięki temu osobistemu zaangażowaniu Liroya ta sztandarowa inwestycja realnego komunizmu, trzykrotnie przewyższająca skalą kairskie piramidy, realizowana była w tempie o 1000% wyższym od tego, jakie uzyskiwali faraonowie egipscy, stosując niewolniczy ucisk.

- O, i witam panią Faraonową - minister MZK uklonił się z galanterią przed Moniką, uroczą konkubinią Liroya.

- Marianku, zaraz cię kopnę, wiesz gdzie - odpowiedziała serdecznie Monika.

- A co, Faraon chce cię zdetronizować? Co się złościysz? Czciogodny Faraonie, czy każesz tę tu nałożnicę zamurować w Giewoncie, aby pędzić monogamiczny żywot z królową Patrycją? Właśnie, czemu żeście Patrycję zostawili na dole? - Mariana zdziwiła nieobecność drugiej ukochanej Liroya.

- Patrycją oglądała wczoraj prognozę, powiedziała, że woli sprzątać dom, niż moknąć, miała chole... rację, zaraz lunie.

- Liroy, a co ty się tak jąkasz - Marian Mewa zwrócił uwagę, że minister MBK zająknął się przy słowie: „cholera” i nie dokończył.

- Weź, nic nie mów, od rana nie mogę mówić po ludzku... Ta tu... No właśnie, o ku... chenska mikrofalowa, zaraz nie wyrobię...

- Obiecałam mu, że jak do dwunastej w nocy dzisiaj nie użyje wulgarnego słowa, to mu po północy zrobię taką niespodziankę, jakiej mu jeszcze żadna nie zrobiła. I się mój

misiaczek męczy z ciekawości. Prawda, pysiu?

- Prawda, ku... stosz muzeum, prawda. Nie, no chyba mnie popier... ścieniło. Marian, ty dobrze robisz, że się z babami nie zadajesz. Człowiek się od jednej uwolni na parę godzin, to mu druga, ku... śmiderek, zagwozdki funduje.

- Ja się z babami nie zadaję? Wiesz, z kim tu jestem? Z Żanetą!

- Kurwa mać, o kurwa, o kurwa, o kurwa - każdą kolejną „kurwą” Liroy kwitował wpadkę z powodu wypowiedzenia poprzedniej, wreszcie poddał się. - Kurwa, poddaję się, co ci, facet, odjechało, żeby tu ciągnąć tę flądę? Mało już w dupę dostałeś? Ile to... mówiłeś, że od osiemdziesiątego ósmego ta twoja Dulcynea cię za nos wodzi... Prawie dwadzieścia lat... Do śmierci masz zamiar pierdolić chujem o żelbeton!

- Pysiu, jeżeli natychmiast przestaniesz, to ci dam jeszcze jedną szansę - Monika próbowała zatrzymać ten przedwczesny wytrysk łaciny.

- Marian, ja ci mówię, ty zabierz jej M-wzmacniacz i zanieś do elektryka, bo albo w tym cholerstwie coś się spierdoliło, albo ona ma tak popierdalone pod kopułą, że i M-wzmacniacz jej nie pomoże.

- Stefanku, proszę po raz ostatni...

- Już skarbie, ale nieszczęście Mariana tak mnie telepie, że się nie mogę powstrzymać - Liroy znał dobrze sekrety Marianowej duszy, przegadali kiedyś na wiadomy temat kilka godzin i wymyślili tylko to, że Marian ma sobie dać wreszcie spokój. Marian był jednak na wszelkie perswazje odporniejszy od narkomana. Przytakiwał, a miesiąc później całą rozmowę można było zaczynać od początku.

- Marian, kaktus mi na kutasie wyrośnie, jak ty ją dzisiaj bzykniesz. Założysz się, że ci wytnie jakiś numer?

- Nie musimy się zakładać, już wycięła. Wzięła pokój, ten, wiesz, z piętrowymi łózkami.

- O ku... kuleczka, a to wredna...

- Stefan! - Monika w ostatniej chwili przywołała ministra budownictwa komunalnego do porządku.

- Marian, to w takim razie pierdol... lalala, to wszystko i przeprowadź się do nas. Ja tu zarezerwowałem pokój sześćosobowy, bo się chcieliśmy poganiać, ale tak, to zrobimy milutki trójkącik, Monika, co ty na to...

- Żaden trójkącik, ty, Stefan, będziesz dziś spał na wycieraczce, a ja tylko z Mariankiem, masz przechlapanie, przekląłeś teraz.

- Nie przekląłem, nie powiedziałem „l” na końcu.



- Powiedziałeś.

- Powiedziałem: „pierdo” i potem „lalala”, prawda Marian? - Liroy mrugnął okiem porozumiewawczo do kolegi z rządu.

- Monika, daruj mu.

- Marianku tylko dlatego, że ty poprosiłeś, bo przeklął ewidentnie - Monika bardzo polubiła Mariana zaraz, jak się poznali przez Liroya rok temu.

- No to co, trójkącik mamy zaprojektowany - Liroy był wyraźnie zadowolony.

- O nie, ja się nie zgadzam, naprzód z komuną, ministrze Stefanie. Cześć Monika, jak się cieszę. Chcieliście się bawić beze mnie? To zabieram bigos z powrotem na zaplecze - kierowniczką schroniska pani Jadzia dopiero teraz wyłoniła się z aromatycznych oparów bigosu, już od dłuższej chwili wydobywających się zza nie domkniętych drzwi. Ewidentnie słyszała całą rozmowę.

- Nie jestem uczulony na czworokąty - Liroy rozpromienił się jeszcze bardziej.

- No, Marianku, to już my cię dzisiaj wyleczymy z twoich problemów - Monika podeszła szefa MZK i przytuliła się do niego zalotnie.

- Ja też chcę, ja też chcę - pani Jadzia rzuciła na stół umazaną bigosem chochlę, podbiegła do Mariana i objęła go z drugiej strony.

- Tylko wam zdjęcie zrobić. Istna seksgrupa Laokoona. Marian, nie wypłaczesz się z tych ramion - Liroy bawił się coraz lepiej.

Żanetą weszła w grubym płaszczu kąpielowym frotte.

Marian mógł się teraz przekonać, co między innymi dźwigał w plecaku. Jednak wobec zaistniałej konsternacji ten płaszcz kąpielowy nie rzucił się Marianowi aż tak bardzo w oczy. Na twarzy Żanety pełgał tajemniczy uśmiech Giocondy ukąszonej właśnie przez osę w część ciała nie uwidocznioną na słynnym portrecie autorstwa Leonarda da Vinci.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - Marian postanowił zagrać va banque. - Przeprowadzamy się do pokoju Liroyów, będzie zabawniej.

- Może pozwolisz najpierw, że się przywitam - cały czas się uśmiechała, ale na widok tego uśmiechu Marianowi chodziły ciarki po kręgosłupie.

- Dobry wieczór, pani Moniko, prześlicznie pani w tej fryzurze, musi mi pani zdradzić, po jakim szamponie włosy się robią takie puszyste - głos Żanety był ciepły, słodki i niemal serdeczny. Marian znał ją jednak zbyt dobrze, wiedział, że pod tą warstwą lukru buzuje stężony kwas siarkowy. Podchodząc do Liroya, Żaneta przez ułamek sekundy wbiła dwa sztylety swojego wzroku w spłoszone źrenice pani Jadzi. Liroy stał z głupią miną, więc prawie podetknęła mu rękę pod nos. Nie mając wyjścia Liroy dziobnął tę rękę ustami.

- Ministrze Stefanie, pan jednak zawsze jest stuprocentowym dżentelmenem. A teraz, Marianku, może byłbyś tak miły i poszedł ze mną, bo nie umiem ustawić temperatury w saunie. Marian jednak, czując psychiczne wsparcie grupy przyjaciół, ani drgnął.

- Jak przekręcasz regulator, to musisz go najpierw wcisnąć, bo jest blokada, taka jak w kuchence gazowej.

- Bardzo ci dziękuję, że mi wyjaśniłeś - powiedziała znowu z tym giocondowym uśmiechem na ustach, następnie odwróciła się do wyjścia.

- Zaraz, nie uciekaj znowu, za chwilę może wszyscy pójdziemy do sauny, porozmawiaj z nami chwilę. Liroy, poradź coś, przyjaciółka mi dzisiaj cały dzień ucieka; jak wspomniałem, że wilki podchodzą pod schronisko, to tak szybko pobiegła, żeby je zobaczyć, że o godzinę mnie wyprzedziła w podejściu tutaj - Marian wreszcie zwiertzył okazję, by trochę zemścić się za swoją samotną wspinaczkę. Żaneta jeszcze raz promiennie się uśmiechnęła i bez słowa wyszła z jadalni.

- Szkoda, że Patrycja z nami nie poszła, pogoda jest chu... chu, chu, chu, no jest zimno, ale szykuje się gorąca noc, czuję, że będzie rozrywkowe - Liroya bawiła cała ta sytuacja. - Marian ku... stosz muzeum, ta żmija jest o ciebie zazdrosna, nie do wiary. Mówię ci, ona ma zepsuty wzmacniacz, bo inaczej to niemożliwe, albo naprawdę jest ostro psychiczna.

- E tam, zazdrosna. Wściekła się, że o tych wilkach wspomniałem, rzeczywiście pognęła dziś do schroniska, aż się kurzyło.

- Wilki wilkami, ale wcześniej, jak na Monikę, i jak na Jadzię patrzyła... Facet, ty ją może rzeczywiście dziś bzykniesz, chole... sterol, a ja powiedziałem, że mi kaktus na kutasie...

- Marianku, zlituj się nade mną, nie rób mi tego - Monika słysząc o kaktusie na przyrodzeniu Liroya złożyła błagalnie ręce.

- Wybacz, Moniko, nie chcę, ale muszę... Wiesz, instynkt zachowania gatunku - odpowiedział Marian.

- Marian, błagam - droczyła się Monika.

- O moja kochana, podpadłaś teraz, Patrycja mnie bardziej kocha, popatrz, poświęciła się, została posprzątać mieszkanie, to ten kaktus też by zniosła - powiedział Liroy, symulując karcący ton.

- Liroy, żebyś ty się nie zdziwił, zobaczysz, wrócisz do domu, a tam czyściutko, posprzątane, na stole świeżutkie gazetki, śledzik, ogóreczek, a za stołem trzy brygady kamieniarzy z Giewontu. Oczywiście twoja oddana Patrycja pod stołem. Będziesz mógł

zagrać w kamienne twarze -wtrącił się Marian.

- Jak to, w „kamienne twarze” - Liroy nie do końca ogarnął wizję roztoczoną przez ministra zarządzania krajobrazem.

- No wiesz, to taka gra zespołowa. Zawodnicy zza stołu robią dla zmyłki różne głupie miny, a ty stoisz i musisz zgadnąć, komu w tym momencie Patrycja, robi przyjemność pod stołem.

Liroya skrzywiło ze śmiechu, natomiast Monika nieco się skrzywiła. Wreszcie Liroy wyśmiał się na tyle, by znowu móc mówić:

- Patrz, Monika, zawsze ci mówiłem, że ten nasz Marian to jest święty asceta, prawie jak ten średniowieczny Abelard, co całe życie wzdychał do zakochanej w nim Heloizy, tylko nawet nie śmiał pomyśleć, że ona też ma tyłek, który się marnuje. Ale wyszło szydło z worka, nasz Marianek to jest zwykła kryptoświnia, a nie żaden święty.

- Liroy, twoje metafory można o kant dupy potłuc, bo Żaneta mnie nie kocha, a poza tym jej tyłek bynajmniej się dotąd nie marnował, opowiadałem ci - obruszył się Marian.

- Kocha cię, kocha, tylko ona jest kopnięta, więc to się u niej objawia tak, że się można nie domyślić... Ale to jej wejście smoka dzisiaj... Bzykanko masz jak w banku.

Za oknem błysnęło. Ale grzmotu nie było jeszcze słychać. Mariana coś tknęło.

- Pójdę zobaczyć, czy dobrze nastawiła tę temperaturę, jeszcze jej ręka drgnęła z nerwów i się tam ugotuje ze złości.

- Albo z zazdrości o ciebie Marian, jakby co, to rżnij, póki gorąca.

- Liroy, jak ty mówisz - Monice nie spodobała się poetyka wypowiedzi Liroya.

- O, przepraszam, „rżnij” to nie jest brzydkie słowo.

- Nie, ja już nie mam do ciebie siły - Monika z wychowawczej bezradności opuściła rękę.

Dłoń Mariana naciskała klamkę.

- Marian, poczekaj, weź to, bo widzę swojego nie masz - Liroy rozpiął pasek ze spodni i zaczął go wysuptywać ze szlufek.

- Zgłupiałeś, przecież nie będę jej bił - Marian zrobił oburzoną minę.

- A czy ja ci mówię, żebyś ty ją bił? To tylko w trosce o ciebie, jakbyś miał problemy.

- Jakie problemy. Jakby nie chciała, czy co?

- Nie. Jakby tobie nie chciał... zastartować, wiesz, Marian, przecież ty jesteś masochistą. Ona już osiemnaście lat cię dręczy, tak? Chyba tylko za to ją kochasz... to wiesz, możesz nie mieć zapłonu, jak teraz będzie za miła.

Marian nic nie odpowiedział, tylko patrząc Liroyowi w oczy, popukał się w głowę.

- Nie chcesz, to nie, ale mówię ci, w razie co trzasnęłaby cię w dupsko ze trzy razy i zaraz byś ruszył jak młot pneumatyczny. To co, bierzesz ten pasek?

- Obejdzie się - odpowiedział Marian i wyszedł z jadalni. Liroy z powrotem wsuwał pasek w szlufki, natomiast Monika i pani Jadzia jeszcze przez pięć minut na przemian chichotały i krztusiły się ze śmiechu.

Na schodach zejściowych do piwnicznej części schroniska, gdzie mieściła się sauna, światło było zgaszone. Marian zdziwił się nieco, zapalił je i zszedł w dół. W saunie też się nie świeciło. Marianowi gula podeszła do gardła, uchylił obite boazerią drzwi, ale w środku nie było ani ciepło, ani duszno - parownik w ogóle nie był włączony. To gdzie ta cholera jest? No tak, obraziła się i sama siedzi w pokoju - pomyślał Marian i zaczął wchodzić z powrotem na górę. Nagle żarówka przygasła na ułamek sekundy, a potem rozległ się potężny grzmot pioruna, który musiał uderzyć gdzieś blisko. Marian przyspieszył kroku...

\*\*\*

Niebo poczęło się zaciągać coraz mocniej; chmury wypełzały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały siwe grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całym stadem, groźną ponurą i milczącą ciżbą waliły się na niebo; szły od północy czarne olbrzymie góry - postrzępione, podarte, spiętrzone, rosochate niby kupy borów podruzgotanych, przerywanych głębokimi przepaściami, zaspanych zielonawymi ławicami lodu, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu zza borów czarnych, nieruchomych wysuwały się z wolna sine, obrzękłe zwały prześwitujące gdzieniegdzie jakby ogniem, a szły jedna za drugą rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przekrwione, przeropiałe zgoła paskudne; kieby te ścierwa przegniłe ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwonawe, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i guzłów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych - jakby pełne tego gmerzącego robactwa; a jeszcze i z góry jakby z wygasłego słońca spadały kłakami brudnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące - a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipieliem...<sup>3</sup>

Anusia Fęcak od dawna marzyła o takim dniu. Nie chciała, żeby to stało się byle kiedy, między szczotkowaniem zębów a śniadaniem. Nie. Marzyła właśnie o takim

---

<sup>3</sup> Władysław Reymont, *Chłopi*

wieczorze. Żeby było jak w tym filmie Frankensztajna o ożywaniu potwora, majestatycznie. Tylko oczywiście Anusia nie marzyła o żadnym potworze, potrzebna jej była jedynie podobna scenografia. Wiatr, jakby wychodząc naprzeciw oczekiwaniom Anusi, porwał tumany piasku z całego obszaru Pustyni Błędowskiej i z całą siłą uderzył tysiącami maleńkich pocisków w okna chałupy. Szyby zadrżały. Anusia podeszła do lodówki i otworzyła zamrażalnik. Gdzie to jest - myślała, przesuwając na bok szynce z wieprzaka. Również za pasztecikami sojowymi nic nie było. O Boże, może babcia wycisnęła to do zupy - Anusi serce podeszło pod gardło, ale w tym momencie dłoń natrafiła na znajomy kształt ukryty za torebką zamrożonej kostkowanej marchewki. Anusia wyjęła dwie zgrzewki nasienia rolniczego z zamrażalnika i zamknęła lodówkę. Może jedną zostawić w lodówce - pomyślała. - Ale nie, data ważności jest tylko do pojutra, to i tak do pojutra nic nie będzie wiadomo, czy się przyjęło, czy nie, e, najlepiej będzie zużyć obie zgrzewki naraz, to będzie 200% pewności.

Anusia jeszcze raz zerknęła na zegarek. Żółte światełko obok okienka czasomierza paliło się zachęcająco. Anusia kontrolnie polizała szkiełko cyferblatu. Elektroniczny ślinowy tester płodności trzeci już dzisiaj raz wyświetlił „14” i malutkie symboliczne jajeczko obok. Idealnie czternasty dzień cyklu. Tak, te zegareczki to była nie mniejsza rewolucja niż pierwszy zasiew wieprzaka czy rozdanie M--wzmacniaczy przez księdza Janeczka. Anusie zawsze nieco krępowały rozmowy o tych prezerwatywach, a teraz każda dziewczyna i każdy chłopak na wsi mają wygodę. Wystarczy zerknąć: zielone światełko - można jechać, żółte - tylko w tym nieszczęsnym ubranku, czerwone - zakaz wjazdu. Anusia z czułością rozgrzewała zgrzewki w dłoniach.

Jaki on będzie? - myślała. Szron na folii roztopił się wreszcie i Anusia mogła jeszcze raz odczytać to, co już pięć razy czytała w ośrodku „Chcę być mamą” zaraz po pobraniu zgrzewek.

#### NASIENIE ROLNICZE

PŁEĆ MĘSKA - prawdopodobieństwo 76,8%

DOPUSZCZALNA INTELIGENCJA:

w przedziale I = 0,7-0,8qołodki/gram mózgu

TEŻYZNA MIĘŚNIOWA

w przedziale: 0,8-1,0 kg/cm włókna tkanki

WYSOKI WSKAŹNIK AKOMODACJI

DO ZMIENNYCH WARUNKÓW ATMOSFERYCZNYCH:

800-1500 hektopascali

WYSOKA MROZODPORNOŚĆ (do  $-50^{\circ}\text{C}$ )  
WYSOKA ODPORNOŚĆ NA UPAŁY (do  $+50^{\circ}\text{C}$ )  
WYSOKA TOLERANCJA NA SKAŻENIE GLEBY OŁOWIEM  
(do  $0,349\text{ mg/dm}^3$ )  
ORAZ NA PODWYŻSZONY POZIOM FOSFORANÓW  
(do  $0,289\text{ mg/dm}^3$ )  
I AZOTANÓW  
(do  $0,180\text{ mg/dm}^3$ )  
PO ODEJŚCIU OD OŚRODKA  
REKLAMACJI NIE UWZGLĘDNI SIĘ!

Tak, to było właśnie to. Ciężko było wystać siedem godzin w kolejce przed ośrodkiem, która ustawiła się już o piątej rano, zaraz po tym, jak poprzedniego dnia wieczorem między babami z Chechła rozeszła się pogłoska, że następnego dnia rano rzuca spermę rolniczą. I rzeczywiście o ósmej rano była dostawa, ostatnia partia - sama końcówka z centralnego magazynu spermy. Anusia wiedziała z telewizji i z tygodnika „Kobieta Spółdzielcza”, że po tym strasznym wypadku w Wytwórni Nasienia Państwowego nowa produkcja ruszy dopiero za pół roku. Chłopy ze wsi to się nawet cieszyły, że będą mogli znowu pojeździć „bez opon”, ale dziewczuchy szybko wyprowadziły ich z błędu - żadna uświadomiona kobieta wiejska nie chce przecież w naturalny sposób począć jakiegoś mongola albo wiejskiego głupka w sytuacji, gdy na rynku jest wyprodukowana w WNP zdrowa sperma z atestem PZH. Fakt, że akurat teraz pojawiły się przejściowe trudności i braki w asortymencie, ale każda wolałaby sobie zaaplikować domacicznie „wiejskiego nauczyciela” lub w ostateczności genzestaw „artysty ludowego”, niż zdać się na przypadek i dać sobie w jakiejś stodole wtrysnąć surową, nie przetworzoną spermę, z której Bóg wie, co się wylęgnie na pośmiewisko całej wsi.

Sperma w zgrzewkach była już wystarczająco ciepła. Anusia wyjęła z szuflady aplikator i wbiła jego ostrą końcówkę w jędrną torebeczkę. Po opróżnieniu pierwszej, Anusia przebiła drugą i aplikator znów zaczął zasysać białawą treść... I wtedy stało się nieszczęście. Okno otworzyło się gwałtownie, uderzając Anusią w rękę. Aplikator zrobił trzy obroty w powietrzu i roztrzaskał się o posadzkę z hartowanego szkła. Anusia zamarła, nie wiedząc, czy najpierw zbierać spermę z podłogi, czy zamknąć okno, przez które bluzgał jednocześnie strumień wody deszczowej zmieszanej z piaskiem i strumień światła. Wreszcie Anusia widząc, że już i tak nie zdoła uratować spermy przed rozcieńczeniem deszczówką, rzuciła się

do okna. Ostre światło reflektorów oświetlało drogę przejeżdżającym tuż pod oknem turbolotom PSL-u na sygnale. Potężniejszy od pustynnego wiatru podmuch z dysz napędowych będący sprawcą otwarcia się okna, teraz nie pozwalał go zamknąć. Dopiero kiedy wszystkie sześć maszyn przejechało, Anusi udało się zatamować napływ żywiołu do chałupy. Na podłodze stała olbrzymia kałuża, w której to tu, to tam pływały cienkie białawe kłaczkę. Boże, co na to spustoszenie powie reszta chałupników, jak wrócą od sąsiadów z pogaduszek. Trzeba wytrzeć...

Oprócz cieczy z podłogi w ścierkę wsiąkały Anusine łzy. Tak bardzo już chciała mieć dziecko, takiego małego, pracowitego rolnika. I co teraz - czekać pół roku czy zadowolić się artystą ludowym, do którego były jeszcze w ośrodku zestawy genów? A może pani Małgosia z ośrodka wy-skrobie coś jeszcze spod lady... Ale nie, to uczciwa komunistka... O, a może ta głupia Elżbieta, co wzięła pięć zgrzewek, odstąpi choć jedną. Przecież wszystkich pięciu sobie nie wstrzyknie naraz, bo by jej uszami wyleciało. A data ważności całej partii jest do pojutra... Właśnie, na co jej pięć... Na pewno odstąpi. Grunt to pozytywne myślenie! - Anusia odprężyła się nieco. - A swoją drogą ciekawe, do kogo PSL jedzie po nocy i to w tyle wozów...

\*\*\*

Żarówka na korytarzu zaczęła przygasać raz za razem. Burza rozpętała się na dobre. Słysząc też już było głośnie brzęczenie kropel deszczu o dach. Marian stanął przed drzwiami numer 12. Bał się, ale nie było wyjścia, trzeba było wejść. Żaneta była w pokoju. Upychała właśnie płaszcz kąpielowy do swojej reklamówki. Na sobie miała płaszcz od deszczu. Przez zaciśnięte usta co i raz wraz z wydechem wydobywał się tłumiony szloch. Całe policzki miała mokre.

- Żaneta, nie wygłupiaj się, o co ci chodzi. Odwróciła głowę i nie patrząc na Mariana, bez ładu i składu pakowała do reklamówki a to lokówkę, a to mydelniczkę, a to jakiś inny drobiazg, których dosyć dużo zdążyła już porozkładać po pokoju.

- Opanuj się, przecież nic ci nie zrobiłem - Marian bał się tej jej determinacji, znał ją, wiedział, że jak się uprze, to pójdzie prosto w noc, deszcz i wilcze paszcze (które oczywiście Marian wyssał z palca).

- Nie, nic, tylko upokorzyłeś mnie tak jak nikt jeszcze ~<sup>w</sup> J<sup>c</sup>J głośnie pobrzmiwała mieszanina wściekłości i autentycznej rozpacz.

- Czym cię tak upokorzyłem?

- Odsuń się.

- Czym cię tak upokorzyłem? - Marian zasłonił drzwi swoim ciałem.
- Ośmieszyłeś mnie przed tymi twoimi ulubionymi znajomymi.
- Że co, że powiedziałem, że się trochę wilków przestraszyłaś, to jest powód...
- Nie, ty nic nie zrobiłeś... Przecież łaskawie zaprosiłeś mnie do waszego pokoju...

Wracaj więc sobie do Monisi, Jadzi i tego twojego ukochanego Liroya. Proszę bardzo, bawcie się, ale beze mnie i nie moim kosztem. Puść mnie.

Może Liroy miał rację, może rzeczywiście jest zazdrosna - przemknęło Marianowi przez głowę. Spróbował ją objąć i uspokoić.

- Nie dotykaj mnie - cofnęła się jak oparzona.
- Żaneto, porozmawiajmy.

- Nie ma o czym rozmawiać, chciałam jechać nad Zalew Zegrzyński, jak ci się wydaje, dla kogo tu się wdrapywałam, myślisz, że mnie pasjonuje siedzenie w jakimś obskurnym schronisku w czasie deszczu, nad zalewem jest przynajmniej mnóstwo przyjemnych knajpek. Ale ty masz gdzieś to, co ja lubię - szloch powoli przechodził w chlipanie.

- Nad Morzem Śródziemnym też jest mnóstwo przyjemnych knajpek w każdym porcie, ale ty wcześniej wolałaś jechać z kimś innym.

- Puść mnie, musiałeś to powiedzieć, musiałeś, żeby mnie zabolalo - szloch wybuchł z nową siłą.

- A ty myślisz, że mnie nic nie boli. Osiemnaście lat cię kocham. Nie mam nikogo... nawet M-wzmacniacza założyć nie mogę, żeby się uwolnić.

- Chcesz się uwolnić, to mnie puść. Zaraz będziesz wolny z Jadzią, Monisią i Liroyem. Odsuń się.

- Żaneto, proszę cię, zostań. To wszystko... bo ja nie daję już sobie rady z uczuciami... Ja cię czasem tak nienawidzę! Dlaczego mnie dzisiaj zostawiłaś przy podejściu!? Chciałem, żebyśmy razem... - Marian czuł, że coś w nim pęka. - Nie można jednocześnie kochać i nienawidzić kogoś bliskiego, bo to zabija, bo to jest obłąd jakiś -i Marian po raz pierwszy od trzydziestu paru lat zaczął płakać.

I wtedy stał się cud - Żaneta objęła go i z autentyczną czułością zaczęła gładzić głowę ministra zarządzania krajobrazem.

- I dlatego, Marian, lepsza dobra przyjaźń niż zła miłość - powiedziała smutnym, ale ciepłym głosem.

Marian pożałował teraz swojej metafory dotyczącej przyjaźni, którą trzeba uciąć, jeżeli jest zakażona gangreną jak noga. Marian czuł, że przyjaźń łącząca go z Żaneta mimo



wszystko da się uratować, trzeba by tylko wstrzyknąć antybiotyk w odpowiednie miejsce.

Kłótnia zmęczyła ich oboje, najpierw usiedli, a potem w ubraniach położyli się obok siebie na parterze jednego z piętrowych łóżek. Było strasznie ciasno, ale to nie przeszkadzało Marianowi - pierwszy raz od bardzo długiego czasu był naprawdę szczęśliwy. Tak absolutnie szczęśliwy, że nagle wszelkie seksualne usiłowania zdały mu się zbędnym wysiłkiem, Marian czuł, że najbardziej ludzkie partie jego mózgu uzyskały zdolność przeżywania najwyższej rozkoszy bez płacenia haraczu prymitywnym zwierzęcym ośrodkom limbicznym pnia mózgowego. Żaneta nadal obejmowała Mariana i delikatnie szepcząc gładziła go po włosach. To był raj. Teraz Marian namacalnie poczuł, czego pragnął przez tyle lat: Madonny i ladaczniczy w jednym; matki i kochanki; kobiety bezlitosnej i czulej zarazem; twardej i miękkiej; kobieco lękliwej i w porywach niepoczytalnie odważnej... Taka jest Żaneta, ona jedna, ona naprawdę była zdolna przeze mnie nocą sama wracać do Warszawy. Takie kobiety w feudalizmie potrafiły porwać rycerstwo do walki i stanąć na jego czele, jak choćby ta Joanna d'Arc, takie kobiety w kapitalizmie, prowadząc hurtownie i restauracje, potrafiły plunąć w twarz prusz-kowskim mafiozom przychodzącym po haracz, w takich silnych, nieobliczalnych kobietach w gospodarce komunalnej niewyżyty heroizm kwaśniejże zatruwając życie bliźnim - myślał Marian i ślubował, że po tej nocy, dla wielu kolejnych takich nocy zniesie chętnie za dnia wszelkie przejawy nawet najbardziej skwaśniałego heroizmu. Z tym postanowieniem zasnął w ukochanych ramionach.

Obudził Mariana budzik hydrauliczny. Ucisk moczu na pęcherz był prawie tak dolegliwy, jak ucisk deski zabezpieczającej w kręgosłup. W zasadzie to dobrze, że ta deska była, bo w nocy Żaneta zaczęła się tak rozpychać, że gdyby nie deska, Marian wypadłby na pewno z łóżka. Przez piętnaście minut Marian cierpiał w milczeniu, nie chciał zbudzić ukochanej istoty jakimś zbyt gwałtownym ruchem, jednak potem doszedł do wniosku, że obsikanie najdroższej byłoby jeszcze większym zagrożeniem dla rodzącego się związku.

- Żanetko... - Marian starał się jak najdelikatniej wyplątać spod jej ręki.

- Co się dzieje, musisz się tak rzucać - obudziła się nagle.

- Przepraszam cię, muszę wyjść na chwilę.

- Ty musisz wyjść, w związku z tym mnie nie wolno oczywiście spać - to już nie był szept wczorajszego anioła.

Marian pamiętał jednak swoje postanowienie. Nie od-szczeknął się więc, tylko ostrożnie wstał i grzecznie poszedł oddać mocz. Żeby nie hałasować spłuczką rezerwuaru, wyszedł przed schronisko i dosłownie zamarł z przyrodzeniem w garści. Po mgle nie było ani śladu, niebo granatowo-niebieskie. Rozproszone światło słońca jeszcze niewidocznego nad

horyzontem oświetlało już czubki najwyższych gmachów stolicy. Czerwieniła się okazała kopuła Pałacu Prezydenckiego zaprojektowana przez zabrzańskiego architekta, Jana Sawkę, w miejsce iglicy straconej przez czołg w 2004 roku. Pięknie lśnił biurowiec Spółdzielni Inwalidów EREKTUS, która przejęła budynek po Rimbacher Gumiwaren Fabrik. Również w szczytowej partii wieżowca COITUS (Państwowa Wytwórnia Smoczków i Prezerwatyw, która wprowadziła się do pomieszczeń opuszczonych przez Caress Slider Industry), również w szczytowej partii elewacji tego wieżowca słońce pozapalało sygnały swojego rychłego wschodu.

Marian spojrział w lewo - czerwonawy poblask jutrzeńki kładł się pięknie na bryle pomnika Liroya wzniesionego na szczycie Giewontu zamiast krzyża, nie pasującego do kontekstu całej tej olimpijskiej inwestycji. Pomnik powstał z inicjatywy kamieniarzy doceniających niemal ojcowskie formy nadzoru stosowane przez ministra budownictwa komunalnego.

W cieniu pozostawały znajdujące się na zachodnich zboczach: przecinka stanowiąca trasę slalomu giganta, tor bobslejowy i startowisko dla paralotni ustawione pod głową śpiącego rycerza. Trochę z prawej, hen za szczytem Giewontu widoczny był cały Zalew Zegrzyński, na którym miały rozegrać się regaty bojerów.

Ten widok Żaneta musi zobaczyć - pomyślał Marian, zapiął rozpiorek i szybkim krokiem wrócił do schroniska. Dochodziła 4.30.

Żaneta spała, na krześle obok łóżka leżało serduszko jej M-wzmacniacza. Może dlatego była po przebudzeniu trochę niemila, że to zdjęła w nocy - pomyślał Marian. - Ale ona i z tym bywa niemila.

Marian jakoś tak mimowolnie wziął naszyjnik do ręki. To chyba jest jakieś lżejsze... Puste czy co? Może Liroy miał rac... - myśl w głowie Mariana nie zdążyła się wy-myśleć do końca. Żaneta wyszarpnęła mu serduszko tak nagle i gwałtownie, że rozerwała łańcuszek.

- Zostaw to! - krzyknęła całkowicie rozbudzonym głosem.

- Dobrze, dobrze, przecież ci nie zabieram, chodź szybko jest genialny widok - Marian starał się odwrócić jej uwagę od M-wzmacniacza i rozerwanego łańcuszka.

- Jest noc, nigdzie nie idę.

- Zaraz będzie wschód słońca, chodź. Tylko rzucisz okiem i będziesz spała dalej. Przecież weszliśmy tu, żeby coś pięknego zobaczyć.

Z wyraźną niechęcią zaczęła się wygramalać z łóżka.

- Chodź, chodź, możesz już zdjąć płaszcz przeciwdeszczowy - do tej pory spała w tym płaszczu.

Wyszli przed schronisko. Marian promieniał, właśnie to chciał jej pokazać, zabierając ją tutaj. Był dumny, że te góry powstały dzięki jego inicjatywie, więc w pewnym sensie ten widok z miejsca, które wcześniej nie istniało, ten widok po części był zasługą Mariana.

- Popatrz, Warszawa! - głos ministra zarządzania krajobrazem przepajała radość i zachwyt.

- Warszawa to Warszawa, mogę już iść spać? - odwróciła się na pięcie.

- Żaneto, ale popatrz chwilę, nie podoba ci się tu?

- A co, założyłeś sobie, że mi się musi tu podobać, bo tobie się podoba. Myślisz, że mi możesz narzucić to, co mi ma się podobać i kiedy mi się ma podobać, bo ty nie umiesz mnie zaakceptować taką, jaką jestem, chciałbyś mnie ciągle naginać do swoich potrzeb i wyobrażeń. Przykro mi, ale cię rozczaruję. Teraz chce mi się spać - trzasnęła drzwiami od schroniska. Słońce, nie zrażone zubożeniem widowni o jedną osobę, rozpoczęło swój występ nad horyzontem. Warszawa w pełni rozbłysła glorią odbitego światła.

Tak... - pomyślał Marian, zapominając o swoim wczorajszym postanowieniu. - Bardzo słusznie, że tę kurwę, Joannę d'Arc, najpierw rzucili na pierwszą linię frontu, wykorzystali, a potem spalili na stosie. Takie jędze z nadwyżką testosteronu we krwi tylko na to zasługują. Co ty jej chciałeś udowodnić, pokazując te góry, to wszystko?! To jakby malarz poczucie własnej wartości uzależniał od opinii niewidomego. Kurwa mać, ale jestem głupi. Przecież ja nie mam z nią żadnych wspólnych zainteresowań. Kurwa mać, całą noc przeleżałem koło niej potulnie jak kastrat. Liroy się poleje ze śmiechu.

W tym momencie w mózgu Mariana błysnął fragment jakiegoś wiersza, kiedyś, gdzieś tam przeczytanego:

*Ach wyzwolić się z uczuć i dać upust żądzom,  
zwierzęcym instynktem czerpać upojenie,  
niech pamięcią złud szczęścia ekstazy nie mącą  
wyższe funkcje umysłu - te niosą cierpienie...*

- Nie, ten węzeł gordyjski miłości splecionej z drutem kolczastym trzeba wreszcie przeciąć. A ją trzeba wreszcie przetrząść i to tak, żeby jej wióry nosem poleciały - powiedział Marian na głos do siebie i z determinacją ruszył w kierunku drzwi wejściowych schroniska.

\*\*\*

- Ślimak, otwierajcie, wiemy, że tam jesteście! - Sześć turbolotów PSL-u oświetlało

reflektorami wysoki drewniany płot, którym odszczepieniec odgrodził się od reszty wsi. W jedynym we wsi ohydny murowany domu (którego Ślimak nie rozebrał na przekór opublikowanej w „Monitorze KPN-u” prośbie ministra Liroya) nie paliło się żadne światło.

- Józefie Ślimak, zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia z dnia 15 września 2004 roku w celu zapewnienia wam opieki medycznej mamy prawo rozwalić bramę.

To ostrzeżenie nadane przez megafon podziałało. Józef Ślimak otworzył drzwi i stanął na zalanych deszczem schodkach wejściowych do swojego murowańca.

- Wypierdalać, chuj, kontrol dopiero co była dwa miesiące temu. Nie macie co robić po nocy, to jedźcie zwalić konia do lasu.

- Ślimak, podejdźcie do bramy. Mamy na piśmie nakaz udzielenia wam pomocy lekarskiej.

- To go zwińcie w rulonik, wsadźcie sobie w dupę i podpalcie wystającą część. Ja jestem zdrowy.

- To się dopiero okaże, Ślimak. Było ze wsi doniesienie, że znowu mieliście atak chronicznego molestowania krowy zakończony niekontrolowanym wybuchem napadowej agresji antywieprzowej, musimy was zabrać na obserwację.

- Własnego chuja sobie poobserwujcie, a nie mnie. Won, bo pójde po widły.

- Grozi zastosowaniem przemocy, chyba już spełnił konstytucyjny warunek użycia siły z naszej strony - starszy psychiatra sztabowy Kaleń szepnął do nadpsychiatry dowodzącego oddziałem. Nadpsychiatra spojrział przez pancerną przednią szybę turbolotu na Ślimaka, któremu właśnie strumyczek wody deszczowej skapywał z nosa na wywalony szyderczo język.

- Starszy sanitariusz, puknijcie go z działka - zakomenderował nadpsychiatra Leon Adamiec. Ślimak dostał prosto w głowę. Przygryzłszy sobie język, chłop jęknął, potem złapał się za serce i zrobiwszy ciałem półobrót, osunął się na schody.

- Starszy sanitariusz, przywalcie teraz w potylicę, bo się odwrócił! Dobrze... Ustawcie ogień ciągły na minutę i samonaprowadzanie na cel. Dobrze...

Ślimak podniósł się ze schodów, próbował nieporadnie otrzepać wodę ze spodni.

- Witam kochanych gości... A ja tu taki utyłany. Poślizgnąłem się jakoś.

Ślimak odwrócił się.

- Jagusiu, zapal światło w chałupie, co tam siedzisz po ciemku jak ciućma i daj klucz, otworzyć muszę - krzyknął przez uchylone drzwi do żony.

Za moment z chałupy wynurzyła się kobieca ręka z kluczem.

- Jaguś, co się tak boisz, przecież nie przyjechali nas zjeść, a właśnie, wsadź do

mikrofali ze dwadzieścia kotletów sztrasburskich i rozmroź, nie wypuścimy gości o suchym pysku. Czym chata bogata... Chociaż nie, sztrasburskich nie, wstaw sojowe - wesoło zakomenderował Ślimak, zszedł ze schodków i zapadając się kaptami po kostki w rozmiękle od deszczu podwórkowe błoto, rażno brnął ku bramie.

- Starszy sanitariusz, ile jeszcze sekund?

- Trzydzieści do konstytucyjnego limitu.

- Dobrze, zdążymy, jak powiem: „Już”, wyłączcie działko kierunkowego M-wzmacniacza, pozostali wyskakują.

- Tak jest, obywatelu nadpsychiatro. Sanitariusze PSL-u z innych turbolotów, pozostający w stałej łączności radiowej z pojazdem dowódcy, zamarli w gotowości. Ślimaka teraz nie było widać zza płotu, ale było słychać, że gmera kluczem w zamku. Działko z rentgenowskim naprowadzaniem cały czas równomiernie pompowało przenikliwe promienie M prosto w głowę przyszłego pacjenta PSL-u.

- Przepraszam, coś mi się tu zaciął, stary ten zamek, ale wymienię jutro... Już, już wpuszczam... - mamrotał Ślimak pod nosem.

- Kurza twarz, nie zdążymy, ile sekund?

- Pięć.

- Szlag... wyskakujemy!!!

Ślimak otworzył bramę sekundę przed wyczerpaniem się konstytucyjnego limitu czasowego użycia siły. Nadpsychiatra i starszy psychiatra sztabowy oraz podlegli im sanitariusze (poza obsługującym działko) czekali już za płotem, trzymając się na pewien dystans od prawdopodobnej strefy przebiegu promieni M. W czasie akcji nawet noszenie zwykłych M-wzmacniaczy było zabronione ze względu na mogącą wystąpić niezdolność do obrony przed niepoczytalnymi czasem pacjentami.

Ślimak zrobił jeden krok za bramę i uśmiechnął się serdecznie. Dopuszczamy czas stosowania elektronicznej przemocy w stosunku do jego mózgu skończył się. Sanitariusz obsługujący działko nacisnął klawisz „Stop”.

- Osz, kurwa - ryknął Ślimak i targnął się do tyłu.

- Teraz - krzyknął nadpsychiatra i wszyscy sanitariusze PSL rzucili się na pacjenta.

Pięć minut później Józef Ślimak, opłatany jak baleron paskami kaftana bezpieczeństwa, siedział już grzeczniutko na miękkiej tapicerce w ładowni turbolotu przystosowanego do przewozu „trudniejszych” pacjentów. Tymczasem funkcjonariusze Psychiatrycznej Służby Ludowej przetrząsali obejście „indywidualnego rolnika” w poszukiwaniu dowodów choroby.

- Obywatelu nadpsychiatro, jest siekiera - zameldował sanitariusz Kłonica.

- Nie, nie, obdukcja tego świńskiego łba wykazała, że to musiał być płaski tasak albo topór masarski. Szukajcie dalej.

- Wejźmy do chałupy tego Ślimaka, co będziemy stać na deszczu - zastępca nadpsychiatry, starszy psychiatra sztabowy Kaleń próbował namówić przełożonego do opuszczenia błotnistego podwórka. Nadpsychiatra Adamiec spojrział na swoje buty i zmiękł:

- Macie rację.

Weszli do budynku. W przedpokoju wytarli buty w jakąś szmatę, a potem zajrzeli do pokoju. Na podłodze w głównej izbie był drewniany parkiet przykryty dywanem. Na stoliku stał telewizor thompson. Przez otwarte drzwi do łazienki było widać pralkę zanussi. Przy ścianie meblościanka.

- Obywatelu nadpsychiatro, przecież to istny skansen. Nie mają nawet ogrzewanych podłóg z hartowanego szkła ani regałów ceramicznych, ani wysokiej rozdzielności telewizora z Warszawskich Zakładów Telewizyjnych im. Bohaterów Bitwy Warszawskiej 2004 roku, i w ogóle ta konstrukcja domu, żadnego szkła, tylko pustaki - starszy psychiatra sztabowy Kaleń nie mógł się nadziwić wszystkiemu temu, co odróżniało kryte drewnianą elewacją szklane domy pozostałych mieszkańców Chechła od tego Ślimakowego „zabytku”.

- Kaleń, nie dziwujcie się tak, bo się nam gospodyni obrazi... A i po co...

Jagna Ślimakowa i najstarsza córka Ślimaka, czternastoletnia Julia, stały w kącie za stołem, drżące i przytulone do siebie. Pozostałe siedmioro małych, wątlých i wystraszonych dzieci Ślimaka nieśmiało wystawiało jasne główki spod łóżka.

- Jagna, czego się boicie, przecież wam dzieci nie zabiorę. One są jeszcze zdrowe, ale przy takim ojcu to pewnie już niedługo.

- Odczepcie się od Józka, stale się go czepiacie.

- Oj, Jagna, Jagna, was po prawdzie też by trzeba podleczyć. On was zaprzęga do sochy, a wy go jeszcze bronicie. Założylibyście Jagna M-wzmacniacz i poszukalibyście sobie jakiegoś porządnego chłopca albo nawet kilku. We wsi to każde dziecko ma po kilku wujków, co lubią mamusię, a ta wasza ósemka to przecież prawie sieroty.

- Jednemu w kościele przysięgałam, to mi jeden wystarczy.

- Oj, Jagna, Jagna, ale dzieciom nie wystarczy, ten wasz tu je trzyma jak w klatce. Wiecie, jak jest we wsi... Zasada: „Wszystkie dzieci są nasze”. Każdy brzdąc a to od jednego wujka się nauczy kleić modele, a to drugi wujek nauczy na komputerze, a to trzeci kombajn do wieprzaka pokaże. Jeden ojciec nigdy by na to nie miał czasu, a wy Jagna młoda jeszcze kobita jesteście i nic się o tych wujków nie staracie. Przyszłość dzieci was nie obchodzi.

- Moje dzieci, moja sprawa.

- Oj, Jagna, myślałam, że jesteście mądrzejsza. A czego ten wasz mąż dzieci nauczy...

Jak świnie rąbać toporem, tak?

Jagna cała spurpurowiała na twarzy.

- Udowodnijcie to najpierw - niemal krzyknęła.

- Obywatelu nadpsychiatro, starszy sanitariusz Kłonica melduje, że żadnego topora nie znaleziono, mamy tylko to, stało w oborze pod krową - funkcjonariusz PSL-u, który znieacka wpadł do pokoju, wskazał na postawioną na podłodze aluminiową bańkę.

Nadpsychiatra podszedł do bańki, zajrzał do środka, następnie kucnął i powąchał.

- No, Jagna, to nie jest mleko z pulpy drożdżowej, przyznajcie się, wy doiliście czy Ślimak.

Jagna już otwierała usta, ale jej córka była szybsza.

- To ja doiłam, nasza krasula lubi, jak się ją doi, przecież inaczej wymię by jej spuchło - powiedziała Julia jednym tchem.

- No widzicie, Jagna, zdemoralizowaliście dziecko. Wymuszanie laktacji na krowie wasza Julka już traktuje jako rzecz normalną.

- Zawsze się krowy doiło - Jagna wzruszyła ramionami.

- I zawsze się świnie biło - złośliwie dopowiedział nadpsychiatra.

- Nie macie dowodów - sucho skwitowała Ślimakowa.

- Znajdziemy... Starszy sanitariusz, sprawdzaliście stan inwentarza? - nadpsychiatra PSL-u zaczął tracić dobry humor.

- Tak jest. Stan zgodny z raportem sprzed pół roku i sprzed dwóch miesięcy, świnie są trzy, krowa jedna i ten wyleniały wielbłąd.

- Jagna, ciągle macie trzy świnie, a co się dzieje z warchlakami?

- A skąd warchlaki, zajrzyjcie lepiej naszym świniom pod ogon, knura nie mamy - odszczeknęła się Jagna.

Nadpsychiatra czuł, że jest w kropce. Nie chciał tego mówić głośno, ale dopiero wczoraj dostał faks z Komunalnego Instytutu Badania Świadomości Zwierząt - krowy badane metodą rezonansu magnetycznego nie wykazywały w czasie eksperymentalnego dojenia nadmiernego pobudzenia w połączeniach neuronalnych mózgu nawet przy znacznym obniżaniu stężenia podawanego w czasie eksperymentu środka znieczulającego. Tak więc w świetle najnowszych badań bańka mleka może się okazać niewystarczającym dowodem napadowego sadyzmu Ślimaka.

- Starszy sanitariusz, a więc wszystko od roku bez zmian, tak? - z rezygnacją zapytał

nadpsychiatra.

- Melduję, że nie zdążyłem dokończyć, są jakieś gęsi, których dwa miesiące temu inspekcja nie wykryła. Pod takim blatem z desek były, w jamie wykopanej w stodole, ale ładnie wyglądają, pulchniutkie są, tylko jakoś dziwnie chodzą.

- Jak to dziwnie?

- To znaczy nie chodzą, są jakieś takie za tłuste.

- Kłonica, i dopiero teraz o tym mówicie?

- Nie zdążyłem.

- Starszy psychiatra sztabowy, pamiętacie, co Ślimak mamrotał po trafieniu z działka?

- Coś, zaraz o kotletach sojowych czy jakichś tam...

- Nie żadne jakieś tam, tylko, no tak, o sztrasburskich ze stłuszczonych gęsiach wątróbek. Kłonica, szukajcie urządzenia z takimi zwisającymi rurkami do karmienia gęsi.

- Melduję, że stało coś takiego w kące w oborze, myśleliśmy, tam ciemno było, że to mały siewnik - tłumaczył się starszy sanitariusz Kłonica.

- No to źle myśleliście, to nie jest żaden siewnik, tylko urządzenie dawniej bardzo często używane przez wiejskich sadystów. Te rurki wpycha się na siłę gęsiom głęboko do gardła i potem pompuje takie ilości karmy, że w ciągu kilku tygodni ptakom prawie pęka wątroba. Karmiąc gęsi w ten sposób, wiejscy sadyści doświadczali permanetnej erekcji i nawet kilku wytrysków w czasie jednego karmienia. W 2002 roku wreszcie zaczął obowiązywać zakaz takiej hodowli, maszyny konfiskowano. Niestety okazało się, że wielu hodowców przejawia symptomy pełnego uzależnienia. Mnożyły się przypadki karmienia gęsi nasieniem poprzez rurkę, którą każdy hodowca płci męskiej dostał od rodziców już przed narodzeniem, tak więc po uwzględnieniu przeciętnej średnicy tych naturalnych rurek, wybierając mniejsze zło, sejm głosami ludowców 1 lutego 2002 roku przegłosował wszawy kompromis, by te maszyny do tuczu gęsi znów dopuścić do sprzedaży, ale tylko najbardziej nieuleczalnym zoofilom, tylko na receptę i tylko w seksszopach rolniczych. Dobrze, że w 2004 roku wreszcie i to się skończyło, szkoda że, jak widać, nie do końca.

- O Jezu - pod sanitariuszem prawie ugięły się nogi.

- Nie żadne: „O Jezu”, Kłonica, jesteście na służbie, uczcie się. PSL dawno już tępił te praktyki, nawet, o zgrozo, w szeregach frakcji chłopskiej PZPEr-u w 2005 roku lustracja ujawniła kilku posłów mających kiedyś coś wspólnego z tym zбочonym procederem, część z nich była nawet senatorami należącymi do Polskiego Stronnictwa Ludowego w 1997 roku. Na szczęście prawie wszystkich udało się wyleczyć z tych sadystycznych odchyłeń psychicznych. Tylko dwu czy trzech byłych „senatorów” nie wytrzymało do dziesiątego dnia



kuracji, a jeden przez dziesięć dni bardzo ładnie połykał z rurki swoją dzienną porcję piętnastu kilogramów kukurydzy i dopiero podczas czterdziestoośmiogodzinnego seansu relaksacyjnego w komorze promieni S dostał zawału.

Starszy psychiatra sztabowy i starszy sanitariusz mieli szeroko otwarte oczy, widać było, że pierwszy raz słyszą tę historię.

- Jagna, nie trzęście się, przecież to nie wy karmiliście te gęsi, tylko ten wasz mąż, przynajmniej taką mam nadzieję - powiedział nadpsychiatra surowym tonem.

Jagna zaczęła się trząść jeszcze bardziej. Milczała.

- Wy mi powiecie, dla kogo tuczyliscie te gęsi, czy mam wezwać specjalistów z SDRP-u z Krakowa, żeby z wami porozmawiali, zresztą jak nie chcecie, to nie mówcie. Efektem ubocznym kuracji, jaka czeka waszego Ślimaka, jest wzmożona rozmowność. Dowiemy się, czego trzeba.

Jagna wybuchnęła płaczem, przerywając co chwila spazmatyczne łkanie strzępkami wyszarpiętych z głębi duszy zdań:

- Ja mu mówiłam... Nie chciałam... Mnie też żal tych gęsi... Tu z Warszawy nocą turbolot... Przyjeżdżali i zabierali...

- Jaki turbolot? Kto przyjeżdżał? - naciskał nadpsychiatra.

- Ja nic nie wiem... Trzech było... Jeden nie po naszymu mówił... Ja nic nie wiem.

- A po jakimu, po niemiecku, po francusku?

- Ja nie wiem.

- Tusze świń, które żeście mordowali, też oni zabierali? - nadpsychiatra spróbował uzyskać pożądaną informację przez zaskoczenie.

Jagna zeszywniała i uciekła wzrokiem na ścianę.

- Żadnych świń nie zabierali. Były trzy i są trzy, już mówiłam - harda kobieta nie dała się podejść lub mówiła prawdę.

- Spytały waszego męża i o to, jeśli kłamię, trzeba i was będzie podleczyć, a dziećmi, wiecie, wtedy gmina się zaopiekuje, bo wy z chorobą umysłową moglibyście mieć zły wpływ. A gęsi kto szlachtował? Kto je skubał i wypruwał wątroby? Wy, Jagna?

Jagna słaniała się na nogach pod ciosami kolejnych podejrzeń.

- Żywe zabierali... Jak Boga Kocham. Maszynę przywieźli, jaja przywozili, a zabierali jeszcze żywe, tylko utuczone.

- Kiedy będą następny raz? Jagna milczała.

- Kiedy będą następny raz?

- Jeśli powiem... grozili, że zabiją. A potem Józek mnie zabije - z trudem wykrztusiła

Jagna i znowu zanosła się płaczem na całego.

- Ślimak was nie zabije, bo go wyleczymy, a nimi też się zajmiemy, tylko powiedzcie, kiedy będą odbierali gęsi.

- Pojutrze w nocy - szepnęła Jagna zdruzgotanym głosem.

- Pięknie, no widzicie, Jagna, po co wam to wszystko było?

- A bo ośmioro dzieci to trzeba w coś ubrać, co my mamy kartek z tego spłachetka rzepaku, a do Centrum Rozdawnictwa nie mam po co iść bez M-wzmacniacza, a jakbym założyła, to by mnie Józek zabił, tylko za te kartki coś mogę, a ci co te gęsi., to sto PSU dawali za jedną.

- Nie martwcie się Jagna, podleczy my Ślimaka, założycie M-wzmacniacz, wstąpicie do wspólnoty i wszystko będzie dobrze.

- Ja do komuny nie pójdę - odrzekła uparta kobieta.

- To już my tak zrobimy, że was własny mąż przekona, dobrze, szkoda czasu, dobranoc z komuną, Jagno, i do zobaczenia... Starszy psychiatra sztabowy, sanitariusz... Idziemy! - nadpsychiatra PSL-u zakomenderował odwrót. Po drodze do swojego pojazdu nadpsychiatra Adamiec zajrzał do ładowni szóstego turbolotu przez kratkę klimatyzacyjną.

- No, Ślimak, macie szczęście, diagnoza uległa zmianie. Nie udało się u was wykryć napadowej agresji anty-wieprzowej, macie za to ornitologiczno-sadystyczną zoofilię na podłożu materialistycznym, ale nie martwcie się, wyleczymy was.

Ślimak splunął w stronę kratki.

- Żal mi tylko tych waszych dzieciaków, wątle jakieś takie... czy chociaż to najmłodsze, co widziałem, dwóch lat jeszcze nie ma, jest przynajmniej poczęte nasieniem z państwowej wytwórni?

- Zaraz ci, chuju, pokażę komin prywatnej wytwórni, tylko mi ręce rozwiąż.

- Starszy psychiatra sztabowy! Dopiszcie w karcie ekshibicjonizm, bo ja mogę zapomnieć. No, starczy pogadu-szek z pacjentem, jedziemy. Cholera, muszę jeszcze dziś w nocy opracować plan akcji na pojutrze. Trzeba będzie chyba jednak poprosić krakowskie SDRP o wsparcie, siłami powiatowej PSL mogłoby być ciężko, ci gęσιοżercy nie mogą się wymknąć - nadpsychiatra mówił niby do podwładnego, ale starszy psychiatra sztabowy Kaleń nie odzywał się czując, że tak naprawdę szef prowadzi na głos wewnętrzny monolog, a myślami jest już zanurzony w przewidywanych wydarzeniach pojutrzejszego dnia.

\*\*\*

- Bądźmy mądre przed szkodą. Zadbajmy o to, by w Polsce tak się nie stało. Wartości

to nie jest „prywatne polskie hobby”. To światowe lekarstwo na patologie życia społecznego. To dzięki nim powstały cywilizacja europejska i atlantycka. Wy jesteście wartością tego narodu i nie dajcie tej wartości podeptać komunistom - Marianna Krzaklewska odrzuciła piękne lśniące krucze włosy do tyłu i uważnie spojrzała w oczy zgromadzonym na polanie Puszczy Mariańskiej działaczkom KOR-u (Kobiecej Organizacji Radykalnej). Patrząc na tę kobiecą rzeszę Marianna jeszcze raz utwierdzała się w słuszności swojej decyzji co do zmiany płci. Jako Marian Krzaklewski Marianna nie mogłaby liczyć ani na tak potężne poparcie, ani na takie zaufanie kobiecego ruchu. Wiadomo, kobietę zrozumieć może tylko kobieta. Widząc te setki zapatrzonych par oczu, dusza Marianny radowała się. Słusznie pisał święty Mateusz: „Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci lub siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy (Mt. 19,29)”. Marian opuścił dom, żonę, dzieci oraz stracił mały anatomiczny szczegół. Za to przy hormonalnym wspomaganie estrogenami otrzymał parę cudownych piersi ledwie mieszczących się w bluzce oraz legion zwolenniczek - najpiękniejszych kobiet w Polsce. Na polanie stały Miss Polonie z kilkunastu roczników (oczywiście poza 2004, 2005, i 2006 rokiem, bo komuniści skasowali wybory miss jako imprezę niehumanitarną i nieegalitarną), sekretarki setek prywatnych firm zamkniętych w 2004 roku, asystentki byłych dyrektorów, modelki, hostessy, stewardesy oraz najdroższe kurwy, które wraz z wprowadzeniem M-wzmacniaczy straciły zawód - słowem na polanie stały nieszczęśliwe kobiety, nieszczęśliwe, gdyż komuna dając wszystkim wszystko, im odebrała jedno - poczucie, że są wyjątkowe. Poczucie, że szczęście w życiu należy się tylko im, bo są piękniejsze od innych - kucharek, sprzedawczyń, pracownic GUS-u i włókniarek łódzkich. Mężczyźni przypiąwszy M-wzmacniacze nagle odkryli duchowe piękno kucharek, sprzedawczyń, pracownic GUS-u i włókniarek łódzkich, a fizyczne piękno stało się tolerowanym, acz niekoniecznym dodatkiem. Skończyło się nadszwanie długonogim laleczkom, skończyło się oglądanie za nimi na ulicy. Na polanie stały więc te, którym dawniej wydawało się, że mogą rządzić Polską, zgrabnymi ruchami swoich tyłeczków przedstawiając pionki mężczyzn na szachownicy życia: temu dać, tamtemu nie dać, wczoraj tak, dzisiaj nie, temu darmo, tamtemu za ślubną obrączkę, przysługę lub pieniądze. Dziś wyłączone z tej władzy stały się najczęstszymi klientkami SDRP - gdyż ich frustracji nawet M-wzmacniacz nie był w stanie wytlumić. Jednak okazało się, że tej frustracji również Służby Dzielnicowych Rad Psychologicznych nie są w stanie wyleczyć. Wtedy do akcji wkroczył Marian, by jako Marianna uformować to bezkształtne kobiece niezadowolenie w ostry sztylet KOR-u zdolny zadać śmiertelny cios w czerwone serce Komuny.

Marianna kontynuowała:

- Wszystkie słuchałyśmy Radia Wolna Maryja. Pamiętamy, co mówił nasz drogi ojciec Rydzyk o doświadczeniu, które przeprowadził na szczurach zamieszkujących piwnice kwatery głównej Episkopatu Rzeczypospolitej Podziemnej. Przypomnę: trzem szczurom płci męskiej złapanym do pułapki ojciec Rydzyk przypiął M-wzmacniacze i umieścił te zwierzęta w klatce z trzema samiczkami. Już po miesiącu u szczurków samczyków pojawiły się problemy ze sprawnością, że tak się wyrażę, ich kogucików. Po dwóch miesiącach szczury zaprzestały w ogóle współżycia. Jeszcze raz powtarzam: bądźmy mądre przed szkodą. Zadbajmy o to, by w Polsce się tak nie stało. Długotrwałe napromieniowanie falami M jest szkodliwe. Musimy stanowczo zaprotestować...

Jedna z kobiet stojących na samym końcu polany dyskretnie wycofała się do lasu. Dopiero jednak przeszedłszy sto metrów J. Nóżka obejrzał się ostrożnie i zdjął perukę ze spoconej głowy.

- Parno dziś, kurwa - powiedział do siebie. - Ten Rydzyk to jednak kretyn. To jasne, że się szczurom odechciało. To tak, jakby musieć na oczach księdza pieprzyć na okrągło przez miesiąc trzy te same baby i to jeszcze siedząc w ciasnej celi z dwoma facetami, którzy też je pieprzą. Do dupy z takim doświadczeniem. Ale ta suka, Krzaklewska, to jednak cwany demagog. No to Kwaśniewski się nie ucieszy...

\*\*\*

Aleksandrowi Kwaśniewskiemu nadal trzęsły się ręce. Po przeczytaniu ostatniego raportu, który przyniósł Miller, prezydent nie mógł w ogóle przyjść do siebie. - Może ten Nóżka robi z igły widły, może mu się troiło w oczach od upału i to nie żadna kilkudziesięcna rzesza, tylko kilkanaście opętanych histeryczek...

Delikatny szum wody z rezerwuaru dzisiaj jakoś nie działał uspokajająco. Aleksandrowi Kwaśniewskiemu z tego wszystkiego odechciało się nawet czytać pisemka umieszczone w zasobniku. Prezydent otworzył więc przyniesione ze sobą do toalety najlepsze lekarstwo: *Rocznik Statystyczny*. W obecnej sytuacji tylko on mógł sprawić jakąś ulgę. Prezydent otworzył na pierwszej lepszej stronie: O, proszę, - bardzo pięknie - ilość stosunków na jednego mieszkańca wzrosła z 1,5 w kwietniu 2004 roku do 52,2 w lipcu bieżącego roku... O, jaki skok już w czerwcu 2004 roku, zaraz po rozprowadzeniu M-wzmacniaczy od razu zrobiło się 27,3. No tak, a jak to będzie w grupach wiekowych - no, oczywiście 18-25, tak w tym przedziale zwłaszcza studenci dają z siebie wszystko - 83,7 stosunku w lipcu 2006 roku - bardzo pięknie, ale emeryci i renciści też się teraz starają - w kwietniu 2004 roku było 0,1 stosunku, a teraz proszę - 15,2 miesięcznie, o, i te huncwoty z przedziału 14-16 lat, niezbyt

legalnie, ale poprawiają statystykę, bez M-wzmacniaczy, ale, proszę, 20,3, o całe 5,1 stosunku lepiej od doświadczonych bądź co bądź emerytów.

Prezydent odwrócił kartkę na kolejną stronę. *Przez* chwilę wpatrywał się w zamieszczoną tabelkę i zbladł...

*ciąg dalszy nastąpi*